

PIOTR C.



OSTATNIE  
TANGO

NOVAE RES

Piotr C.

## Ostatnie tango



**NOVAE RES**

Ostatnie tango

ISBN: 978-83-8313-966-1

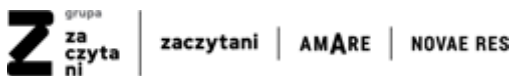
© Piotr C. i Wydawnictwo Novae Res 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody Wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Wioletta Cyrulik

KOREKTA: Emilia Kapłań

OKŁADKA: Izabela Surdykowska-Jurek



Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Grupa Zaczytani sp. z o.o.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest na stronie [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Na zlecenie Woblink

The logo for 'woblink' features the word 'woblink' in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are four colored dots: blue, purple, pink, and orange respectively.

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek



## PROLOG

### Czas do śmierci: 1514 dni

Więzienie gnije.

Siedzę na swojej koi. I trochę się zastanawiam, co tu dalej robić. Podłoga z szarych dużych płytek. Piętrowe łóżka. Niebieskie koce. Osiem stołków.

Trzy stoły. Zakratowane okna.

Kibel przesłonięty zasłonką.

W celi oprócz mnie jest pięć osób.

Później już się nauczę.

Że jest:

Chory,

Kurak,

Śledziu,

Kocioł,

Mario.

Siedzę i czuję, jak wszystko śmierdzi. Wszyscy się pocą. Wszyscy leżą. Okna pozamykane. Siedzę i nic mi nie pasuje.

Ten, który do mnie podszedł jako pierwszy, to był Chory. Sylwetką i wzrostem przypomina szczura kanałowego. Ma podobne wąsy. Wąska twarz cwanego gryzonia. Jest zgarbiony, chudy i podziarany.

Na kłacie ma kata trzymającego w jednej ręce topór, a w drugiej uciętą głowę. Na ręku napis. PSM. Dopiero później dowiedziałem się, że nie ma to nic wspólnego z okresem, za to znaczy „Pomszczę swoją młodość”. Jeszcze później zobaczę, że na ramionach ma pagony z frędzlami.

– A ty za co gwarantujesz? – pyta Szczurowaty.

– Jak wszyscy – odpowiadam.

– Czyli za niewinność – mówi Szczurowaty.

– Ty też? – pytam.

Szczurowaty, czyli Chory, się krzywi, pokazując resztki poczerniałych zębów. I dygocze jak auto z rozwalonymi cylindrami. Po chwili dociera do mnie, że to śmiech.

– Nie – mówi w końcu. – Ja zajebałem swoją starą tłuczką. Straszny z niej był kawał kurewny. I waliła mnie w łeb rondlem, jak spałem. Jednego wieczora się ociupinkę za dużo napiliśmy, a ona ociupinkę za dużo mnie wkurwiła. To wziąłem tłuczek, żeby ją uspokoić...

– I uspokoiłeś – mówię.

– Taaa. Tyle że później było jej nawet żal. Kotlety mi robiła. I pranie.

– Tu też ci robią – mówi mężczyzna leżący na łóżku przy samym oknie.

To Śledziu.

Śledziu potrafi sprawić, że giną rzeczy.

– Nikt, zapamiętaj sobie, nikt nie robi lepszego kotleta mielonego niż moja Beatka. Rozumiesz?

Ktoś włącza telewizor. Puszczą film. Jest Jean-Claude Van Damme i *Krwawy sport*. Wyjmuję stary „Przegląd” i czytam długo, powoli i spokojnie o przygotowaniach polskiej reprezentacji do eliminacji mistrzostw Europy. I tylko czasami zaczynam się zastanawiać, dlaczego moje życie rozleciało się na kawałki.

\* \* \*

Koło południa wrzucają następnego.

– Macie nowego kolegę – kpi strażnik.

Patrzę na tego nowego. Ma krótkie czoło, łysy łeb i małe oczka. Płaski nos. Później Chory da mu ksywę Łyssy. Ale w tym konkretnym momencie Łyssy ma minę człowieka, który musi sobie dodawać odwagi i wzbudzać strach. Zdejmuje koszulkę. Pokazuje nabite na siłowni i na bombie mięśnie. Jest duży. Jak automat od Coca-Coli.

Napina się.

– Ktoś ma jakiś problem? – pyta. – Ktoś chciałby coś wyjaśnić? Jeśli tak, to zapraszam do tańca. Będziemy się napierdalać. To kto pierwszy? – pyta.

Nikt się nie zgłasza.

\* \* \*

Śpię zawinięty w kawałek za krótkiego koca. Zwinięty w kłębek. O ile w moim przypadku można mówić o jakimkolwiek kłębku. Śni mi się, jak jadę swoim subaru STI po autostradzie. Musiałem go sprzedać, aby zapłacić za papugę. I nic się nie sprawdziło z tego, co gadał.

Budzę się. Nie wiem, o której.

– Jedzą? Piją? Nie jeść, nie pić! Na ostro otwieram! – krzyczy Sczurowaty<sup>1</sup>.

Wiele razy słyszałem później ten komunikat. Wiele razy sam go wygłaszałem. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, o co chodzi.

Że jak otwieranie na ostro, to dwójka.

Jak tylko lanie, to wtedy się mówiło: „Jedzą? Piją? Nie jeść, nie pić! Na krótko otwieram”. A jak się już skończyło to, co się miało zrobić, to krzyczało się: „Plomba!”. Czyli z powrotem można jeść. Można pić.

I najważniejsze: pod cełą obowiązuje kolejka do srania. Kto jest najważniejszy, ten robi to pierwszy. Reszta czeka.

– Ja pierwszy sram – mówi powoli Łyssy.

– W porządku. – Sczurowaty podnosi rękę, jakby właśnie się poddawał. – Niech szanowny pan sra pierwszy! Ja ze sranieniem poczekam. Dodaje to arystokratycznego wymiaru naszemu spotkaniu!!!

Łyssy zasłania się zasłonką i pierdzi straszliwie. Kiedy wychodzi, Sczurowaty krzyczy jeszcze raz:

– Jedzą? Piją? Nie jeść, nie pić! Na ostro otwieram.

Wchodzi do kibla.

Słychać odkręcany kran w umywalce i w toalecie. Dziesięć minut później wychodzi, bardzo z siebie zadowolony.

– Plomba – mówi.

\* \* \*

Łyssy od razu opowiedział, za co siedzi. Jakiś student w okularkach nie miał ani fajek, aby ich poczęstować, ani – jak sprawdzili mu po kieszeniach – pieniędzy, aby ich poratować, nawet zegarka nie miał.

Stwierdzili więc, że zażyją z jego udziałem trochę rozrywki. Rzucili go na kolana i kazali ssać.

Student ponoć się rzucał i protestował.

Ustawili go więc do pionu, co prokurator zarejestrował jako ciężkie uszkodzenie ciała w wyniku pobicia. Wielokrotne połamanie wszystkich żeber, złamanie żuchwy, wybite zębów i takie tam.

W sumie nic, co nie mogłoby się zrosnąć.

Ale temu młodemu wypadło oko. A nowego wstawić jakoś nijak.

I Łyssy dostał artykuł 158 paragraf 2, czyli pobicie z ciężkim uszczerbkiem ciała. I sześć lat.

– Teraz tu się zmieni – mówi Łyssy. – Musicie wiedzieć, że to ja rządę pod tą celą. I będzie tak, jak chcę, żeby było.

I żeby ustanowić ten nowy porządek, Łyssy podchodzi i jednym klepinięciem wytrąca mi z ręki gazetę.

Patrzy wyzywająco, czekając, co zrobię.

– Przynieś mi stółek – żąda.

Wstaję. Jest prawie tak samo wysoki jak ja. Robi pół kroku do przodu i się wykrzywia. Chyba myśli, że to MMA.

– A kim ty, kurwa, jesteś? – mówię i spoglądam mu prosto w oczy.

– A kim ty jesteś? – Przekrzywia głowę.

– Wybierz cegłę. – Chory zaczyna chichotać.

– Od dzisiaj ja będę jadł twoje śniadanie – mówi Łyssy.

Wiem, że za ułamek sekundy uderzy. Nie czekam i uderzam go raz. Biję najbardziej paskudnie, jak potrafię.

I trafiam.

Nie w przeponę, ale idealnie w wątrobę. To rzadko się udaje. Ale tym razem wyszło. Wątroba jest sama w sobie bardzo wrażliwa. Ale pod wpływem



ciosu dochodzi do zmiany ciśnień, podrażnienia nerwów i spada tętno.

To boli.

To boli tak, że człowiek traci nad sobą kontrolę.

Łysy pada na kolana.

– Ktoś w końcu wyniósł śmieci – mówi wydziarany na górnej koi koło okna. Śledziu.

– Dobra, weźcie mu wsadźcie łeb do kibla – zarządza Chory.

Mario i Kocioł podchodzą do leżącego typa i robią mu regularny oklep. Kopiają go w brzuch. Kopiają go w twarz. Kopiają go twardo. Tak, aby bolało. Szczurowaty (Chory) patrzy. Znam to spojrzenie. Widziałem je już wiele razy w swoim życiu. Szczurowaty jest jak głodny, wściekły pies. Niosą Łyssego w okolice kibla. Jeden trzyma go za głowę. Drugi za nogi. Metodycznie wsadzają mu łeb do sracza. Mężczyzna coś bulgocze. Chyba nie podoba mu się ta sytuacja i ma coś przeciwko.

Ale tych dwóch trzyma go naprawdę mocno.

– Może go wyruchać? – mówi Szczurowaty. – Ty, Nowy, chcesz?

Kręcę głową.

– Nie chcesz? To ja się może skuszę?? Jeszcze nie miałem takiego wielkiego chabeciarza. Szkoda tylko, że łysy, nie ma go jak za włosy przytrzymać.

Szczurowaty zdejmuje gacie. Kocioł wyciąga z kieszeni sznurek i zaciska Łyssemu na gardle, żeby nogami nie wierzgał. Łysy napina się. Charczy. Szczurowaty pochyla się bardziej. I mówi półgłosem:

– Chcesz, świnko, z poślizgiem czy bez poślizgu?

Mężczyzna z głową w kiblu wciąż wyje i się rzuca.

– Lubię takich ostrych – mówi Szczurowaty i pochyla się bardziej. I chwytą Łyssego za biodra. Tak jak chwytą się kobietę.

Później już regularnie przytyka do szyi Łyssego więzienny nóż, pordzewiały kawałek blachy, i każe mu wykonywać usługi ustami. A jeszcze później dowiedziałem się, że rodzina studenta za tę usługę zapłaciła Choremu dwadzieścia tysięcy.

– Wiesz, co jest najważniejsze w miłości? – pyta mnie Szczurowaty i wbija się w Łyssego.

Kręcę głową.

– Spuścić się.

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## KOMBINAT

Czytam.

*Niezdolność dlań było dalsze wahanie się między obawą a nadzieją. Nie pozabawił się jednak życia w sposób nagły; kazał sobie przeciąć żyły, lecz według upodobania je podwiązywał, potem znów otwierał i przemawiał do przyjaciół, nie mówiąc nic poważnego ani takiego, czym by mógł sobie sławę stateczności pozyskać<sup>2</sup>.*

Nie.

*Śmierć podobną do Petroniusza zaserwował sobie Seneka Młodszy: otworzył żyły, połknął cykutę, a wreszcie najprawdopodobniej zginął od oparów pary wodnej. Najbardziej znane ówczesnie samobójstwo – Lukrecji, zhańbionej żony Tarkwiniusza Kallatinusa – to również sztylet; najdziwniejszą drogę wybrała ponoć żona Brutusa – Porcja, która połknęła rozżarzone węgle.*

*W liście Seneka wspomina germańskiego jeńca, który popełnił samobójstwo poprzez wepchnięcie do gardła szczotki od czyszczenia kloaki z kału<sup>3</sup>.*

Ni chuja. Trzeba wykombinować coś innego.

**Czas do śmierci: 8 dni**

Tyle pamiętam z tego wieczoru.

Drzewo czy tir?

Pędź.

Pędź.

Pędź.

Spory ruch. Nie wiem, może ludzie jadą właśnie nad morze. Albo w góry. Czy gdzie tam się jedzie, kiedy ma się wakacje.

Zaraz zawiążę sobie pętlę na kutasie.

Drwalu. Ty nieszczęsny menelu.

Kupuję kawę na stacji. Piję. Smakuje, jakby ktoś ją zaparzył w starej, przepoconej skarpecie. Przez plastikowe głośniki i szum wiatru przebija się wykastrowany wokół:

*Pozostaje tylko moment, chwila, zanim ściągniesz to.*

*Świecisz jak miliony monet, sploniesz nim odpalę lont <sup>4</sup>.*

Muzyka na stypę. Jest złota godzina. Słońce zaczyna zachodzić. To już ostatni raz. Nie będę musiał wstawać rano, znosić tego, jak mnie napierdalają plecy, siadać za kółkiem, jeździć po nocy.

Gaz.

Nie będę się dusił. Nie będę musiał nic robić. Nie będzie żadnych braków, żadnej pustki, żadnej parady upiórów nocami.

Mówią, że nie ma wyjścia. A tu proszę: jest. I jedna wielka ulga. Trzeba tylko wybrać. Drzewo czy tir?

Droga przez najbliższe dwadzieścia kilometrów jest przez las. A później... Później już tylko Kombinat. Muszę tylko być bardzo szybki.

Wciskam pedał gazu, tak jak gniecie się puszkę po coli. Wskazówka prędkościomierza idzie w górę: sto czterdzieści, sto pięćdziesiąt, sto sześćdziesiąt.

Superb nieprzyjemnie wyje. Skoda. Pamiątka po czasach, kiedy wiodło mi się nieco lepiej. Szkoda.

Samochód podskakuje na nierównościach drogi. Las wydaje mi się nagle ciepły i przytulny. Jestem znieczulony. Nie boję się. Niczego się nie boję. To kwestia walnięcia odpowiedniej dawki propranolu, który blokuje nerwy.

Lubię leki.

Ostatni raz czułem się tak dobrze jakieś pięć lat temu. Tuż przed. Wtedy jeszcze zdarzało się pić bimbler na działce i szampana w towarzystwie dziwek – ładnych, ale dziwek – ciągnąc węża na Kanarach, iść w tango na kilka dni albo kilka tygodni, nikomu to w końcu nie przeszkadzało. Nawet jeśli koleżanki były dwie. Albo trzy.

Iść ramię w ramię z chłopakami, aby się napierdalać. Dziesięciu na dziesięciu. Albo piętnastu na piętnastu. W jakimś lesie, na jakiejś polance, gdzie można schować jakąś rzecz. Masz ustawkę, a naprzeciwko siebie bandę dildoboyów. I czujesz, że obok ciebie jest twój brat. Z innej matki, z innego ojca, ale brat.

I dasz się za niego zajebać. A on da się zajebać za ciebie.

Wozić towar, mając za sobą radiowóz.

Czuć w kieszeni ciężar kastetu. Żeby komuś zęby wybić, żeby kopnąć w drzwi tak mocno, żeby rozwalić zamek, zrobić wjazd komuś na wesele albo kopnąć kogoś w łeb, tak jak się piłkę kopie.

Duma.

Poczucie siły.

Charakter.

Musisz kogoś uderzyć. I uderzasz.

Lubiłem to.

Gaz.

Sto siedemdziesiąt na godzinę. Kierownica drży. Nie powinno tak być. Samochód trzeba oddać do warsztatu.

Powinni go obejrzeć.

Ale to już nie mój problem.

Drzewo czy tir? Wystarczy jeden ruch kierownicą. Wszyscy uznają, że to wypadek. Zasnął za kółkiem. Nie pierwszy, nie ostatni, zdarza się, szkoda chłopca, napijmy się.

Zresztą jacy wszyscy? Po prostu Rysiek i Boczek pogadają o tym dwa dni, pijąc kawę na stacji. A pamiętasz jak...? A pamiętasz...? Dobry był z niego

herbatnik. No, napijmy się.

Otwieram okno. Świat wiruje. Ciepły wiatr uderza w moją twarz.

Otwieram usta.

Modłę się o szybką śmierć.

Moje usta wypływają słowa. Krzyczę. Z flaków. Uderzam rękami w kierownicę. Czekam, aż mnie zaboli.

Białe albo czarne. Życie albo śmierć.

Głos w głowie budzi się i mruczy: „Ale, ale... Wiesz, że możesz uderzyć w drzewo i przeżyć? To się zdarza”.

Samochód na poboczu. Stłuczone szkło reflektorów, pogięta blacha. Krew na asfalcie. Moje ciało bez nóg. Albo z przetrąconym kręgosłupem. A może jednak nie. Może jednak nie kusić losu? Może tir?

Taki jak ten. Wielka scania. Widzę, jak świeci. Z tirem sprawa jest pewniejsza, nikt nie jest w stanie przeżyć uderzenia z tirem przy tej prędkości.

Czyli co? Jestem skupiony. Jeden ruch kierownicą. Światła i ciemność. I koniec.

Superb zaczyna zjeżdżać na lewy pas. Jakby ktoś nim sterował. Nie ja.

Ktoś trąbi. Nie ja.

Nie słyszę.

Ktoś miga światłami.

Nie widzę.

Ktoś jest za kierownicą. Ma żonę, dziecko albo dwójkę, grilla co sobotę na działce u teściów, żonę, która mówi: „Może tobie wystarczą dwa numerki na miesiąc, ale mnie nie. Wolisz pieprzyć te swoje tirówki niż mnie”.

I ja miałbym go tego wszystkiego pozbawić?

**NIE WCIĄGAJ W TO INNYCH.**

Coś mi nagle wyje w środku, jakby wszystkie zawory trzymające mnie do kupy wpadły w dygot.

Jadę.

Jęczę.

Jeszcze jedno trąbnięcie.

Jeden ruch i zjeżdżam na prawo. Koła piszczą. Kierownica się wyrywa. Kontrolki na tablicy rozdzielczej wpadają w amok. Zjeżdżam na prawo, żwir odbija się od kół, bijąc w karoserię.

Słyszę, jak tirowiec dalej ciśnie po klaksonie. Zwalniam.

Jestem sobą rozczarowany. Jestem, kurwa, zniesmaczony. Niczego nie potrafię porządnie zrobić. Spluwam przez okno mokrą gulą. Flegma. Z trzewi. Chce mi się rzygać. Zwalniam do czterdziestu.

I co? Co dalej?

Dokładnie wtedy, dokładnie w tym momencie widzę, jak ktoś rozpaczliwie macha ręką na poboczu. Kobieta.

Wcisgam hamulec i cofam auto. Nie wiem, dlaczego to robię.

\* \* \*

Widzę w lusterku, jak się zbliża.

Dziewczyna jest drobna i chuda. Na oko ma jakieś dwadzieścia pięć lat, długie, ciemne włosy spięte w koński ogon. Tirówka??

Jest ubrana jak tirówka.

Małe cycki prawie na wierzchu. Wygląda, jakby nie była pasiona na ziemniakach. Jakoś francusko?

Skąd ona się tu wzięła?

Zagląda ostrożnie przez otwarte okno do wnętrza auta.

– Potrzebujesz pomocy? – pytam. Jestem na trasie. Na trasie trzeba pomóc.

Marszczy czoło.

– Podwózki – odpowiada. Ma głos jak lejący się miód.

Otwieram drzwi od strony pasażera.

– To wsiadaj.

Dziewczyna patrzy na mnie. W oczach ma niepokój. Wiem, jak wyglądam. Mam niebieską koszulkę na ramiączkach i złotą ketę na szyi. Krótko obcięty łeb. Nieogolony ryj. Jestem leniwy, więc otłuszczony, więc duży.

Waha się.

Jebie mnie to. Dzisiaj wszystko mnie jebie. Wzruszam ramionami i sięgam po wajchę, aby wrzucić D.

Widzi mój ruch.

– Ale nie zrobisz mi krzywdy? – upewnia się.

– A czy gdybym miał zamiar, tobym ci powiedział?

– No i co? – pyta.

– Co: co? – odpowiadam.

– Zrobisz mi krzywdę?

Walczę z tym, aby po prostu odjechać. I spróbować jeszcze raz.

– Nie. Nie jestem dzisiaj agresywny – mówię w końcu zmęczony jak fiut po stosunku. – Wsiadasz czy stoisz dalej?

Kiwa głową i usadawia się na fotelu obok. Jej za krótka kiecka podwija się niebezpiecznie. Usiłuje ją obciągnąć, tak aby nie rzucała mi się w oczy. Bezskutecznie.

Bardzo zgrabne nogi.

Już wiem. Wygląda jak ta aktorka Gwyneth coś tam, coś tam, która kiedyś była znana, a teraz jest stara i nikt o niej nie pamięta.

Kątem oka widzę, że ma bardzo seksowny pieprzyk nad lewym cykiem. Choroba zawodowa. Dużo jeźdźdźisz. Dużo patrzysz.

Brunetka? Szatynka? Już chce zapiąć pas, ale nagle zamiera.

– To taryfa?

Kiwam głową. Dziewczyna drga z niepokojem.

– Nie mam tyle kasy, żeby zapłacić za kurs – mówi.

– Zapłacisz w dywanach – burczę. – Albo w papugach. – Widzę wyraz jej twarzy, więc dodaję: – Widzisz włączony taksometr?

– Nie.

– To się luzuj.

Ruszam powoli. Jest mi nagle bardzo gorąco. Spływam potem. Przestaję na nią zwracać uwagę. Powinienem teraz siedzieć w domu. Pić trzeciego żubra. Oglądać mecz. A później wziąć starą na pieska. Po trzech minutach skończyć



na jej tyłku z dzikim chrząknięciem. I zasnąć. Wtedy głupie myśli by mi nie przychodziły do głowy. Gdybym oczywiście miał żonę.

– Pomagasz mi, bo jestem damą w opałach? – pyta.

– Powiedzmy – odpowiadam.

Uczciwie rzecz biorąc, to nie znam żadnej damy. Chyba wyginęły. Jak mamuty.

Mijam po prawej porzuconą stację benzynową. Nie wiem, co tam się wydarzyło. Na budynku ciągle są szyldy. Ale w środku mieszkają sami beje, na ostatnim etapie żegnania się ze światem. Heroina to straszne kurewstwo. A może nie? Może to, czego teraz potrzebuję, to trochę złudzeń?

– Skąd wracasz? – pyta kobieta.

Zastanawiam się przez moment, co jej odpowiedzieć.

– Chciałem się przejechać.

– Nie masz dość jazdy w pracy? – dziwi się.

Proszę, cwaniara się znalazła.

– A ty? Skąd wracasz? – zmieniam temat.

Mruży oczy. Ma teraz minę obrażonego borsuka.

– Powiedziałaś chłopakowi, żeby mnie tu wysadził – mówi w końcu.

Milczę, bo nic mądrego nie przychodzi mi do głowy.

– A dlaczego miał cię wysadzić?

– Bo jest wkurwiającym pojebem?? – odpowiada. – I nie byłam w stanie wytrzymać z nim ani sekundy dłużej?

Związki damsko-męskie, jak pokazała przeszłość, nie są moją mocną stroną.

– Nie rozumiem – mówię.

– Jesteś żonaty?

– Nie. Staram się trzymać z daleka od kłopotów.

Chichocze.

– Masz dziewczynę?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– To nie skumasz.

– Przekonaj się.

– Nie.

– No mów.

Bierze głęboki oddech.

– Tyle odpierdałam dla niego, że tylko brakuje, żebym sobie zawiązała kokardę na dupie i robiła piruety. Ja zwyczajnie jak pierdolnięta daję z siebie dwieście procent. Pracuję, sprzątam, gotuję, a wieczorem zakładam na dupę za ciasne stringi. A on ma taką manierę, że wraca po pracy wieczorem i już siedzi w samych gaciach. Brzuch mu od piwa urósł, na siłkę nie chce iść, i jak ja mogę się podniecać? I oczywiście, on potrzebuje czasu, potrzebuje przestrzeni, ma trudny okres i nie jest gotowy na zobowiązania. Rozumiesz?

– Oczywiście – kłamię.

– Chuja tam rozumiesz. – Macha ręką. – Nigdy nic nie rozumiecie. On wszystko robi po linii najmniejszego oporu. Ma problem, żeby rozpiąć mój stanik. Ściągnąć spodnie, bo pasek jest zbyt skomplikowany. Nie chce mu się mnie rozebrać. Wszystko jest za trudne. Tak jakbym była ciągle z chłopcem, a nie z dorosłym facetem. Ostatnio, jak mnie nie było, to pranie wyjmował z pralki przez tydzień. A jak zaczęłam na niego krzyczeć, to odpowiedział, że przecież nie kazałam mu tego zrobić, więc nie wie, o co mam pretensje. Jak mi koleżanki radzą: „To powiedz, że tego i tego chcesz”, to stwierdzam, że nie będę się prosić o coś, czego ktoś sam z siebie nie chce mi dawać. Bo mnie o nic nikt nie musi prosić. On wybrał bardzo dobrze. A ja jestem wkurwiona, zawiedziona, sfrustrowana. I czasami mi się ulewa. Tak jak dzisiaj. – Rozkłada ręce.

Teren zabudowany.

Zwalniam do siedemdziesiątki, przejeżdżając koło gigantycznego budynku straży pożarnej. Po cholere w takiej małej mieścinnie taka wielka straż pożarna?

Pewnie ktoś przytulił na tym słony grosz.

– Nie znam się na związkach, ale pozwolenie, aby twoja kobieta została sama w środku lasu, wydaje mi się lekko zjebane – odzywam się w końcu.

Milczy przez chwilę. Czyżby nareszcie przytrafił mi się celny rzut? Na jej twarzy pojawia się łobuzerski uśmiech.

– Wszystko byłoby okay, tylko okazało się, że telefon mi się rozładował, jak już dzwoniłam po kumpelę, żeby po mnie przyjechała – mówi.

Jesteśmy już na drodze wjazdowej do Kombinatoru.

– Gdzie cię wysadzić?

– Na Sikorskiego, jeśli ci to nie sprawi kłopotu.

Mijam galerię handlową i skręcam w prawo. Zatrzymuję się pod białymi, czteropiętrowymi blokami, które wyglądają, jakby kucnęły.

– Tutaj?

– Może być. – Odpina pas. – Idę się kłócić z tym debilem – mówi.

– Powodzenia – odpowiadam.

– Jak masz na imię?

– Jan. Ale mówią na mnie Drwalu.

Wyciąga rękę.

– Kamila. Ale mówią do mnie Kama. A mój facet mówi trzydziestka.

– Czemu trzydziestka?

– Od traktora Ursus C-trzysta trzydzieści, który ma mój ojciec. Marcel, czyli mój chłopak, uwielbia nimi jeździć – wyjaśnia. – Dzięki. Jesteś spoko gość, Drwalu.

Niespodziewanie zostawia na moim policzku szybki, okrągły pocałunek i wysiada. Czekam, aż wejdzie do budynku. Odjeżdżam kawałek, ale coś nagle skręca mnie wewnątrz. Jakby ktoś zaciskał wielką łapę na moich jelitach.

Wrzucam awaryjne i rzygam do kosza na śmieci na przystanku. Żołądek wypływa z siebie czarną kawę, hot doga i porannego rogała z Orlenu.

Wymiociny mieszają się z butelkami po wódce.

Serce nierytmicznie bije mi w piersi.

Nie dzisiaj. Jeszcze nie dzisiaj. Ale wkrótce.

\* \* \*

Staję na postoju na starym mieście. Nie ma nikogo, można więc uznać, że jestem zwyciężcą.

Wrzucam do ust gumę do żucia, żeby wytrzeć posmak pawia. Miasto dwóch ulic i rynku – myślę ponuro. Pypeć na mapie, znany tylko z jednego: Kombinat, który produkuje paliwo, który karmi, który poi, który ubiera i który wnerwia wszystkich Polaków, poza Kombinateм rzecz jasna. Miasto jednego zakładu. Proszę, godzina dwudziesta pierwsza, czwartek, wszyscy w łóżkach i psy dupami szczekają.

Dlaczego wszyscy tu tak zdziadziali?? Szczury. Szczury z Kombinat.

Daję słowo, że kiedyś było tu inaczej.

Kiedyś o tej porze było tutaj życie. A teraz co? Nawet apteki nie ma. Gdzie tam apteki – reflektuję się. – Nawet Żabki tu nie ma.

A Żabki są już chyba wszędzie.

Albo po prostu, jak na kogoś, kto urodził się na ulicy i pierwsze kroki stawiał na trzepaku, pod śmietnikiem mam zbyt wysoko postawione oczekiwania.

Ktoś puka w okno.

Jakiś młody fajfus. Brzydki jak nieszczęście. Długie włosy. Uszy wielkie jak bajgle, w nich białe słuchawki bez kabla. Do tego spodnie od garnituru i starannie podwinięte rękawy białej koszuli.

Pokazuje mi na migi, że mam otworzyć okno.

Otwieram.

– Strzała, mordeczko – mówi.

– Strzała – odpowiadam.

– Widzisz, organizuję sobie rynek. Jak ktoś będzie chciał coś kupić, to dzwoń, mordo, do mnie.

Podaje mi czarną wizytówkę, gdzie wypukłymi, srebrnymi literami jest napisane: „Czarek – Magik”. I numer telefonu. Sprawdzam. Pod wizytówką siedzi stówa.

– Co kupić? – pytam.

– Wiesz. – Mruga.

No kurwa, nie wierzę. Ten dzień od początku mi nie idzie. Trzeba było nie hamować.

– Nie wiem – odpowiadam.

Mruga okiem jeszcze raz.

– Wiesz. Czekolada, kaszanka, kawa, kokosy, popcorn...

No tak, spożywczy otwiera.

– Aaa, jasne – mówię. – Możesz trochę bliżej głowę, bo coś słabo cię słyszę. – Szczerzę się, ale chyba nie bardzo mi to wychodzi, bo chłopak zagląda do środka i nagle robi minę, jakby zobaczył atakującą kobrę. Już chce oddalić się sprintem, ale łapię go prawą ręką za włosy, a lewą zamykam okno. Tak żeby fajfusa poddusić.

– AAA!!! – wrzeszczy mi w lewy bębenek.

Głuchnę na moment, ale spokojnie otwieram podłokietnik i wyjmuję z niego składany kastet z nożem. Teraz najtrudniejsze. Weź wyjdź z auta, zza kierownicy, przez fotel pasażera...

– Przestań! Udusisz mnie!! – stęka.

– Jak będziesz się tak darł, to zaraz będą tu psy. Zastanówmy się, co ci zrobią – radzę.

Ledwo kończę, a koło ucha czuję kłapanięcie szczęki. Ten skurwiel ludojad chce mnie ugryźć! Walę go z otwartej w twarz. Wychowawczo.

– Będziesz grzeczny czy mam walić jeszcze raz? – pytam kontrolnie.

Koleżka kiwa głową. Z nosa wisi mu glut.

– Grzeczny chłopczyk. – Odsuwam fotel maksymalnie do tyłu i usiłuję przełożyć nogę nad tunelem środkowym, nie zaczepiając o dźwignię skrzyni biegów.

Nie idzie.

Trzeba się było rozciągać. Trzeba robić przysiady. Trzeba...

– Trzeba ćwiczyć – mówi małolat z jakąś dziwną satysfakcją w głosie.

I po co ja się tak męczę?

– To poćwiczysz – obiecuję.

Otwieram drzwi od strony kierowcy i popycham je stanowczo.

– Aj, aj, aj – syczy małolat i drobi do tyłu niczym gejsza.

– Widzisz? – mówię. – Poćwicyłeś za mnie. Chcesz jeszcze?

– Nie – szczeka z przekrzywionym łbem.

– Na pewno?

Dociskam na wszelki wypadek okno.

– Nie!!! – Gość charczy, co stwierdzam z zadowoleniem.

Obchodzę go z tyłu. Jest zgięty jak paragraf. Ma plecak. Otwieram. W środku na oko ze trzydzieści działek zioła, drugie tyle haszu, do tego kokaina, ale mało, kryształ, ale sporo, i coś koło dwudziestu samar z amfą. Sporo tego. W sumie, jakby zliczyć, towaru i prochów za jakieś piętnaście koła. Proszę. To mi się trafiło.

Może będzie jakiś dowodzik? Poznamy się lepiej z kolegą? Otwieram przednią kieszeń plecaka, gdzie znajduję całkiem spory pakiecik beżowej substancji o konsystencji granulatu. Nie żebym się na tym znał, ale jak dla mnie to heroina. I jeszcze nie podzielona na działki.

– Mama spakowała ci drugie śniadanie do szkoły? – pytam.

– Zaraz ciebie spakuje – pyskuje.

Co za brak elementarnej kultury.

Idę do bagażnika, po czym metodycznie wyciągam z niego taksówkarski zestaw ratunkowy, czyli gumofilce, saperkę, latarkę oraz trytytki.

– Dawaj ręce – mówię.

Chcę mu wpierv zdjąć plecak, ale kolo zaczyna robić jakiegoś wiatraka przy taksówce, tańcząc jak Shakira na scenie, więc nie mam innego wyjścia i po prostu dziabię go nożem w tyłek. Lekko. A kwiczy jak zarzynana świnia. Od razu jednak podaje grzecznie dłonie do tyłu.

Proszę, z niektórymi nie można kulturalnie. Trzeba łać. Tfu, kłuć.

Zabieram mu plecak. Wiążę ręce. A później otwieram szybę, uwalniając fajfusowi łeb.

Twarz z fioletowej robi mu się czerwona. W końcu jakby mu się coś odetkało. Zaczyna kaszleć i spluć na chodnik. Kiedy się prostuje, widzę, że jest ode mnie niższy o głowę. Co za wypłosz... Kogo oni do tej roboty teraz biorą???

Nie mówię, że to Kompania Reprezentacyjna Wojska Polskiego, ale elementarne dojebanie powinno być.

Przykładam mu nóż do szyi.

– Wchodź do bagażnika – mówię.

– Ale... – protestuje.

– Wchodź, bo cię tam wrzucę – ostrzegam.

Słucha. Wchodzi do bagażnika. Stopy też mu wiąże na trytytki. W sumie power tape byłby lepszy...

– Gdzie jedziemy? – pyta.

– Na grzyby. – Zamykam z trzaskiem klapę.

Zawsze te same durne pytania. Dokąd jedziemy i dokąd jedziemy.

Trzeba go było zakneblować.

A przecież to proste. W tej robocie raz pakujesz do bagażnika, raz jesteś pakowany.

\* \* \*

Znowu ta sama pieprzona droga. Prześladowuje mnie. Jadę do lasu. Mam tam taką znajomą, przyjazną polankę. Dobrze się nadaje do przechowywania. Rzeczy.

Zatrzymuję się na gruntówce, jakieś osiemdziesiąt metrów od głównej trasy. Stąd można już tylko iść na piechotę.

Zdejmuję adidasy. Czas założyć gumofilce. Gnojowisko. Cały teren jest tu podmokły. Wystawiam nogi bokiem z auta i próbuję. Kurwa, za ciasne. Wpycham giry na siłę. Aż stękam.

– Trzeba było więcej zreć – myślę. – Więcej hot dogów...

Podskakuję ciężko trzy razy, żeby stopy się ułożyły. Guma się chyba wyrobi, nie?

Z ponurą gębą i w za ciasnych butach otwieram bagażnik i świecę w niego latarką.

Fajfus mruga oczami.

Tnę nożem trytytki na nogach.

– To, co mam w ręce, to jest nóż – mówię. – Japoński. Na stronie pisali, że bez problemu można nim przeciąć świeżego ananasa. Wyobrażasz to sobie?

Mruga oczami.

– To teraz grzecznie pójdziesz tam, gdzie ci powiem.

Pomagam mu wygramolić się z bagażnika. Ciężko to nazwać entuzjazmem, ale człapie. Idę krok za nim. Ze związanymi łapami co najwyżej może tu wybić sobie zęby, a nie uciec. W ostateczności przywalę mu saperką.

Stajemy na środku małej polany.

– Niech zgadnę. Chciałeś zarobić trochę kasy? Taki miałeś plan? – pytam.

– Ja nikomu nie przeszkadzam!

– Ten teren jest mój. Tylko ja handluję na starym mieście ziołem. Gdybym ja wlaź na twój teren i zaczął sprzedawać, to co byś zrobił?

– Zajebię cię – syczy. – Mówię ci, masz przejebane. Nie wiesz, z kim zadzierasza!

Ciągle to samo. Nie wiesz, z kim zadzierasza, i nie wiesz, z kim zadzierasza...

– Teraz uwolnię ci ręce – mówię. – Nie rób nic głupiego, bo będzie bardzo bolało.

Tnę jednym ruchem i zanim zdąży coś powiedzieć, przykładam mu nóż do gardła. Głowę trzyma teraz wysoko. Bardzo wysoko.

– Masz. – Wręczam mu saperkę.

– Co to jest? – pyta z głupią miną.

– A na co to wygląda? Na kuszę?

– Po co mi saperka? – Koleżce nagle zaczynają szczekać zęby.

– Jak to po co? Wykopiesz sobie grób. A ja cię do niego wsadzę.

\* \* \*

– Widzisz, dokładanie zbadalem temat. Jak się człowieka przebije nożem, to wszystko zależy od źródła krwotoku. Wiesz, co to jest aorta? – pytam.

Nie odpowiada.

Kopie.



– To największa tętnica człowieka – odpowiadam sam sobie. – Ma dwadzieścia osiem milimetrów średnicy. Zaczyna się od lewej komory serca, później jest w górze śródpiersia... – Pokazuję przebieg. – Później chyba idzie nad korzeniem płuca lewego. Nie pamiętam dokładnie. Ale jakoś tak.

Nie odpowiada.

Kopie.

– Ale jak trafi się w aortę, to człowiek wyprawia się od razu. W innych przypadkach wcale jednak nie jest tak prosto. Dajmy na to w Rzymie otwierano sobie żyły w gorącej wodzie. To łagodziło ból. Bo musisz wiedzieć, że boli. A nawet cholernie boli. Rozumiesz?

Kopie.

– Jak stracisz półtora litra krwi, to oddech zacznie ci przyspieszać. Po dwóch litrach będziesz miał zawroty głowy. A później powoli zaczniesz tracić świadomość. Niektórzy się bardzo denerwują. Inni uspokajają. Ty mi wyglądasz na nerwowego – zaznaczam.

Fajfus machnął saperką z ponurą miną, rozsypując ziemię dookoła.

– No, chłopaku, komu kopiesz? No zobacz, jakie to płytkie, przecież cię od razu dzikie zwierzęta wywleką – mówię.

– Mnie świecisz czy sobie? – burczy w odpowiedzi.

– Grzeczniej!

– A co? Zabijesz mnie? – Fajfus robi dwa kroki w tył.

Nie namyślając się wiele, biorę i kopię go centralnie w dupę, tak że sztywny niczym kij wpada ryjem do wykopanego przez siebie rowu.

Zastanawiam się, czy walnąć go jeszcze raz, ale chyba wystarczy.

– Mordeczko. Jeśli kiedykolwiek jeszcze cię zobaczę w okolicach starego miasta, to potnę cię na paski. Rozumiesz? – mówię. – I nie uwierzę, że przyszedłeś napić się piwa czy opierdzielić zestaw w Macu.

Z rowu dobiega jęk.

Zgarniam gumofilcem grudy ziemi i rzucam mu na spodnie.

– Musisz wiedzieć jeszcze jedno: ja zawsze dotrzymuję słowa – cedzę.

Gotów się jestem założyć, że jak fajfus pozbiera się z tego rowu, stwierdzi, że się nie obsrał i przejdzie piętnaście kilometrów na piechotę, to mu zapał do dealerki minie.

Idę do auta.

Siadam na poboczu drogi i usiłuję zdjąć gumofilce. Nic. Jeszcze raz. Kurwa. Tylko wytrzeszczu dostałem. Może by to polać ciepłą wodą? Tylko skąd ja tu wezmę ciepłą wodę?

Z ponurą miną przecinam gumofilce nożem.

Wsiadam do auta. Zasapany, jakbym urodził krowę.

Wrzucam do ust wielką tabletkę i rozgryzam ją na drobne kawałki. Popijam wodą.

A w drodze na kwadrat wstępuję na stację i kupuję cztery żubry. Zamykam się w kiblku i przeszukuję dokładnie plecak. Poza towarem nic tam nie ma. Wywalę go później do pierwszego z brzegu kosza na Jachowicza.

Zioło i hasz sobie zostawiam. Resztę splukuję w sedesie. Niech szczury Kombinatu też mają imprezę.

\* \* \*

Jak stałem się duży?

Moja rodzina była całkiem w porządku. Blok, w którym mieszkałem, był wojskowy, czteropiętrowy, z brzożami dookoła. Darzę go pewnym sentymentem. Sąsiadów miałem dziwnych. Piętro nade mną mieszkała pani Krysia. Dziabnęła męża nożem po pijaku. Nabił się na niego dwadzieścia cztery razy, odsiedziała bodaj siedem czy dziewięć lat. Od tamtej pory już nikogo nie zabiła, więc w jej wypadku resocjalizacja chyba odniosła skutek.

Dzieciństwo też było w porządku, mimo że dzielnica chujowa. Podobno najgorsza w mieście. W bloku obok mnie trzech koleś wyrzuciło dziewczynę przez okno. Kolesie najpierw pili, później ją zgwałcili i porysowali nożami. Wreszcie uczyli ją latać z drugiego piętra. Była pojętną uczennicą i przeżyła. Chodziła później dumna i drżąca, bo ją pokazywali w telewizji. Na TVN leciał wtedy Big Brother, chociaż teraz jest już pokolenie, które nie wie, co to.

Do przedszkola poszedłem, kiedy miałem trzy lata. Najpierw była ósemka, później dwudziestka piątka. Zupa mleczna, kotlet mielony, budyń i buraczki.

Ponoć wszystko w życiu się zmienia. Nie wiem. Ja w dzieciństwie nie lubiłem zupy mlecznej i dalej jej nie lubię.

Jak teraz czasami rozmawiam ze znajomymi i wspominają tamte czasy, to historie wszystkich są takie same. Nawet zdjęcia są takie same. Przedszkolanka z białą brodą z waty i w czerwonym kostiumie Mikołaja trzyma cię za rękę. Ty trzymasz w ręce paczkę. W paczce zazwyczaj była pomarańcza i coś, co przypominało dzisiejszą czekoladę.

Chodziłem po podwórku z kluczem na szyi.

Byłem niezgrabnym dwunastolatkiem, spaślakiem, który potykał się o własne nogi. Parę razy wracałem do domu z rozbitym nosem. Wtedy dostawałem jeszcze wpięrdziel pasem od ojca. I tylko zaciskałem zęby.

A później przyszło lato. I wyjechałem na obóz wojskowy organizowany przez jednostkę ojca. Spaliśmy w namiotach wojskowych. Jedliśmy grochówkę.

Co dzień rano biegałem po lesie. I robiłem pompki.

Koło obozu było boisko do piłki ręcznej.

Na początku wszyscy grali tam w nogę.

Ale jeden z żołnierzy pokazał nam, jak się gra w piłkę ręczną.

I to było coś. Bo to mi naprawdę szło.

Pod koniec sierpnia byłem chudszy o siedem kilo i wyższy o pięć centymetrów. Kiedy we wrześniu wróciłem do szkoły, nagle okazało się, że już nikt nie ma ze mną żadnych problemów. I że jak ktoś widzi mnie na korytarzu, to przyspiesza kroku.

Pod koniec roku należałem już do kombinatowej drużyny piłki ręcznej. I zacząłem regularnie ćwiczyć na siłowni.

Podobało mi się to.

Podobało mi się, że wszyscy się mnie boją.

**Czas do śmierci: 7 dni**

Stara nokia 8210 ze swojego szrotowego głośniczka zaczyna odgrywać melodyjkę *Mozart 40*. Dobry telefon. Ze starych czasów. Nie ma wi-fi, GPS-u czy Bluetooth ani systemu operacyjnego pełnego fajerwerków. Małe prawdopodobieństwo, że ktoś ci coś podrzuci, trudniej jest go zlokalizować.

Tylko piszesz SMS-y i dzwonisz. Nic więcej.

Budzę się. Budzę się na podłodze przykryty kocem. Łóżko jest za miękkie. Usiłuję sobie przypomnieć, kim jestem. Jestem Drwału. Jestem po czterdziestce, mam wątrobę i kręgosłup sześćdziesięciolatka, a mózg przestaje mi właśnie działać.

Kaszlnięcie.

Ból.

Przewrócenie się na bok.

Ból.

Coś wbija mi się w plery, to flaki bołą. Czuję się, jakby ktoś zakradł się tu w nocy i mnie objął bardzo dokładnie tłuczkiem do mięsa.

Proces degeneracji rozpoczął się dawno. W sumie z chwilą, kiedy się urodziłem.

Muszę wstać.

Nie chcę tego robić.

Muszę zacząć nowy dzień.

Nie chcę tego robić.

Leżałbym tylko na tej podłodze, przykryty kocem. Prowadzę negocjacje ze swoim ciałem.

Przez długi czas czułem, że jestem nieśmiertelny. Regularnie niszczyłem się alkoholem, pigułkami, mefą, czymkolwiek, co ktoś sypał na stół. I siłownią. I kolejnymi bombami, żeby być jeszcze większym.

Nie mam już swojego ciała. To ciało obcego człowieka. Biorę środki przeciwbólowe, pijam wodę. Wieczorem to samo, tyle że piguły na sen.

Idę do kibla. Wypite wczoraj browary cisną na pęcherz. Sikając, trzymam się ściany. Patrzą w lustro. O proszę, wystarczy spojrzeć i od razu widać, że to pijak, lekoman i bandyta.

Kuśtykam do kuchni. Wiem, że jak nogi się rozgrzeją, będzie lepiej.

Mieszkam na dziesiątym piętrze starego wieżowca z wielkiej płyty.

Mieszkają tu ci, którzy wyblągali łaskę kredytu, i ci, którzy jeszcze nie umarli, ale ich dzieci już czekają, aż to zrobią. Wtedy sprzedadzą ich chatę w pizdu, aby kupić nowy samochód.

W bloku jest pięć razy więcej osób z psami niż z dziećmi.

Można by tu było zrobić ligę seniora w pięcioosobowych drużynach. Średnia dobija co najmniej sześćdziesiątki. Obniża ją tylko najazd Ukrów, którzy są młodzi i mają dzieci. Jest też trzech Hindusów. Też są młodzi. Chyba. Bo dla mnie są w wieku nieokreślonym.

Mieszkanie ma czterdzieści osiem metrów, kiedyś były to trzy pokoje, teraz chata przerobiona jest na dwa. Duży salon i sypialnia z widokiem na Kombinat.

Może później opowiem, skąd je wziąłem. Później, nie teraz. A może nie. Nie wiem.

Za oknem dwa pasy w każdą stronę, droga przecina całe miasto niczym pęknięcie na wrzodzie.

Droga szumi. Sąsiad z dziewiątego gra:

*olisz sobie mordę, myślisz „polish boy”, ej*

*otowy na wojnę, nabity rewolwer (ej)*

*Wszystkie dupy twoje, dziś wieczorem jesteś king (ej)*

*Dobry klub, łoża VIP*

*Wylawianie z morza ryb<sup>5</sup>.*

Głośnik z basem charczy, jakby zaraz miał eksplodować. Co za gówno, hip-hop zdechł. Dwadzieścia lat treningów, żeby w bit trafić. I wciąż gówno.

Do blendera wrzucam trzy surowe żółtka, dodaje miarkę białka i jednego banana. Zalewam to mlekiem. Miksuję całość i żłopię, gapiąc się przez okno.

Sprawdzam torbę. Nie jestem jeszcze pusty, ale zioła, razem z towarem od Fajfusa i zapasem w garażu, mam na cztery, no, może pięć dni.

W męskim świecie nie ma czegoś takiego jak za dużo alko, pigułek czy za duży telewizor. Tylko kutas jest zawsze o dwa centymetry za krótki.

Ale dzisiaj zaczyna się Festiwal. Piszę na telefonie:

Masło mi się kończy.

I wysłałam.

Biorę prysznic, jęczę cicho, gdy zalewają mnie strugi gorącej wody. Mięśnie się rozprężają. Krew zaczyna być gorąca.

Opieram się dłońmi o ścianę prysznica, robię kilka pompek. Dotykam głowy. Tabletki zaczynają wchodzić. Czuję, że ten motor jeszcze raz zaskoczył.

Kiedy wychodzę z łazienki, na telefonie mam SMS:

Ile chcesz?

Pięć kostek.

Odpisuję.

Odpowiedź przychodzi od razu:

Jutro. 16.00.

\* \* \*

Kiosk Ruchu stoi ze trzydzieści lat. Najpierw siedziała tu stara Agnieszczakowa i sprzedawała fajki i gazety. To były czasy, że ludzie palili po dwie paczki dziennie. Plotka głosiła, że jak ktoś dobrze pogadał, to mógł tu dostać pół litra i solidny kawał wiejskiej kielbasy na zagrychę.

To były inne czasy. Już ich nie ma.

Starej Agnieszczakowej też już nie ma. Zeszło się jej tak jakoś po upadku muru berlińskiego. Zastąpiła ją córka, czyli młoda Agnieszczakowa.

W czasach świetności wyglądała jak Danuta Lato, popularna w latach osiemdziesiątych seksbomba, która wyjechała do RFN-u, a dzięki potężnym, naturalnym cycom sto dziesięć centymetrów w obwodzie wystąpiła na rozkładówce w „Playboyu” i „Penthausie”. A później zaczęła śpiewać i grać w

filmach i prawie, prawie zrobiła dużą karierę, a z całą pewnością całkiem przyzwoite pieniądze, tyle że płacono jej nie w euro, ale w markach.

Młoda Agnieszczakowa takiego szczęścia nie miała. Kariery w filmie nie zrobiła. Jej potężne cycki budziły zawiść koleżanek, drwiny ich matek („Ja mniejszymi to czworo dzieci wykarmiłam”) i wybałuszenie gał u facetów.

Wzięła sobie za męża pierdołę – księgowego, który pracował w Kombinacie. Ale stary, zielony kiosk, gdzie do okienka trzeba było się zginać wpół, zastąpiła nowym, żółto-zielonym pawilonem, do którego można już było wejść. I zamówić zachodnie napoje z lodówki, czyli zimną coca-colę.

A jak schylała się po towar z półki niższej niż blat, to męski świat na moment zamierał. Później wydobywał się jęk. A jeszcze później Agnieszczakowa się prostowała.

I nawet jej owłosione pachy nie były w stanie zniechęcić kandydatów.

To były inne czasy.

– To co zwykle? – pyta. Deczko się obsunęła. Obcięta jak wściekły pudel z czerwoną krechą zamiast ust. Tylko cycki jej ciągle sterczą jak dwie bomby lotnicze.

Kiwam głową i podaję jej kupon Lotto.

Sprawdza i kręci przecząco głową. Nie żebym się spodziewał czegoś innego. Od czterech lat gram te same liczby. Idzie mi nieźle. Sporo dwójek, raz miałem trójkę.

Większość osób jak się je zapyta, co zrobią, gdy wygrają w Lotto, mówi: „Kupię sobie dom, samochód i będę podróżować”. Kiedyś też dużo czasu spędzałem, zastanawiając się, co bym zrobił, gdybym wygrał milion. Pięć milionów. Dziesięć milionów.

Teraz gram, bo zwyczajnie się do tego przyzwyczaiłem.

– Słyszał pan o Zającowej, panie Drwalu? Tej nauczycielce niemieckiego z liceum? – pyta.

– Nie.

– Ostatnią nogę jej ucięli. – Kiwa głową, chyba ze współczuciem.

– Jak to ostatnią? – dziwię się.

– Ostatnią. Wcześniej jej ręce odcięli. I nogę prawą. A teraz lewą. Choroba taka. Kości gniją. Nie wiem, panie Drwalu, czy ja mogłabym żyć w takim przypadku. Życie to tylko pasmo nieszczęść.

Z tym się faktycznie mogłem zgodzić. Świat jest chujowy jak nieszczęście.

– To nie to samo miasto, panie Drwalu, co kiedyś. Pan pamięta, jak dawniej koło czternastej licea wychodziły? Całe centrum gwarne było. A ile tam sklepów było! A ile restauracji! Nawet Sphinx był...

Na wspomnienie Sphinx'a się krzywię. Zjadłem tam kiedyś shoarmę w pięć minut, a sraczkę miałem dwa dni.

– A teraz? Trzy banki na krzyż, jedno muzeum, a reszta zabita dechami – dodaje.

Kobieta podaje mi nowy kupon.

– Na Grodzkiej jakieś knajpy są, nie?

– Ale kto tam chodzi... Gdyby nie Ukraińcy, dawno by się zamykać musieli. To miasto emerytów, panie Drwalu. Zdycha. Jeszcze parę lat i zdechnie całkiem. Przeglądzik? – Macha „Przeglądem Sportowym”.

– Da pani. Zobaczymy, jak te patałachy z kadry się do mundialu przygotowują.

– Esemesa „pomagam” pan im wyśle, panie Drwalu – chichocze.

Krzywię się.

– Im to nic nie pomoże. Jeden Lewy i dziesięciu inwalidów.

\* \* \*

Jeżdżę czarną skodą superb 1.6 TDI, całe sto dwadzieścia koni, raptem dziesięć koma dziewięć do setki, ale setkę to ja w mieście najczęściej leję w gardło, a nie jadę samochodem.

Kura jest w automacie, bardzo wygodne, a w środku da radę zmieścić dwie krowy plus wózek do bagażnika.

Jest używana, dostałem ją w rozliczeniu, przy sprzedaży.

Ale o tym może później, nie teraz.

Jest przed dziewiątą, a już czuję, że się lepię.



Czuję, że śmierdę.

Czuję, jak śmierdzą klienci.

Z tyłu siedzi gruba baba w kwiecistej sukience z grubym dzieckiem, które je wielki baton Prince Polo. Baba też śmierdzi.

Dziecko kruszy. Drobinny czekolady spadają na skórzaną tapicerkę i się rozsmazują z gorąca. Kurs do przedszkola, ponoć samochód jej się rano zepsuł.

Zjeżdżam na prawo, aby puścić jakiegoś giganta szos, który zapierdziela Piłsudskiego, jakby to był tor wyścigowy.

Popijam kefir kupiony w Żabie.

Dziecko w rekordowym tempie zżera batona, usta i ręce ma całe upierdzielone czekoladą. Teraz nimi smaruje dookoła. Na szczęście prawą rękę wytarło w kieckę matki, jak nie widziała.

Ale i tak z dziesięć minut sprzątania, jak nic.

– Mama!

– Co?

– Drugiego batona kce.

Kobieta kręci głową.

– Nie dam ci, bo będzie ci niedobrze.

– Nie będzie.

– Będzie.

– Ale ja kce!

– Nie. Cicho. Bo powiem ojcu.

– Kce!!! Kce!!! Kce!!!

Mały potwór zaczyna kopać w moje siedzenie, waląc mnie po plerach. I dlaczego zrezygnowano z bicia dzieci? – myślę. Jak sprzedałem gąsior wina dziadka (z zawartością), to mnie obił trzonkiem od łopaty i jeszcze zabrał pieniądze. Niech mu ziemia ciężką będzie. Ale zapamiętałem, co miałem zapamiętać.

– Pani uspokoi dziecko – cedzę przez zęby, wyobrażając sobie, jak kopię tego gównojada w dupę, tak że zatacza piękny łuk nad Kombinatem.

Nie każdy nadaje się na ojca. Ja nie.

– Kce! Kce! Kce!!! – Gówniak zaczyna szarpać matkę za rękę.

Ta wzdycha ciężko, po czym sięga do torebki i wręcza mu drugiego batona.

Dziecko odpakowuje, po czym od razu wsadza pół do ust. Otwieram gębę ze zdziwienia. Ja nie byłbym w stanie dokonać podobnej sztuki. A ten bez problemu.

Przełyka potężną kulę, którą ma w ustach, po czym wyszczerza się do mnie do lusterka, pokazując czekoladowe zęby i twarz uwaloną na brązowo.

Skrećam w osiedlową drogę, żeby podjechać bezpośrednio pod przedszkole.

Młody nagle blednie. Później zzielenieje. Oho. Zapowiada się. Jak to widziałeś raz, już z niczym nie pomylisz.

– Będzie rzygał – mówię. – Na drzwiach są torby...

– Co pan za głupoty opowiada? – Kobieta zaczęła się odpalać jak startujący odrzutowiec. – Wytrzyma, niech pan jeszcze kawałek podjedzie. Mój Miki nigdy...

I nie słyszę już, czego Miki nigdy, bo w tym momencie gówniak robi glurp, na moment jeszcze sinieje, a później puszcza strugę niczym syfon. Wali bełta prosto na kwiecistą sukienkę matki i do jej torebki.

Tyle dobrego.

W aucie momentalnie śmierdzi kwaśnym pawiem. Zatrzymuję się pod przedszkolem i ocieram pot z czoła.

– Miki. Wsiadamy. – Kobieta wydaje komendę.

Podtykam jej terminal.

Fuka, ale dotyka go telefonem.

Wręczam jej paragon.

– Ile? Dwadzieścia pięć złotych za ten kawałek??

– Za kurs dwadzieścia pięć. A za pranie tapicerki...

– Czy pan oszalał?? Czy pan myśli, że ludzie to srają pieniędzmi?

Rzygają.

– Szanowna pani, za pranie tapicerki dwieście złotych się należy.

– Ile??? Jak pan śmi! Dziecko chore jest! Cierpi!!! Ma chorobę lokomocyjną, a pan bez serca jest! To pana wina! Za szybko pan jechał! I to jeszcze z dzieckiem!

– Proszę pani, muszę teraz zjechać do myjni i wyczyścić całe auto wewnątrz – mówię. – Nikt mi tego za darmo nie zrobi. Najlepiej byłoby jeszcze zrobić w środku ozonowanie...

– Pan dostaje pieniądze za kurs! To wystarczy!!! – Kobieta wstaje i ostentacyjnie strzepuje rzygi na podłogę auta. – Ja złożę reklamację! – krzyczy. – Ja z torbami cię puszczę... Ja skargę napiszę!!!

Złotowo jebana – odpowiadam w myślach.

– Tyyy... Tyyy... TY ŻŁOTÓWO!!! Ty nie wiesz, kim ja jestem!!!

O przepraszam, to akurat wiedziałem na setę.

\* \* \*

Jadę na myjnię bezdotykową. Wrzucam pięć ziko i z ponurą miną splukuję rzygi z gumowych dywaników. A później paczką wilgotnych chusteczek dla niemowląt (zmyją wszystko, sekret perfekcyjnego taksówkarza) usiłuję doczyścić kanapę.

Cały świat składa się z rzygów i gówna.

Po pół godzinie, cały zlany potem, siadam z powrotem za kierą. W środku od tych chusteczek wali chemią. Chyba chodzi o to, aby matka, przewijając dziecko, traciła węch na kilka minut.

Znowu wysiadam, daję jeszcze neutralizator zapachu. Każda złotowa go wozi, bo to, że ktoś się porzyga albo gorzej, jest tylko kwestią czasu.

Kiedyś w pory narobił mi jakiś naładowany małolat. Gdy ścierałem ślady gówna (również chusteczkami dla dzieci), wyobrażałem sobie, że tłukę go po mordzie, a między moimi palcami tryska jego krew.

Nie miał przy sobie kasy, żeby zapłacić za kurs. Zabrałem mu czarną kurtkę od Tommy’ego. Później okazało się, że to podjeba. To był chujowy dublet.

Otwieram okna i jadę dalej.

\* \* \*

Przed czternastą zjeżdżam na Orlen. Nic się dzisiaj i tak nie dzieje. Czuję potrzebę, aby wstać i rozprostować nogi.

Pusty dzień.

Trzy kursy.

Po rzygaczu była jeszcze matka z dzieckiem, które spóźniło się do szkoły. Jak wpadliśmy w dziesięciminutowy korek, to dziewczynka uśmiechała się z dziką satysfakcją. Specjalnie dla niej jeszcze zwolniłem, nabijając dodatkowych kilka minut. Wsiadła wniebowzięta.

Później była emerytka, którą wiozłem do przychodni.

– Kaczyński to złodziej. Tusk to złodziej. Duda to też złodziej – sapała.

Kiwałem głową. Polityka mnie nie interesuje. To jest jak gang. Chodzi tylko o to, aby mieć kasę i być bliżej szefa.

Całego utargu mam niewiele ponad stówę. Nie da się z tego utrzymać. A od kiedy jest Uber/Bolt, to już w ogóle nastąpiła kompletna padaka.

No, chyba że pracujesz po czternaście godzin na dobę.

Jak to mówi Boczek: „Śpi ten niewolnik, zwinięty w kłębek na tylnej kanapie. Żre też tam. Właściwie stamtąd nie wychodzi. Jebie jak w trollowni w takim bolcu. I na wszystko: »on nie panimajet, mapa jemu tak skazała«”.

Boczek się nie boi i jeździ na dopał.

Co to jest dopał?

Generalnie taksometr odczytuje ilość wykonanych obrotów koła samochodu, tak aby zmierzyć, ile kilometrów się przejechało. Dopał sprawia, że te impulsy przepływają szybciej. Przy jednym obrocie może naliczyć, że miały miejsce dwa.

Raz Boczek dopali sobie pięć ziko do każdego kursu, aby mu się jazda lepiej bilansowała. A jak ktoś jest w weekend najebany i wraca nocą, to dorzuci mu dychę albo i dwie.

Dopał można założyć po znajomości i za spore pieniądze w serwisie. Są tam specjaliści, którzy robią takie dzikie podłączenie w kable przy pomocy ładowarek od telefonów czy innego cholerstwa.

Gorzej, jak cię z tym złapie ITD, czyli Inspekcja Transportu Drogowego. Wtedy mogiła. Nie wrócisz już za kierę. Może i dobrze. Ja bym powiedział, że jak komuś przyjdzie do głowy zostanie złotową, to niech po pierwsze pójdzie do psychiatry, a jak to nie pomoże, niech wybije sobie trzonowce młotkiem.

Jeżdżę tylko dlatego, że dzięki temu mam kontakt z ludźmi. I pretekst do kręcenia się po mieście.

\* \* \*

Rysiek z Boczkim już siedzą w... Powiedzmy w kawiarni. Obaj mają przed sobą wielkie kubki z kawą, które tutaj nazywają się mega. Kawa – jak to kawa ze stacji – przypomina rozwodnione, gorzkie mleko, które wykręca mordę. Przed Ryśkiem leży hot dog, Boczek żre frytki.

Razem wyglądają jak ta para aktorów ze starych, czarno-białych filmów. Flip i Flap? Było kiedyś coś takiego.

Boczek jest niski, gruby, ma kwadratowe palce i szarosiwe włosy. Jakby istniał wzór polskiej złotowy, to pasowałby do niego 10/10. Na taryfie jeździ trzydzieści lat, jak nie więcej. Wypierdział już kilkanaście samochodowych foteli.

Dla odmiany Rysiek jest wysoki, lekko zgarbiony i chudy. Z wyglądu przypomina szakala, ale to dobry chłopak. Najgorsze połączenie: miły i głupi. Ma żonę i dziecko – nie swoje. Ale z drugiej strony, wszystkie dzieci nasze są, więc w pewnym sensie i jego. Ma też samochód w leasingu, więc za kółkiem każdego dnia spędza po dwanaście godzin i więcej, aby zarobić na ratę.

Zdaniem większości jest ustawiony w życiu, moim zdaniem jest ujebany, cały czas z ustami centymetr nad gnojowicą, modląc się, aby nie przyszła fala. Współczesne niewolnictwo, gdzie za marny hajs sprzedajesz swoją duszę.

Kobiety opowiadają sobie historię miłości Ryśka i twierdzą, że jest strasznie romantyczna. Nie wiem, co w tym jest romantycznego. Ale ja się nie znam.

Wiolkę, czyli obecną żonę, poznał jeszcze w liceum. Od początku suka szatana, dziwka historyczna i zepsuta. Nawet ładna, ale przede wszystkim niedostępna. A jak ktoś jest niedostępny, to od razu się w głowie pierdoli.

Rysiu wzdychał. Wręczał jej własnoręcznie pisane wiersze. Raz Wiolka miała smak na lody truskawkowe. To poleciał do sklepu. Wiola polizała kawałek, skrzywiła się i wywaliła całość do śmieci.

– Niedobre – powiedziała. – Wolę czekoladowe.

Jej koleżanki wybuchnęły jadowitym rechotem. A Rysio grzecznie poszedł do sklepu i kupił czekoladowe. Żałosny debil. Nawet młode dziewczyny nie szanują chłopaka, nad którym mają władzę absolutną. Najbardziej lubią chujów, którzy ich nie chcą.

Później to już było disco polo. Wiolka zrobiła sobie dziecko z jakimś przygłupem, nieudanym zawodnikiem MMA z rekordem 0-6. Przygłup uciekł do Irlandii, a ona usiłowała skapitalizować to ze swojej urody, co jeszcze jej zostało.

Jakakolwiek relacja z nią była zgubna.

Wysysała cię z kasy i energii.

Chciałbym powiedzieć, że to specyfika Kombinatów, ale nie. Takie kobiety teraz dominują na świecie. Jeśli nie masz paru złotych i dobrej fury, to będziesz śmigał na ręcznym, aż ci sprzęgło pójdzie.

Mamy dziesięć przykazań. Siódme: nie stukaj zachłannych na kasę suk. To nie ty dymasz je, tylko one ciebie.

To teraz ta część romantyczna. Kilka lat temu na corocznych Dniach Kombinatów grali Golcowie, śpiewała miss Monika Lewczuk, a Rysiek gdzieś między kiełbą z grilla a trzecim piwem wpadł na Wiolkę.

Miała spojrzenie kiepskiej aktorki z telenoweli. A Rysiek duże mieszkanie w kamienicy po babce. Więc po raz pierwszy i ponoć jedyny wzięła go w usta. A potem szybko wzięli ślub.

Ale wyczekał ją? Wyczekał.

Kobiety mają łzy w oczach, jak słuchają o szkolnej miłości, która się wbrew przeciwnościom losu ziściła po latach? Mają.

– Cześć, Drwaluuu. Jak dzień? – pyta Rysiek, nie przerywając przeżuwania.

– Pusto. Za to gówniak mi w samochodzie narzygał – odpowiadam.

– Uuuuuu. Na sylwestra, jak ostatnio jeździłem, baba mi pawia w samochodzie puściła. Całe drzwi zarzygane, bo okno otworzyć chciała – chwali się Rysiek.

– To otworzyła czy nie otworzyła? – pytam.

– Nie zdążyła, przecież mówię – prycha. – I jeszcze na podłodze jej siadło. Wyjebałem ich w połowie drogi.

– Zapłacili? – pytam.

– Dwieście. I Kazimierza za kurs facet dorzucił. W sumie to nawet głupio im było.

– Jakby ci narzygali centralnie na tapicerkę na kanapie, inaczej byś gadał – prycha lekceważąco Boczek.

Boczek z Ryśkiem trochę się lubią, a trochę nie. To znaczy zawsze się kłóć, ale z drugiej strony jak Rysiek miał trzydzieste piąte urodziny, to Boczek w prezencie postawił mu kurwę, i to wcale nie najtańszą.

Plącę przy ladzie za kawę i hot doga z musztardą sarepską, którą tutaj wszyscy nazywają saperską, bo pali bezlitośnie parnik. Niedźwiedź panda ma bardzo prostą dietę: na śniadanie je bambusa, na obiad je bambusa, na podwieczorek je bambusa i na kolację też je bambusa. W sumie nawet czterdzieści kilo dziennie.

To tak samo jak taksówkarz. Taksówkarz na śniadanie je hot doga, na obiad je hot doga i na kolację je hot doga, popijając browarem, a później ma czterdzieści kilo nadwagi.

Mam sto dziewięćdziesiąt jeden centymetrów wzrostu. Jak byłem w formie, czyli dekadę temu, ważyłem dziewięćdziesiąt kilo. Teraz ze sto dziesięć.

Kłamiesz.

Sto piętnaście.

Dalej kłamiesz.

Może sto dwadzieścia. Dawno się nie ważyłem.

Kiedy wracam od automatu z kawą, dyskusja trwa w najlepsze.

– Za pranie tapicerki teraz minimum czysta czeba dać! – burczy Rysiek. – Inflacja!

– Trzyysta? – Boczek się pieni. – Chyba dawno nie prałeś. Za trzysta to masz terminy za tydzień. A jak w pralni usłyszą, że ma być od ręki i złotowa, to już nie mają limitu. Wychodzi sześćset jak nic.

– Jak mi ktoś narrrzyga na kanapę, ale tak centralnie, to liczę się z delikwentem tak: pranie czysta, ozonowanie wnętrza po pawiu sto pięćdziesiąt. No i jeszcze pięćset – bo cały dzień już nie pojeżdżę i stratny jestem, nie? – cedzi Rychu.

– Dzień? Jaki, kurwa, dzień??? Toż dwa dni tapicerka schnąć musi!! – Boczek się wkręcił w gównoburzę i już drze ryja. – I gdybym nie jeździł, to może bym uwierzył. Wsiadam, rzucam pawia na tył, a ty mi krzyczysz, ile ci się tam przyśni, pięćset, tysiąc czy dwa tysiące. Już widzę, jak to ze mnie ściągniesz! – Boczek szczerze rechocze.

– To wpierdol – odgraża się buńczucznie Rychu.

– To sam po ryju dostać możesz. Ostatnie zęby stracisz i po co ci to? Nie wiesz, jakie menele nocą po Kombinacie jeżdżą?

– Bejzbola w bagażniku mam! – zaperza się Rysiek.

– To jebnij się nim w łeb!

Nie mam potrzeby poszerzania swojej wiedzy na temat prania tapicerki.

– Idę posprzątać do samochodu – mówię.

Kiwają głowami. Nie ma między nami przymusu rozmowy. To wygodne.

– Dzisiaj wieczorem to się obłowisz, nie? Koncerty się zaczynają – mówi, jakby z zazdrością w głosie, Boczek.

– Zobaczymy – odpowiadam wymijająco.

Nie chcę z nimi o tym gadać.

\* \* \*

Najlepsza do jazdy jest Wigilia. Jedyne dni w roku, gdy ludzie dziękują, że przyjechałeś. Jest lepsza od przereklamowanego sylwestra, kiedy do północy roboty prawie nie ma.

Dobra jest też Wielkanoc – rodziny udają, że się lubią, i się odwiedzają, no i piątek i sobota, bo życie jest na tyle paskudne, że można je poprawić, tylko



wprowadzając się w stan baśniowy, robiąc pięć piw, kebsa i litra.

Jednak z mojego punktu widzenia najlepszy jest festiwal. A właściwie Kombinat Hip Hop Festiwal. Coroczny spęd miłośników dresów, zioła i autotuna. Pod hasłem: „Nie śpij, tylko tańcz”.

Bilety na plażę są po pięć i pół stowy, choć jakby mnie kto pytał o zdanie, powinny być po czterysta dwadzieścia. I tak stać na to głównie ludzi z Warszawy. Ci, co przyjeżdżają, są jak z kserokopiarki. W drogich ciuchach i nowych air maxach opowiadają, jak to muzyka nie ma granic i wszyscy wobec niej są równi. Będą jeździć po mieście i szukać dodatkowych rozrywek. A wtedy będą potrzebować mnie.

Idę do samochodu. Na masce na słońcu leży rudo-biały kot.

Patrzy na mnie wyjątkowo nieprzychylnie.

– No i gdzie leżysz?

– Miau.

– I co drzesz mordę? – pytam.

Przekrzywia łeb, jakby mnie słuchał.

– Miauuu – mówi jeszcze raz, jakby zwiększając nacisk.

– Miau, miau. Lakier mi porysujesz. Parówkę chcesz? Specjalnie dla ciebie bez musztardy.

Wyjmuję z hot doga kawałek parówki i rzucam mu obok samochodu. Kot zeskakuje z maski i zaczyna nieśpiesznie jeść. Z samochodu wyjmuję „Przegląd”. Siadam na krawężniku. Siorbię łyk kawy i jem czerstwą bułę, czytając artykuł o Krychowiaku zatytułowany *Nie zawsze wszystko musi być przeze mnie*.

Prycham lekceważąco.

Kot kończy parówkę i podchodzi do mnie. Ociera mi się o nogi. Głaszczę go. Futro jest ciepłe i miłe. Drapię tego bydlaka jeszcze za uszami i po szyi. Zachwycony wygina się w łuk. Skacze mi nagle na kolana, po czym dotyka mnie chłodnym nosem. I układa się, jakby właśnie znalazł pieprzoną kanapę. Aż mi głos odbiera od tej bezczelności. Zastygam. Kot mruczy i wbija mi w nogi pazury. Skurwiel.

Ma na szyi obrozę. Jest na niej napis – Rudolf – oraz numer telefonu. Wybieram numer. Przecież tego debila zaraz coś tu potrąci. Po trzecim sygnale odbiera kobieta.

– Mam pani kota. Na Orlenie go znalazłem – mówię.

– To jest kot wychodzący, pan go zostawi – odpowiada. Ma młody, wyprasowany głos.

– Jest pani pewna?

– Tak. Wróci do domu. Jak nie dzisiaj, to jutro. Zawsze wraca. Koty zawsze wracają.

Rozłączam się i drapię Rudolfa pod brodą. Ziewa, demonstrując ostre zęby. Ale rozbójnik. Ostrożnie stawiam go na chodniku. I idę do auta bawić się neutralizatorem zapachu.

Ja jebię. Jeszcze mam ślady krwi w bagażniku po tym obsrańcu.

Krew najlepiej zmywa się zimną wodą.

\* \* \*

Zaczyna się. Kręcę się trochę po mieście. Z radia Kombinat w samochodzie lecą same naftalinowe kawałki.

*Freedom* George’a Micheala.

Guns N’Roses.

*Blur* Song 2.

I David Bowie.

Ściana dźwięku. Pamiątki z czasów, kiedy nie było jeszcze YouTube’a i w MTV puszczała muzykę.

Wiozę trzech młodych koleżków. Coś mówią o sesji na polibudzie. Lekko napruci. Rozbiegane oczy. Za duże spodnie, czapki z daszkiem na głowie, najacze na nogach. Mimo że jest ciepło, mają na sobie bluzy z napisem „Team Gleba”.

Nadgnili hiphopowcy. Jedziemy, kurs na plażę.

Zaczęło się – myślę.

Taksówkarz jest jak miejskie biuro turystyczne, tylko na odwrót. Wie, gdzie są najlepsze i najgorsze burdele w mieście. Gdzie o trzeciej rano można kupić flaszkę, a gdzie kwiaty. Który kebab jest otwarty do późna. I najważniejsze – gdzie można kupić towar. Nocą wszyscy pasażerowie są pijani albo naćpani i przeważnie chcą więcej.

– Jestem sportowcem – upiera się jeden z hiphopowców. Najwyższy, w czapce z krową i napisem „Cash”. – Gram w piłkę, nie?

– Chyba w klubie KS Rembertów Mefedron – rechocze najmniejszy, chudy i jakiś spłoszony.

– Owszem, wciągam! Ale gram – upiera się wysoki. Swoją drogą zapalilibyśmy...

– Tu palić nie wolno – mówię. – Ale jak chcecie, to się zatrzymamy na moment, to sobie, chłopaki, wypalicie.

– Packa byśmy przypalili – mówi najmniejszy. – Nie zna pan kogoś, kto ma zioło?

Błagalne spojrzenie.

– W sumie to znam. Ale nie tak zawodowo, prywatnie mogę popchnąć. A ile byście chcieli? – pytam.

Goście w bluzach patrzą na siebie.

– Z dziesięć gramów – mówi najbardziej misiowaty.

Tyle świeżym klientom to nie sprzedam. Za duże ryzyko. Pierwsze przykazanie: nie wolno chcieć za dużo. Jak ostatnio chciałem za dużo, to skończyłem tam, gdzie nie chciałem wracać. Za to na drobny detal psy nie zwracały uwagi.

– Pół miasta chcecie upalić? – śmieję się.

Śmieją się ze mną.

– Tyle to ja nie mam, chłopaki. Trzy gramy mogą być? – Wyciągam trzy samarki z ziołem. – Od płuc mi odejmujecie – mówię.

Ten najmniejszy pośpiesznie chowa samary do kieszeni.

– Ile? – pyta rzeczowo.

Drapię się po głowie. Normalnie biorę po czterdzieści za gram, ale to jest napalony klient. A czasy ciężkie. Inflacja, krew i rzyganie.

– Dwieście. Kurs gratis – decyduję.

Zygmunt I Stary zmienia właściciela.

Festiwal ma swoje prawa.

\* \* \*

O dwudziestej trzeciej jestem prawie pusty, mimo że już raz podjechałem do garażu uzupełnić zapas.

Powietrze jest mokre, można je nabierać łyżką. Azja. Wdycham obłoki wilgotnej i gorącej pary. W ubiegłym roku w pierwszy dzień festiwalu był deszcz. Łało potwornie, ludzie w strugach wody tańczyli pod sceną. Ale zła pogoda psuje handel.

Znowu bolą mnie plecy.

Przeciągam się.

Wydają dźwięki jak psująca się lodówka.

Liczę. Znajomek dres ze Słodkich wziął piętnastkę, aby pogonić na plaży i żeby mu się bilet na festiwal zwrócił. Dwóch stałych klientów wzięło po piątce. Właśnie jechałem uzupełnić zapas, kiedy zadzwonił do mnie recepcjonista z hotelu na starym mieście. I wziął dwadzieścia pięć. Goście muszą się resetować po podróży. A on im sprzedaje towar z przebitką i będzie miał na tym ładnych kilka stów. Plus jeszcze napiwki.

Do tego doszło kilka drobnych tematów i znowu w kieszeni mam tylko jedną samarkę.

Grubo. Ale skoro jest ruch, to trzeba znowu jechać po zioło. Tyle że nie mogę, jest zlecenie, wszyscy zajęci, muszę wziąć kurs na dworzec.

Parkuję na postoju tuż przy niedawno przebudowanym szaro-zielonym budynku.

Czekam pięć minut i już mam wrażenie, że nic z tego nie będzie, kiedy pojawia się młoda siksa z wielką walizką. Ciągnie ją z trudem za sobą.

Jestem zmęczony, na początku nie zwracam na nią większej uwagi. Biorę do ręki walizę i prawie mnie zgina. Co ona tam wiezie? Trupa? Beton, stal i pół Rossmanna? Torba waży ze czterdzieści kilo. Wkładam ją do bagażnika, uważając na plecy. Mój wzrok zahacza o jej nogi. To, co widzę, jest na tyle interesujące, że obcinam ją z ciekawością. A jest co.

Takiej sztuki to dawno nie widziałem.

Wygląda na dwadzieścia pięć lat. Ile ma naprawdę, nie wiem. Nierówna grzywka, świeżo umyte blond włosy za cycki, duże usta, długie rzęsy niczym u Bambi, džinsowa minispódniczka, niemal cały bufet na wierzchu. Wielki wisiorek w kształcie krzyża na szyi.

Ładna dziewczyna, tfu, kobieta. Naprawdę seksowna. Idealna do heblowania bobra. Dawno temu byłaby nawet w moim typie.

Ma spojrzenie gwiazdy, która jest przyzwyczajona do tego, że mężczyźni składają jej hołd. Oczywiście, chce jechać na Rybaki. Ma ciepły głos kogoś, kogo wszyscy zawsze słuchają.

Mówi dużo i gęsto, głównie o sobie.

Słucham więc, że kolo, który przywiózł ją blablacarem z Warszawy, wmówił jej, że stąd jest blisko na plażę. Że nic nie jadła od rana poza dwoma białkowymi batonami. Że ma ochotę poleżeć na piachu z psiapsiami, popatrzeć się w niebo i posłuchać Sokoła.

Im jestem bliżej, tym bardziej słyszę brudny bit.

Aż mi się od niego odbija.

Ktoś krzyczy:

„Chcem zobaczyć, jak Kombinat się budzioiiii. Cały Kombinat skacze!!!”.

Czuję się, jakby ktoś zostawił mnie w oknie życia. Zatrzymuję się koło kępy krzaków. Dalej nie mogę już jechać.

– Dwadzieścia sześć dwadzieścia – mówię. – Jak nie masz drobnych, to może być dwadzieścia pięć.

Kobieta pracowicie grzebie w torebce. Trzepocze rzęsami. Ja znowu myślę o garażu. Jeśli teraz pojedę, to ile brać? Od razu na jutro? Czy tylko trochę na dzisiejszą noc?

Jak wezmę na jutro, to będzie tego trochę za dużo. Z drugiej strony, jak wezmę teraz dwudziestkę czy trzydziestkę, to jutro rano będę musiał jechać jeszcze raz.

Blondynka przewierciła już chyba całą torebkę na wylot.

– *Fuck*. – Przewraca oczami. – Nie mam kasy. Nie wzięłam portfela. Jestem kompletnie bez kasy. Ojejku, i co teraz? Co my teraz zrobimy??? – Spojrzenie przejechanej sarny.

Mam niejasne wrażenie, jakby na coś czekała.

– Dobra. Idź – mówię zrezygnowany. Nie będę przecież stał tutaj jak debil, czekając pół godziny na dwie dychy. – Miłej zabawy – dodaje.

– Serio? – dziwi się. – Może ci strzepać? W ramach tej... no, REKOMPENSATY – pyta nagle zalotnie.

Teraz ja się dziwię. Dobra, kiedyś to było coś normalnego. Ale teraz? Dlaczego ona chce mi trzepać, kiedy mówię jej, że ma spadać?? Zamieniłem się nagle w księcia z bajki? Patrzę w lusterko. Nie, to ciągle ta sama, głupia morda.

Cóż, znam takich, którzy by skorzystali. Boczek na pewno.

Patrzę na nią zmęczonym wzrokiem, jak na ekskluzywną zabawkę w salonie jubilerskim, która wiesz, że jest ładna, ale zdecydowanie nie dla ciebie. Trzeba wiedzieć, pod które okno podstawić drabinę. To nie mój świat. Już nie.

– Nie, dzięki, mała – mówię. – Zresztą ponoć dobro wraca. Karma i takie tam.

Pomagam jej jeszcze z walizką. Prawie wrywa mi łapę ze stawów. Dziewczyna uśmiecha się do mnie jakoś dziwnie.

– Jesteś bardzo miły, wiesz?

Niech będzie, że jestem. Ale ni chu, chu nie wierzę w bajeczkę o zapomnianym portfelu.

Podnoszę rękę na pożegnanie.

I trochę mi się przypomina, jak to jest być bez kasy.

I trochę mi się przypomina, jak to jest być młodym.

Człowiek musi się wtedy bawić, ruchać i podróżować. Później jest już za późno.

Dziewczyna oddała się z walizką.

– Młoda! – wołam za nią.

Podchodzi, kołysząc biodrami.

Wciskam jej do ręki ostatnią samarkę.

– Baw się dobrze z psiapsiami – mówię. – Witamy w Kombinacie.

Nie czekam na pożegnanie.

Otwieram okno, wsuwam do cd-ka płytę Depeche Mode i jadę na garaż.

*It's a competitive world*

*Everything counts in large amounts<sup>6</sup>.*

Festiwal trwa.

## **Czas do śmierci: 6 dni**

Nokia zaczyna grać, gaszę ją prawą ręką. Coś mi zżera żołądek. Oczy pieką. Miałem odpocząć, a czuję się gorzej niż w momencie, kiedy kładłem się spać.

Wstawanie po czterdziestce jest takie upokarzające. Jedyne, co chcesz powiedzieć, to: „Jestem zmęczony”. Biorę zimny prysznic. Myję twarz, golę się. Z przyzwyczajenia golę też jaja. Moczę włosy i zaczesuję je do tyłu.

Przyglądam się sobie w lustrze. Wory pod oczami, czerwone oczy, siwiejące włosy. Wyglądam jak gówno – myślę.

Na początku byłem bramkarzem w Euforii.

Później byłem negocjatorem. Negocjowałem z ludźmi, którzy pożyczyci pieniądze, a ich nie oddali.

Czasami wystarczało, że po prostu się pojawiłem.

Czasami trzeba było kogoś zawinąć w dywan i bić batonem.

A czasami, w wyjątkowo ciężkich sytuacjach, trzeba było wystawić przez okno.

Czy żałowałem tych ludzi?

Rzadko.

Oni dobrze wiedzieli, od kogo pożyczają. I wiedzieli również, jakie jest ryzyko.

Teraz jestem podstarzałą złotówą handlującą ziołem. Mówcie mi Drwalu.

Kiedy to się stało?

Nie wiem.

Nie wiem, po co ludzie mają napinkę na długie życie. Proszę, niech to się już skończy, proszę.

\* \* \*

Przywlokłem się do domu koło czwartej rano.

Ostatni kurs miałem na Lachmana koło żłobka. Pod blok podjechaliśmy w pięć taksówek. Impreza dobiegała końca. Kto miał się upić, już zaliczył zgon. Kto miał coś wyrwać, też już to zrobił i pojechał na chatę, aby skosztować swoją nową miłość, która wybuchła w nocy, a miała się zakończyć równo z pojawieniem się kaca i poranka.

Do mnie wpakował się chudy lamus w okularach. Miał brodę, niezwykle starannie ułożone włosy i wyjątkowo hałaśliwego bazyła pod pachą. Dziewczyna miała pomalowane na czerwono usta, wielkie jak tłuste robaki. Śmiała się tak samo głośno, jak była pijana.

Wskazałem im torebkę na rzygi. Wzięli. Chcieli jechać na drugą stronę Wisły. Na moście dziewczyna rozpięła chudemu rozporek i zaczęła nad nim pracować ustami. Puściła mi spojrzenie w lusterko, po czym mrugnęła okiem porozumiewawczo.

Nic mnie już nie zdziwi. Kiedyś widziałem, jak z tyłu sześćdziesięciolatka obciągała dwudziestolatkowi. Pamiętam, że doszedł z głuchym stęknieniem.

Jakie miasto, taki *high life*.

Za oknami przesuwała się Wisła.

Nie patrzyłem dłużej w tył, nie interesowało mnie to. Marzyłem tylko o tym, aby odstawić furę i iść spać. I to mimo że całkiem niedawno walnąłem



pigułę z modafinilem. Chyba się uodporniłem. Chyba powinienem zwiększyć dawkę.

Chudy jęczał. Kiedy skończył, dziewczyna wyjęła z torebki paczkę gum, pozuła chwilę, po czym uderzyła z nim w ślimaka. Mnóstwo tematu do przełknięcia.

Plus? Dostałem całe dziesięć ziko napiwku.

Jak na Kombinat to całkiem hojnie.

\* \* \*

Wkładam pomięte, bure spodenki, które wyglądają, jakby pies je mordą poszarpał. Do tego klapki. Podchodzę do stołu, gdzie leżą kluczyki od auta i piniądze.

W bankrollu jest dobrze, prawie siedem koła.

Czasami myślę, że wolałbym wierzyć w Boga niż w pieniądze.

Wczoraj sprzedałem jakieś sto sześćdziesiąt gramów. Ale festiwal jest raz do roku. Normalnie szło dziesięć, piętnaście. W weekendy trochę więcej. Jedyńka kosztowała czterdzieści zeta, z czego miałem na czysto połowę. Przeciętnie z zioła robiłem osiem – dziesięć koła miesięcznie.

Czasami, ale rzadko, dorzucałem do tego trochę leków. Młodzi walili coraz częściej DXM, pseudoefedrynę i benzydaminę. Ale to wszystko można bez recepty kupić w aptekach, głównie w środkach na kaszel. Ja wolę hydroksyzynę, xanax lub coś z tramadolem.

Podstawowa zasada: z dała od twardego towaru. Nie ma sensu ryzykować, nie ma sensu rzucać się w oczy. Nie mam zamiaru znowu pakować się w kłopoty. Jestem całkowicie zresocjalizowany.

Podchodzę do lodówki. Wyjmuję ostatniego zebra. Jest samo południe, a na zewnątrz jak nic już ze trzydzieści pięć stopni.

Idę na dach. Wyjście na ostatnią kondygnację jest zamknięte metalową kratą, ale za parę gramów dogadałem się z cieciami i dał mi klucz. Siedzę tam, piję piwo, czasami chce mi się nawet wziąć ze sobą przenośną lodówkę.

Na dach idzie się przez niewielkie pomieszczenie, wyrastające z bloku jak nowotwór.

Kiedyś to była ponoć suszarnia. Trzymam tam kilka leżaków i wielki parasol. Biorę jeden. Rozkładam. Rozpieram się i zaczynam pić piwo.

To się nazywa śniadanie – to, co ja robię.

Pierwsze piwo smakuje najlepiej.

Powinno się na dachu zasadzić trawnik. Na pewno są metody, aby to zrobić. Byłoby wtedy trochę jak na wsi. Kiedyś to wszystko porośnie trawa.

Na północy mam widok na Kombinat.

Z kominów Kombinatu leci dym.

Niuch, niuch – to śmierdzi Kombinat.

Siara z gównem i błotem.

Na zachodzie jest plac przed teatrem. Fale bloków z wielkiej płyty, cztero- i dziesięciopiętrowe, przedzielone przedszkolami, dresami, emerytami, przychodnią i wyrastającymi jak armia zombie Żabkami.

\* \* \*

Jeśli chodzi o popełnienie samobójstwa, to wieszanie się skreśliłem w pierwszej kolejności.

Po pierwsze to boli.

Po drugie to cholernie skomplikowane.

Tylko świeżakom wydaje się, że powieszenie to taki fajny i szybki sposób na rozstanie się ze światem. Wystarczy przerwać rdzeń kręgowy, czyli skrócić kark. I od razu udajesz się do krainy wiecznych emejzingów. Tyle że w bloku z wielkiej płyty powieszenie się to odpowiednik polizania się w piętę. Jasne, jak się uprzesz, to możesz.

Ale wcześniej się zamęczysz.

Na początek musisz dobrać sznur, który się nie zerwie. Jak poszedłem do Obi, to znalazłem taki do podwiązywania drzewek owocowych i drut kolczasty.

Jak nawet ten sznur znajdziesz, to trzeba go jeszcze do czegoś przymocować. Najlepiej przy suficie. Weź sobie przewierć żelbet. Nawet udarówki wysiadają i grzeją się jak małolaty w piątę pod blokiem.

Mieszkania w Kombinacie są niskie. A sznur musi być długi. Czym dłuższy sznur, tym większe prawdopodobieństwo, że uda się przerwać rdzeń. W najlepszym, powtarzam, w najlepszym przypadku można liczyć na odcięcie krwi z płuc do mózgu – i wtedy w kilka sekund traci się przytomność.

Jak masz szczęście, to po jakichś czterech minutach odwalasz kity.

Jak źle kopniesz stołek, czyli za bardzo polecisz do przodu, to sznur zaciska się na krtani. Nagle nie masz powietrza w płucach. Nagle na czole pojawia ci się żyła gruba jak kabel. Nagle czerwieniejesz i się dusisz, co boli jak skurwysyn. Nagle bujasz się jak bombka na choince. Nagle z bólu srasz pod siebie.

Widziałem, jak to wygląda.

Parę lat temu wpadłem z Masterem do jednego lamusa, co wziął w kreda towar i zdolności płatnicze mu się niespodziewanie skończyły. Grzecznie pytałem, gdzie ma pieniądze. Ale on jakiś mało konkretny był ten lamus. Wrzeszczał tylko bardzo nieładnie:

– Zajebię tego, zajebię tamtego. Nie wiecie, kogo ja znam!

Tak się nie dało porozumieć.

Kolo miał takiego małego psa. Chihuahua? W życiu nie skrzywdziłbym zwierzęcia. Ale zdjąłem z wieszaka w przedpokoju smycz, zawiązałem lamusowi na szyi. I przycisnąłem mocniej. I, tak jak piszą w Internecie, faktycznie zrobił pod siebie na twardo.

Inna sprawa, że nadal nic nie gadał. Nie wiedzieliśmy, co z nim dalej zrobić. W końcu to, że ktoś wisi ci hajs i nie oddaje, to raczej umiarkowany powód do wyrwania chwasta. Przynajmniej dla mnie.

Master zobaczył, że lamus ma od cholery klaserów ze znaczkami. Coś mu błysnęło i zaczął je palić.

Każdy ma swój słaby punkt. Czasami jest to kobieta. Czasami pies albo dziecko czy kot. Ten mój kolega, z którym składałem wizytę, kiedyś przybijał dłużnikowi palec za palcem, młotkiem do stołu. Aż przybijany oddał to, co miał oddać.

Przy tym paleniu znaczków jest, trzeba przyznać, rozwiązaniem łagodnym. I higienicznym.

I nastąpił cud! Kasa się znalazła. Lamus miał skrytkę w obudowie wanny.

Kim jest Master? Może będzie o nim potem. Zobaczymy.

Od wieszania się dużo lepszy jest sprężony hel. Kupujesz butlę na Allegro, na imprezy urodzinowe takie sprzedają. Na łeb wkładasz plastikowy worek, doprowadzasz przewód od butli. I, oczywiście, zabezpieczasz to taśmą izolacyjną. Dalej to już odkręcasz butlę, hel usuwa tlen i dwutlenek węgla z płuc. Przytomność tracisz w pięć – dziesięć sekund.

Myszę o tym.

Są też piguły. Whitney Houston i Michael Jackson nie mogą się mylić. Whitney strzeliła przypadkiem samobója w wannie dzięki mieszance antydepresyjnego xanaxu, kokainy, marihuany, blokującego leki lorazepamu oraz środków przeciwbólowych.

Król popu poleciał jak na króla przystało, czyli na grubo. Mieszanka propofolu, którym się usypia do zabiegów szpitalnych, z silnie działającym przeciwbólowym demerolem, podawanym zamiast morfiny.

Kurt Cobain? Nie, on chyba strzelił sobie w łeb. W sumie również niegłupie.

\* \* \*

Na zewnątrz trzydzieści pięć stopni. Ledwo wylazłem z kury, a pot płynie mi po jajach.

– Co tam, pani Agnieszczakowa? – Podaję kupon Lotto. – Ktoś umarł? Ktoś się urodził?

– To zależy, jak na to spojrzeć, panie Drwalu. Zamykam się. Do końca przyszłego miesiąca będzie otwarte.

– Naprawdę? – dziwię się.

– Pracę w Kombinacie dostałam – chwali się. – Stryjek męża mi załatwił.

Patrzę na nią pytająco.

– Nie żal pani?

– Nikt tego przejąć nie chce. – Agnieszczakowa wzdycha ciężko. – Ludzie gazety przestali czytać. Jeden kiosk dziennie upada, panie Drwalu. To się

nazywa „nie nadążać za zmianami społecznymi”. Tak w telewizji mówili, a ja zapamiętałam. Z samego Lotto to się nie wyżyje. Mam chętnego. Chce tutaj monopolowy otworzyć. Zawsze parę groszy z czynszu się przyda...

Proszę, wszystko się zmienia – myślę.

Dwa numery dalej była pizza, zamknęli ją pół roku temu. Kawałek dalej padł kebab. Też nie pociągnął zbyt długo, mimo że regularnie widziałem tam kolejki. Jak można splajtować na kebabie? Każdy lubi opierdzielić kebasa.

– Dwójkę pan ma. – Agnieszczakowa się szczyrzy w uśmiechu. – Nowy kupon? – proponuje.

Kiwam potakująco. Kładzie przede mną kupon Lotto.

Grzebię w kieszeni, w końcu znajduję dwadzieścia ziko.

– Nie mam wydać. – Agnieszczakowa rozkłada ręce. – Klientów dziś za bardzo nie było. Może zdrapkę, panie Drwalu, pan chce? Dam dwie „kaskady” po dwa złote.

– Może być – mówię i biorę zdrapki.

Szkoda mi się jej zrobiło.

\* \* \*

Parkuję na Szerokiej. Idę do Alicji. Ma biuro w niedawno odnowionej kamienicy. Mało osób wie, ale to jej kamienica. Jeszcze mniej, że ma drugą, tuż obok na Sienkiewicza. I kilka mieszkań w Warszawie, które chodzą na wynajem.

– Indywidualny fundusz emerytalny – powtarza. – Kobieta tyle ma na starość, ile sobie odłoży.

Na Szerokiej Alicja ma burdel. Aktualnie pracuje w nim siedem czy dziewięć dziewczyn, głównie Ukrainki i Białorusinki.

Nie oceniam. Każdy robi różne rzeczy, żeby przeżyć. A zawsze znajdują się jacyś faceci, którzy muszą spuścić z siebie ciśnienie. I zawsze są kobiety, które potrzebują kilku złotych.

Klienci pierdoloka nie wiedzą, że Alicja handluje koksem, pigułkami i zielskiem. Oczywiście nie sama. Ona tylko wydaje towar i pobiera swoją

pro wizję. Jak każdy, zarabia jakieś pieniądze.

Dochodzę do bloku.

Pod klatką kręci się jakiś jełop koło pięćdziesiątki, lekko wyliniały pan menadżer w trakcie przerwy na lancz, przepraszam, lunch, i gapi się na ścianę, jakby czegoś szukał. Dałbym słowo, że jak byłem tu ostatnio, na ścianie wisiała tabliczka SALON MASAŻU. Teraz jej nie było, ktoś ją widać zwyczajnie zajmował.

Koleżka jest wyraźnie zagubiony.

– Pan do burdelu? – pytam, przechodząc. Jak mi się zdaje, przyjaźnie.

Facet podskakuje nerwowo i obcina mnie wzrokiem.

– Nie, do filharmonii – burczy.

– To trzecie piętro – doradzam łaskawie.

Na klatce jeszcze pachnie farbą i świeżo kładzionym tynkiem. Jadę windą. Nie mam siły na te schody. Nie jestem już gówniarzem, żeby tak się katować.

Dzwonię do drzwi.

– Cześć, Drwalu. – Alicja uśmiecha się na mój widok, a skóra na jej twarzy niebezpiecznie się napina, jakby zaraz miała pęknąć.

Ma trochę zbyt ciasną sukienkę w kolorze jasnego banana. I czarne włosy związane w węzeł.

Całuję ją w policzek.

Jest w moim wieku, ale jak ktoś nie patrzy zbyt uważnie, to wygląda na trzydzieści lat. Może nawet dwadzieścia osiem. Jak dorosła, nadmuchana lalka Barbie, żywa reklama gabinetów medycyny estetycznej. Nabotkсовana i opuchnięta. Naciągana i wygładzana. Właśnie sobie zrobiła „pakiet odświeżający”: cycki, liposukcja brzucha. I coś z poprawianiem szyi, nie zapamiętałem dokładnie nazwy, ale w sumie pięćdziesiąt tysięcy.

Takie czasy.

Ponoć młodość się kończy w wieku trzydziestu lat, a do sześćdziesiątki to jest wiek średni. Ale ludzie podejmują trud, aby się ściągać z czasem i ocalić, jak najwięcej się da.

I to jest moim zdaniem okay. Ludzie mogą się ciąć, wypychać, ostrzykiwać i przeszczepiać włosy z jaj na głowę. Bo to ich życie i to oni mają się ze sobą czuć dobrze, patrząc w lustro. To jak z tym robieniem tatuażu, kiedy ktoś ci mówi: „Ale wiesz, że to źle będzie wyglądało na starość?”. Chuj mnie to boli, jak to będzie wyglądało na starość.

Teraz się zwierzę.

Każdy człowiek w życiu ma do kogoś słabość. Ja mam słabość do Alicji.

Może dlatego, że byłem pierwszym chłopakiem, który widział ją nago? Jak mieliśmy sześć lat, zaproponowała mi zabawę w pielęgniarkę i pacjenta. Na początek ostukała mnie za pomocą tłuczka do mięsa. Później kazała mi zdjąć spodnie. I majtki. Po czym obejrzała mnie dokładnie. A kiedy jej matka zapytała, co robiliśmy, odpowiedziała: „On pokazał mi swojego penisa. Jest całkiem duży”.

– A pan czego tu szuka? – Alicja podnosi nagle głos, jakby ujrzała pterodaktyla.

Zza moich pleców wyłania się jełop.

– Ja na dziewczynki... – Mężczyzna próbuje się uśmiechnąć.

– Spierdalaj, zboczeńcu! – fuka Alicja, wydymając pogardliwie swoje zbyt duże usta. – Jakie dziewczynki? Tu nie ma żadnych dziewczynek! Tu się uczciwe interesy prowadzi!

Przestraszony facet odwraca się na pięcie i ucieka.

– Wszystkie zajęte? – pytam, kiedy Alicja zamyka drzwi.

– Nie. Skończyłam z tym – mówi spokojnie, jakby informowała, że właśnie zatankowała na Orlenie. Widząc znak zapytania na mojej twarzy, dodaje: – Przebrnąwiam się, Drwalu.

Otwiera ostrożnie drzwi do jednej z sypialni, w której do tej pory odchodził regularny gang-bang, a materace miały zdecydowanie większy przerób niż te w niedalekim hotelu.

– Zobacz. – Pokazuje palcem, zapraszając, abym zajrzał do środka. – Tylko bądź cicho – dodaje ostrzegawczo.

Rozglądam się po pomieszczeniu i prawie umieram ze zdziwienia.

Nie ma tu żadnego klienta, dziewczyna w typie rasowy blond kurwiszon wygina się przed kamerą i jęczy, jakby posuwał ją co najmniej pluton rezerwistów. Jej przesadne jęki i stękania zagłuszają wszystko.

Jak świat światem nie pamiętam, aby jakakolwiek kobieta, która miała orgazm w moim towarzystwie, tak darła japę.

Kobieta, jak jest jej dobrze, jęczy cicho. Gryzie poduszkę. Dłonią szarpie prześcieradło. Kurczowo zgina palce u stóp. Ale zdecydowanie nie tak jak tu! Dziewczyna wydaje kolejny jęk, sapie i zaczyna się miotać, jakby właśnie kręciła kolejną część *Egzorcysty*.

Wyraźnie zadowolona Alicja kiwa głową i zamyka ostrożnie drzwi.

– Fajna, nie? – Uśmiecha się promiennie, pokazując równe, śnieżnobiałe zęby. – Mówimy do niej Barbie. Ma najlepszą dupę, jaką w życiu widziałam. I słyszysz ten teatr, który odstawia? – chichocze. – Faceci myślą, że ona udaje, ale to nieprawda. Ona naprawdę dochodzi, bo myśli o kasie, jaka właśnie wpływa na jej konto.

– Nie w moim guście – mówię ostrożnie.

– Wiem, pamiętam, zawsze powtarzałeś, że nie lubisz plastików. I myślałeś, że jestem cała naturalna – chichocze ponownie.

Doceniam. Alicja rzadko pozwala sobie na coś takiego. Znaczy się na szczerość względem ludzi. To za dużo kosztuje.

Idziemy do kuchni połączonej z salonem, skąd Alicja prowadzi swoje interesy. Biodra chodzą jej delikatnie na boki.

Jak była młodsza, kręciła mocno tyłkiem, kiedy chodziła na obcasach. Wiedziałem, że to dla mnie, specjalnie szedłem dwa kroki za nią.

Na wąskim stole leży kilka telefonów, otwarty złoty laptop i paskudna, brązowa torebka z małą kłódką.

Wygląda na cholernie drogą.

Siadamy na barowych stołkach z podparciem, obitych miękką skórą. Patrzą na jej czarne, wysokie buty z czerwoną podeszwą.

– Chcesz się czegoś napić? – pyta Alicja. – Coś zjeść? Mamy fit pudełka z cateringu – proponuje. – Sałatki, kielki...



Mówię, że jestem najedzony. Nie chcę żadnej trawy. Jedyne weżeżarcie, jakie toleruję, to pszenica, kartofle, śliwki i chmiel. Po destylacji.

– Wódka, piwo, whisky? – proponuje. – Cały barek został, a żaden klient już tu nie przyjdzie – wyjaśnia.

– Jeżdżę dzisiaj. Festiwal jest – wyjaśniam.

Alicja krzywi twarz, nie lubi, jak się jej odmawia. Ma w sobie coś z Królowej Lodu, choć tak naprawdę jest emerytowaną księżniczką mafii.

Trochę piękna, bardzo okrutna.

– Dam ci lemoniady – decyduje. – Dziewczyny według przepisu z Internetu zrobiły. Nawet niezła.

Schodzi ze stołka. Nalewa mi lekko żółtawego napoju z dużego dzbanka. Próbuje i się krzywię. Siki Weroniki. Smakuje, jakby ktoś wycisnął dwadzieścia cytryn, zalał to wodą, a następnie posłodził stewią albo innym gównem.

– Zimna jest lepsza, ale dziewczyny muszą uważać na gardło – wyjaśnia Alicja.

– To naprawdę burdelu już nie ma? – pytam.

– Nie ma – odpowiada tonem rasowej kobiety biznesu. – Dziewczynki pracują teraz na...

Słyszę „szaturbate”.

– Na czym?

– Chaturbate.

– Co to jest?

– Przyszłość. – Alicja uśmiecha się drapieżnie.

Przed oczami miga mi jej zegarek. Roleks. Widać z daleka. Na szyi ma wisiorek z dużym, zielonym kamieniem otoczonym brylantami. To pewnie szmaragd. Bo nie sądzę, aby poszła do Lidla i powiedziała: „Ten kamyk zielony pan mi da. Tak, ten za dziewiętnaście dziewięćdziesiąt dziewięć”.

– Powiedzmy, że coś w stylu porno trzy-D – dodaje.

Widzi, jak twarz mi się wydłuża, bo nie kumam, o co chodzi. Ostatnio coraz częściej mi się to zdarza.

– Faceci płacą, żeby oglądać na komputerze, jak dziewczyny robią to, o co je proszą. Tną kawałek bluzki. I jak facet chce, aby odcięły kolejny, pokazując fragment cycka, to już musi zapłacić – wyjaśnia.

– I ktoś za to płaci???

– No jacha! – prycha. – Starzy, młodzi. Niektórzy nawet przystojni. I z hajsem. Sporo tu cwaniaków, którzy są uzależnieni od prostytutek, striptizerek czy właśnie cam girls. Wiesz, czego chce taki gość?

– Nie mam pojęcia – przyznaję.

– On próbuje sobie i światu udowodnić, że TAKA dziewczyna się zakocha i będzie to z nim robić za *free*, bo on jest taki zajebisty. Debile po prostu. Ale wiem na pewno, że to jest dla tych mężczyzn megauzależniające.

Co za stulejarze. Kiedy ktoś mnie pyta, czy wolę ciało kobiety, czy jej mózg, odpowiadam, że głupia kobieta jest zawsze kiepska w łóżku. A ci kolesie za swoje pieniądze nawet nie dostają ciała. Tylko piksele.

– Też się dziwię, że można za coś takiego płacić. Ale działa. – Alicja rozkłada szeroko ręce. – Dziewczyny sobie chwalą. Nikt ich po dupie nie klepie, za cycki nie ciągnie, ssać smoczka nie trzeba, a pieniądze większe. Spokojnie piętnaście tysięcy na miesiąc można zrobić. A jak któraś jest cwana, to i dwadzieścia pięć wyciśnie. I nikt cię na ulicy nie pozna, bo to głównie dla zagraniczników jest.

A tu akurat kiwam głową, że rozumiem. Faktycznie, ciężko sobie wyobrazić bardziej niezręczną sytuację niż to, kiedy panna wpada w centrum handlowym na swojego klienta idącego z rodziną na lody. Kiedy całkiem niedawno senior rodu na lodach był, ale gdzie indziej.

Patrzę na zegarek. Zaczyna się robić późno.

– Pusty jestem – mówię.

– Pół kilo? – upewnia się Alicja.

– Tak.

– Xanax może chcesz? – proponuje. – Mam parę opakowań. Dobrze schodzi ostatnio.

– Nie, dzięki.

Alicja na moment wychodzi.

Jej piersi falują przy każdym ruchu. Daję słowo, że nie włożyła stanika. Pewnie celowo. Wie, że to ciągle burzy we mnie krew. Sięgam po szklankę.

Lemoniada za drugim łykiem smakuje nieco lepiej. Nieco. Trochę jak sprzedawana za komuny cytroneta w plastikowych workach, które się przebijało słomką. Morał tej historii jest taki, że jak cię czymś częstują, to bierz wódkę albo wodę. Inaczej będzie ci wykrzywiać mordę – myślę.

Alicja wraca z dwiema torebkami strunowymi, podaje mi je bez słowa.

Nie ma potrzeby tego ważyć. Jak ją znam, to raczej dostałem kilka gramów gratis. Stary klient ma swoje przywileje. Mimo że dla niej właściwie jest to detal.

Nigdy nie próbowała mnie oszukać. A ja nigdy nie próbowałem oszukać jej. Kwestia zdrowej kalkulacji. Skończyłbym z połamanymi nogami. Z przetrąconą szczęką, gdzieś w lesie, na jakiejś polanie.

Obie strony wiedzą, że na koniec to nic osobistego. Interesy. Mimo to wierzę, że mam u niej fory. Wisi mi przysługę. Sporą przysługę.

Ale to nie czas, aby o tym mówić. Wstydzę się.

Torebki pakuję od razu do specjalnego hermetycznego pojemnika. Żeby mi nie śmierdziało w samochodzie. Mam w bagażniku kilka otwartych paczek kawy. Kawa zawsze zabija zapach zioła. Ale nie takiej ilości.

Podaję Alicji kopertę. W środku jest dziesięć tysięcy. Bez liczenia wrzuca ją do brzydkiej torebki leżącej na blacie.

Jak to mówiła Ryszarda „Gabrysia” Siarzewska: „Na waciki”<sup>2</sup>.

\* \* \*

To teraz kilka kroków wstecz. Z Alicją chodziliśmy razem do podstawówki, czyli szkoły numer siedem w Kombinacie. Do jednej klasy. A później do liceum, Małachowianki.

Najpierw była grzeczną dziewczynką z plecakiem. Później zajebistą dupą. Brunetką o długich, rozpuszczonych włosach z cudowną, bladą skórą.

W rankingu na szkolne superlaski, pisany na ścianie w męskiej toalecie, nigdy nie spadła poniżej trzeciego miejsca.

To były jeszcze czasy, kiedy ładne kobiety różniły się od siebie. Pamiętam jej piersi wyłuskane po raz pierwszy ze stanika. Absolutne szaleństwo. Dźgałem ją jak popierdzielony. Cała kanapa był mokra. Mówcie, co chcecie, ale to mocno podbudowuje męskie ego.

Są kobiety, które podniecają się tylko wtedy, kiedy słyszą polecenia wydawane tonem nieznośnym sprzeciwu. Nawet jeśli się buntują, to tylko po to, aby przetestować, czy ten bunt zostanie złamany.

Ona zawsze taka była. Nawet w dzieciństwie. Kiedy się zastanowić, kobiety są przerażające.

Bujała ze mną cycki przez ponad dwa lata. Ale miałem za małe możliwości.

Czasami mężczyźni zadają sobie pytanie: „Dlaczego mnie rzuciła? W czym ten nowy jest lepszy?”. Odpowiedź jest prosta: jest albo wyższy, albo ma więcej kasy, albo wyższą pozycję w stadzie, a dzięki temu więcej luzu.

I nie ma tu nic więcej.

Alicja, w trzeciej klasie, na wakacjach w Łebie, poznała grubego wióra w czarnym merolu na warszawskich blachach („Masz chłopaka? Nie szkodzi, poradzę sobie z nim”). Olała nasze szacowne liceum i zwinęła się z Kombinatorium do Warszawy.

Plotki głosiły, że kręciła dupą w jakimś klubie go-go. Plotki głosiły, że wkręciła się w orbitę klubu Planeta, którego właścicielem był ten pajac Masa.

Na pewno była dziewczyną miesiąca, na pewno wystąpiła w kilku teledyskach. Widziałem je. Wiele razy. A później to już prowadziła jakiś większy burdel na Mokotowie i ściągała chłopakom modelki do zabawy.

Jak na dziewczynę z małego miasta, można powiedzieć, że zrobiła karierę.

A ja przez długi czas nie miałem ochoty pocałować żadnej kobiety w usta. Czulem, gdzieś tam w środku, że bym ją w ten sposób zdradził.

\* \* \*

Alicja do Kombinatoru wróciła pięć lat temu. Zestarzała się, więc wypadła z obiegu. Jej były mąż jest niby to przedsiębiorcą. Jego twarz kilka razy mignęła mi przed oczami. Krępy. Z brodą. Z długimi rękami. Jak wściekły orangutan. Trzech bramkarzy obok.

Nie boję się ludzi.

Ale na niego nie chciałem patrzeć. Wkurwiał mnie. I co tu kryć, jak na ciebie patrzył, to gównu zastygało w kichach.

Mają razem córkę, Weronikę. Mieszka z ojcem. On – lepiej nie wymawiać jego imienia – ma jakieś ciężarówki. Transport międzynarodowy. Nie chcę wiedzieć, co one wożą. Choć przypuszczam. Dieta kolumbijska.

Ale Alicja nie musi się martwić o ochronę.

Nie musi się martwić o brak towaru.

Nie musi się martwić właściwie o nic.

Każdy wie, że jest nietykalna.

Póki siedzi na dupie w Kombinacie, nie podskakuje i nie sprawia problemów.

\* \* \*

Kompletnie naga dziewczyna przechodzi przez salon i idzie do łazienki. Nie zwraca na nas uwagi. Ma duże pośladki, które przy każdym ruchu przelewają się na boki. Wygląda na jakieś siedemnaście lat, nie więcej.

Patrzę na nią, patrzę na Alicję.

– Sasza – przedstawia ją Alicja. – Mały zapierdalacz – mówi z dumą w głosie. – Ambicje ma takie, jakich W ŻYCIU nie widziałam u ludzi – już nie mówiąc o ludziach w jej wieku – u ludzi w ŻADNYM wieku. Megainteligentna. Ego jak kombajn, bo ma się za lepszą od innych. Nie interesują jej faceci, randki, imprezy...

– To co ją interesuje?

– Kasa. Praca, przeszłość, kariera. *Only fans*. Ty wiesz, że ona w tym miesiącu zrobiła już piętnaście koła netto?

– Nie za młoda? – chrząkam znacząco.

Alicja się uśmiecha. Cynicznie.

– Mnie mówi, że zaraz wypadnie z obiegu. Ja jej zresztą o wiek nie pytam. I tak mi prawdy nie powie. Ty wiesz, jaką presję ma taka siksa na pieniądze? Żeby się pokazać? Jak ja ich nie wezmę, to się będą puszczać na ulicy. Tak przynajmniej nikt ich nie pobije.

Czuję, jakby nagle zaczęły mnie boleć zęby.

Znowu patrzę na zegarek.

– Jeszcze jedno – mówię. – Wiesz może coś o tym, że w mieście pojawił się ktoś nowy z towarem?

– Bez mojej zgody? Nie. – Alicja uśmiecha się drapieżnie. – A co? Dzieje się coś?

– Wszystko pod kontrolą – odpowiadam.

Podnoszę się ze stołka.

Alicja powstrzymuje mnie gestem.

– Czekaj, czekaj. Gdzie się tak spieszysz? Dawno nie gadaliśmy. Jak się masz w ogóle? – Alicja dotyka mojego ramienia i klepie mnie przyjaźnie. Jak krowę w rzeźni. Czekającą na ubój.

– Żyję – mówię.

– Jak twoja depresja?

W tym pytaniu jest jakaś troska. Kochanka. Dziwka. A może miłość mojego życia?

Ale ruszam nogą. Nie lubię tego słowa. Jest strasznie zjebane.

– Musisz się odprężyć – mówi. – Musisz sobie poprawiać humor. Drobne przyjemności. Pobiegaj. Popływaj. Idź na masaż. Może loda chcesz? Nic tak nie poprawia facetowi samopoczucia jak dobrze zrobiona gała. Dziewczyny ci pomogą. – Wstaje, aby to chyba obgadać.

– To miłe, że się o mnie troszczysz – mówię.

– Mam u ciebie dług wdzięczności. – Uśmiecha się czarująco. Mężczyźni topią się w tym uśmiechu jak latem topią się lody na patyku.

Nie odwzajemniam go. Na tyle mnie jeszcze stać.

– Muszę iść – mówię.

– Jesteś pewien? – pyta swoim miękkim głosem zawodowej burdelmamy.

– Tak – odpowiadam machinalnie, bo coś mi chodzi po głowie. – Ale wiesz co? Daj mi w kreda ten xanax. I jakiś lorazepam albo diazepam. Jak masz koncertę, to też wezmę.

– Wracasz do leków? Interesujące.

Kiedy przynosi mi kilka paczek, wskazuje na szklanekę po lemoniadzie i pyta:

– Smakowało?

Krzywię się.

– Ni chuja. Ale i tak dziękuję.

\* \* \*

W podstawówce masz jeszcze wyobraźnię.

Że twoja ręka to Alicja z szóstej e.

W podstawówce uczysz się, że Pluton to planeta, że Wielki Mur Chiński jest jedyną budowlą widzianą z kosmosu, w ZUS oszczędzasz na swoją emeryturę, a banki to instytucje zaufania publicznego.

To się nauczyłem, nie?

Skończyłem – może z trudem, ale jednak skończyłem – najlepsze liceum w mieście. Byłem w drużynie, zakochałem się z umiarkowanym powodzeniem w Alicji, czasami, ale rzadko, piłem piwo. Chodziłem do siłowni, gdzie sporo osób brało różne rzeczy, ale ja wtedy jeszcze bałem się zastrzyków.

Wieczorami oglądałem stare mecze na VHS i uczyłem się techniki i taktyki.

Zrobiłem nawet jeden rok zarządzania w lokalnej Wyższej Szkole Gotowania na Gazie i Turlania Klopsa, gdzie przyjeżdżali znudzeni wykładowcy z Warszawy.

Wiem, co to znaczy „ambiwalentny” i czym różni się „przynajmniej” od „bynajmniej”, a w zamierzchłych czasach nawet czytałem jakieś książki.

Jak taki mądry chłopak, do tego sportowiec, łąduje jako bandyta i dealer?

Odpowiedź brzmi: zaszkodziła mi piłka nożna.

Oczywiście, całe to kibicowanie drużynie Kombinaty było chyba warte i każdy poza dziećmi o tym wiedział. Jedenastu pajaców, którzy cały czas dostają łomot.

Za to bardzo fajnie było się napierdalać.

Stoicie naprzeciwko siebie.

Widzisz tamtych. W pewnym momencie zaczynacie biec. Jak to się dzieje? Nie wiem.

Nic nie jest równe z adrenaliną, która rozpierdala ci wtedy głowę.

I nagle uderzasz w jakiś ryj, w jakiś brzuch.

I wiesz, że to my czynimy zło.

(Brakuje mi tego. Tego, jak kolo do ciebie wrzeszczy: „To dawaj na solo, cweliku, bez sprzętu, do odciny lub odkleпки, połamię cię jak peta!”).

Z chłopaków, z którymi chodziliśmy na ustawki, najważniejszy był Master. Dobrze się bił i lubił sobie wciągnąć i przypalić.

Miał dryg do interesów i szybko zaobserwował, że wśród kiboli jest bardzo duże ssanie na dobrą imprezę i zabełtanie sobie we łbie.

Toteż to, co kupował sobie prywatnie, zaczął gonić wszystkim po kolei, naliczając swoją marżę.

Gdyby życie się potoczyło inaczej, to pewnie by skończył jako handlowiec w jakimś Vision Express czy czymś podobnym.

Interes kwitł.

Schodziło tyle polaka – tak się nazywało wówczas nasz narodowy towar eksportowy, czyli amfetaminę – że lokalne źródła nie wyrabiały.

Wtedy Master wziął mnie na głównego pomocnika.

Wiedział, co robi. Ja znałem Alicję. Alicja знаła chłopaków z miasta. A koleżkom ze stolicy bardzo się ten układ spodobał. Więc handlowaliśmy.

Teraz kluby kibica to jest zazwyczaj jeden wielki gang nastawiony na zarabianie kasy na pigułach, towarze, jedzeniu i picciu na stadionie.

Ale wtedy to było coś nowego.

Dlaczego w to poszedłem? Dzieciaki w tym mieście mają dwie opcje: Kombinat albo ławka przed blokiem.



A jak masz dwadzieścia lat i możesz jednego dnia zarobić dwa koła, to myślisz, po co robić jakieś studia albo iść do normalnej pracy, skoro możesz być bogaty od razu? Kobiety. Restauracje. Kelnerzy, którzy się kłaniają. Dobre samochody.

Krew na pięściach. Wybite zęby. Moi ludzie tańczą<sup>8</sup>.

\* \* \*

Słyszałem niedawno w radio o jakimś raperze ze Szczecina, u którego psiarnia w chacie znalazła osiemnaście kilogramów 3-CMC, siedemnaście kilo marychy, trzy kilo amfy i jeszcze kokainę, sam nie wiem ile.

Cały ten towar był wart w detalu co najmniej milion trzysta tysięcy, a gostek miał jeszcze przy sobie sto pięćdziesiąt koła w gotówce.

Jebak leśny zamiast mózgu miał w głowie chyba procesor z kostkarki od lodu. I to z tych słabszych.

Nigdy nie należało mieć przy sobie tyle towaru. Nie noszę ze sobą więcej niż dwadzieścia pięć – trzydzieści gramów, a i to tylko jak jest jakieś duże zamówienie.

Mam garaż typu blaszak, kupiony na żuła, którego znalazłem pod teatrem. Zrobił mi tę uprzejmość za sześć półlitrówek i dwie stówki. Uczciwie przyznam, że prawie padł mi do stóp, jak mu to wręczyłem. Dawno temu mój ojciec miał podobny garaż. Razem z kumplami otwierali na oścież każdy swój, wystawiali fiaty i odkręcali pierwszą butelkę.

Parkuję pod serwisem wózków widłowych. Pełno tu firm w rodzaju Tech-Bram, Wód-Kan, Smart LPG czy Sprzedaż Palet.

Piję łyk coli z puszki wyjętej z podłokietnika. Jest ciepła, ale pomaga zabić smak lemoniady. Mijam świeżo pomalowaną ścianę, na której ktoś wysmarował wielki napis: „Co się dzieje z dziewczynami z Tindera, kiedy się zestarzeją?”. Ktoś pod spodem dopisał: „Same proszą o ruchanie”.

Otwieram drzwi. Zapalam światło, zamykam drzwi.

W środku jest pełno rupieci, starych mebli, słoików z kiszonymi ogórkami. Jest też stara szafa, a w niej kasa pancerna wielkości małej lodówki. Ma dwadzieścia trzy litry pojemności, a waży dziewięćdziesiąt cztery kilo. Jest

grafitowa, w sensie kolor taki. Dałem za nią prawie pięć tysięcy. Wszystko w życiu ma swoją cenę, a dobre kosztują najwięcej.

Kasę wnosiłem tu razem z Boczkciem, ale mimo że było nas dwóch, i tak można było zmierzyć nam puls, tylko patrząc na nasze żyły na skroniach.

Trzymam w niej towar i trochę gotówki.

Drobna dealerska logistyka. Bez sensacji. Kiedyś wyglądało to inaczej. Ale kiedyś już nie istnieje.

Do sejfu wkładam hasz i zioło zabrane fajfusowi. Towar z wyglądu przypomina mój, ale nie będę go gonił, czegoś, czego sam nie próbowałem.

Wkładam gumowe rękawiczki.

Metodycznie, przy pomocy wagi, wydzielam pięćdziesiąt porcji po gramie i ostrożnie pakuję je w strunowe woreczki. Plus jedna z towaru fajfusa, na próbę.

Dzielię i myślę, co to jest ten Tinder.

\* \* \*

Odwóz dwóch znajomych łebków pod galerię Rzeką, sprzedaję im piątkę. Trochę narzekają, że Szpaku grał wczoraj spoko, ale liczyli na więcej.

Teraz idą na dwa piwka do koleżki, „góra trzy”, a później znowu koncerty i plaża.

Wysiadając, wyją:

*biały towar,*

*Różowa Pantera*

*jara je ból, one nie chcą dżentelmena<sup>9</sup>.*

Szukam wolnego miejsca, parkuję. Idę kupić jakąś kawę. Szykuje się długa noc.

Kombinat to specyficzne miejsce. Tylko tu ktoś mógł wpaść na pomysł, aby po dwóch stronach ulicy postawić dwie wielkie galerie handlowe. A obok jest jeszcze Auchan. I Obi. I Agata Meble. I Biedronka. Ale Biedronki to są wszędzie. Jak rak.

Ledwie włączę do galerii, a przy samym wejściu prawie się potykam o starą kobietę w szarym dresie.

Jej twarz coś mi mówi, tylko nie wiem co. To kolejna rzecz wkurwiająca w małych miastach.

Każdy zna każdego.

Albo chociaż o każdym słyszał.

Kupowała coś ode mnie? Tobym ją zapamiętał. Spałem z nią? Robię trzy kroki w bok, patrzę na nią jeszcze raz i bach, mam to. Mój mózg układa puzzle do kupy.

Jak ona miała...? Agnieszka??

Przykleiła się do mnie, jak stałem na bramce w Euforii. Wtedy była młoda, nawet ładna, krótka kiecka obnażała jej zgrabne uda. Zapamiętałem ją tylko dlatego, że kiedy zdjąłem z niej stanik, niemal całe podniecenie mi zgasło. Jej cycki wyglądały jak dwa worki z cementem. Jak w takim młodym wieku można mieć tak beznadziejne cycki?

Cóż, głupio było ją wyprosić, więc wziąłem ją od tyłu. Więcej spotkań nie było. Choć dzwoniła do mnie kilka razy. Nie odbierałem. W sumie to nie jestem z tego zbyt dumny.

Patrzę na jej twarz i jest to twarz kobiety po pięćdziesiątce. Ostre perfumy, na głowie potargane, źle obcięte włosy. Wygląda, jakby była brudna.

Obok jakiś małolat gapiący się w telefon. Chyba syn.

– Miałeś uważać, zrobisz jej dziecko i się wszystko skończy – wyrzuca z siebie.

Jej głos brzmi jak szczekanie.

– Matka, nie nudź, no – odpowiada małolat, nie zdejmując oczu z wyświetlacza.

Kobieta nagle łapie moje spojrzenie i na twarzy pojawia się jej wielki znak zapytania. Niepotrzebnie skupia na mnie uwagę. Wycofuję się, zanim będzie za późno, tak żeby do mnie nie podeszła.

„Jak dobrze wyglądasz, nic się nie zmieniłaś”. „Co u ciebie?”. „Co robisz?”. „A pamiętasz?”.

Nie mam siły na takie kłamstwa.

Robię trzy kroki w tył, aby się stąd zwinąć. Oddycham z ulgą.

– O, proszę! – Słyszę kpiący głos za plecami. – Radiotaksi, proszę czekać!

Odwracam się i obrzucam jego właścicielkę spojrzeniem. Sięga mi może do ramienia. Jest w jakimś debilnym stroju pracowników sieciówki, do piersi ma przyczepioną plakietkę: „Jestem Kamila”. Poznaję ją.

– Cześć, „Jestem Kamila”. Pogodziłaś się już z chłopakiem?

– Ja się po prostu nie nadaję do związków – prycha. – Bo zawsze mi będzie jak w tej piosence Pezeta.

– I wciąż mi mało, kurwa mać? – upewniam się.

Uśmiecha się.

– Tak, właśnie w tej. Co tutaj robisz?

– Idę po kawę – burczę.

– To chodź. Ja idę coś zjeść. Głodna jestem.

Już chcę się jakoś wykręcić, ale Kamila popyla korytarzem niczym mały samochodzik. Kręci przy tym tyłkiem.

Wzdycham ciężko i idę za nią. Agnieszka dalej stoi przy drzwiach wejściowych i opierdziela małolata.

\* \* \*

Opadam ciężko na krzeselko w strefie gastronomicznej.

– Co chcesz? Ja stawiam – pyta.

– Kawę. Czarną.

– Jadłeś coś?

– W sumie to nie – przyznaję.

– To zjesz. Ja stawiam – powtarza. – Traktuj to jako podziękowanie za podwózkę.

– Ale... – zaczynam.

– Nie marudź – ucina. – Ty wiesz, jak ja tutaj gnałam, jak zobaczyłam, że podjeżdżasz pod galerię? Z wrażenia obgryzłam paznokcie! Czy ty wiesz, co to znaczy dla kobiety?

– A jak mnie zobaczyłaś?

– Uciekałam przed klientami. Oni są strasznie wymagający – mówi, wzruszając ramionami.

Poprawiam się na krzeselku, usiłując znaleźć jakąś pozycję, w której nie byłoby mi tak cholernie niewygodnie. Jestem na nie za duży. Albo dupa mi za bardzo urosła. Rozglądam się uważnie dookoła.

O, proszę.

Z tłumu wyławiam jednego swojego klienta. Zawsze bierze piątkę. Teraz siedzi z trójką dzieci i żoną. Jest spocony na twarzy. Kiwa mi głową na przywitanie. Jego dzieci niemrawo walczą z jakimś kotлетem.

Może faktycznie coś bym zjadł?

Kamila wraca do naszego stolika. Na tacy ma plastikowy kubek z moją kawą i psie miski z żarciem. Stawia przede mną kawę i talerz pełen liści sałaty, pomidorów, czerwonej cebuli, kawałków sera i chyba oliwek.

Sama ma jakiś makaron. I wodę.

– Co to jest? – pytam zdumiony.

– Sałatka. Przyda ci się. Wyglądasz, jakbyś walczył w federacji KFC. Założę się, że masz za wysoki cholesterol.

Chcę coś powiedzieć, ale w końcu gryzę się w język. Jak dzień nie idzie, to od samego rana. I nic z tym nie zrobisz.

– Masz – rzuca mi łaskawie kawałek mięsa ze swojego makaronu. – Będzie sałatka z kurczakiem.

Po czym odgarnia włosy za ucho i zaczyna jeść, jak gdyby nigdy nic. Wkładam do ust kilka liści i przeżuвам ostrożnie. Jakbym jadł trawnik. Brakuje tylko lemoniady.

– Już wiem, do kogo jesteś podobny. – Wskazuje na mnie widelcem. – Wyglądasz jak Rumcajs.

– Jesteś bardzo dowcipna – odpowiadam.

– Moja matka też mi to powtarza. Tyle że dodaje: ty się kiedyś doigrasz.

– I co jej odpowiadasz?

– Że już się doigrałam – mówi z pełnymi ustami i wybucha zaraźliwym śmiechem.

Uśmiecham się. Krzywo, ale się uśmiecham.

Swoją drogą, czy Rumcajs nie był mały, pękaty i z brodą?

\* \* \*

– I co będzie dalej z twoim facetem? – pytam. – Jak mu było? Zenon? Ksawery?

Kamila unosi głowę.

– Marcel. To zależy, o co pytasz. Ciągłe jest a to przy konsoli, a to na rybach i czasu razem nie spędzamy. Seks raz na tydzień, półtora. Za to mi powtarza w żartach, że jak przytyję, to się rozstaniemy. – Kamila prycha lekceważąco.

Żuję trawę. Poprawiam pomidorem. Dodaję do sałatki soli i pieprzu.

Próbuję jeszcze raz.

Nie, ciągle do dupy.

– Ostatnio sobie opowiadałam z przyjaciółką żarcik. Co myśli kobieta w stałym związku, jak facet łapie ją za nadgarstki i opiera jej ręce o szybę?

– Nie mam pojęcia.

– Znowu trzeba będzie myć szybę.

Kiwam głową. Trochę rozumiem, co ma na myśli.

– Może wam się jeszcze ułoży.

Brzmi to żenująco płasko. Ja wiem i ona wie, że jeśli zastanawiasz się, czy kogoś kochasz, to go nie kochasz.

Kamila wydyma usta.

– Wiesz, Drwalu, kiedyś to ja nawet wierzyłam w Świętego Mikołaja. Posiadam więc te... no... predyspozycje do wierzenia w bajki. Ale w to, że nagle cudownie wszystko się w związku zmienia, będzie jak dawniej i wróci pożądanie, to ja już nie wierzę. A mam dwadzieścia cztery lata, a nie pięćdziesiąt. I strasznie chciałabym znowu poczuć coś, co mnie zachwyci.

Wzruszam ramionami. Po dwudziestym roku życia zachwyty dają już tylko narkotyki.

– A twoim marzeniem od dziecka było, oczywiście, zostać taksówkarzem i wozić ludzi? – pyta.

Przełykam gulę zieleniny, którą mam w gardle.

– Nie. Jeżdżę jakieś dwa lata.

– A wcześniej?

Krzywię się.

– A wcześniej nie jeździłem.

– To co robiłeś?

– Odsiedziałem swoje.

Prycha wodą, jakby bąbelki gazu nagle uderzyły ją w nos. I patrzy na moją twarz tak, że przez moment mam wrażenie, że zaraz oczy wypadną jej z orbit.

– Byłeś w więzieniu? – dziwi się.

– Byłem – odpowiadam.

– Super!

– Ja bym powiedział, że to nic fajnego, ale niech będzie.

Na filmach i w hiphopowych piosenkach to może i wygląda nieźle. Nic tak nie śmierdzi, jak ośmiu gości zamkniętych w jednej celi. Zepsute zęby. Kilkudniowy pot. Nocne sesje walenia konia.

Jaskinia ogrów.

Zagłądanie do tyłka przy każdej okazji, rozbieranie do naga, kucanie, kasznięcie po każdym widzeniu.

Budzisz się o szóstej i jest kolejka do srania. A właściwie poranne pierwszeństwo srania. Czym twoja pozycja na celi jest wyższa, tym szybciej srasz.

Na początku grasz strasznie twardego, aż zaczynasz rozumieć kilka zasad.

Że w więzieniu nie masz przyjaciół.

Że jak ktoś chce usilnie się z tobą zakumplować, to albo jest to kabel, albo chce ci zasadzić naganicza w dupę.

Że są dwie reguły: „nie kapować” i „nie dać się przecwelić”.

Jak ktoś jest słaby, ma szansę tylko wtedy, kiedy powie, że ma HIV-a.

Jak jesteś w miarę bystry, to szybko rozumiesz, że najlepiej wszystkich trzymać na dystans i się nie wychylać.

Od wyjścia nie zjadłem zupy ziemniaczanej. Ani margaryny. A jak widzę bądź czuję potrawkę z kurczaka, to chce mi się rzygać.

Kamila mruży ładne, brązowe oczy.

– Proszę, proszę, ja cię brałam za nudną złotówkę, a ty jesteś prawie młody wilk. I za co trafiłeś do więzienia?

– Handel i posiadanie.

– Opowiesz?

– Nie ma o czym. Biegałem po mieście. A później mnie złapali.

Kamila zastygła, zainteresowana.

Odkładam widelec. Wystarczy.

– I co, dostałeś piątkę ze sprawowania?

– Dostałem piątkę za złe sprawowanie, ale wypuścili mnie wcześniej.

– Zrobiłbyś to jeszcze raz?

Zastanawiam się przez moment. Przypominam sobie twarz Alicji.

– Tak – odpowiadam w końcu i biorę swój kubek z kawą.

Wychodzimy z części restauracyjnej i stajemy w korytarzu. Mijają mnie ludzie. Obwąchują przestrzeń. Ludzie są tacy sami. Samochody są takie same. Ubrania są takie same.

– Dzięki za obiad – mówię.

– Trzymaj się, Drwalu.

Kamila zbliża się do mnie, całuje mnie w policzek, po czym odchodzi, machając na pożegnanie.

Wsiadam do auta, siorbię kawę z kubka.

Już zimna. Trudno. Żadnego złotowy nie zrazi zimna kawa.

\* \* \*

Jeszcze chwila o więzieniu. Jak wchodzisz do celi, to musisz pokazać biało. Czyli kwit, który potwierdza paragraf, za który trafiasz za kratki.



Dobre białko może dać ci spokój.

Złodziej jest dobry.

Oszust jest dobry.

Handlarz też jest dobry.

Alimenciarz jest słaby i pierze innym skarpety.

Gwałciciele to dół.

Pedofile to dół. Ale kloaczny.

Tak naprawdę liczy się jednak hajs. Liczy się towar. Liczą się fajki.

Każdy bandyta wie, że tam trafi. Ale przed pójściem tam byłem kimś i mogłem wszystko. Po powrocie okazało się, że tak naprawdę nie wiem, kim jestem.

To znaczy każdy ma jakiś tam wielki plan.

Zazwyczaj wyruchać, upić się i znowu wyruchać. Zjeść pizzę czy zestaw w Macu. Wykąpać się w wannie. I znowu wyruchać.

Proste rzeczy.

To jak wyszedłem – wykąpałem się. Uchlałem. Później uchlałem jeszcze raz. I kompletnie nie wiedziałem, co dalej. Nagle wokół mnie zrobiło się jakos pusto. Tłum kumpli, znajomych i wcześniej chętnych dup jakos się dziwnie wykruszył w rytm nieśmiertelnego przeboju: „Wiesz, ja chętnie, ale...”.

Nie żeby mnie to zdziwiło.

Kumple, ale do kieliszka.

Znajomi, ale do sukcesu.

Przyjaciele – do udanego dealu.

Wszystko do momentu, kiedy jest hajs na balety, dobre bryki i dużo towaru. Jedyne, na co możesz liczyć, to lajk na Fejsie albo serduszko na Insta.

Zostajesz więc sam.

I nie możesz spać.

Nocami odpalałem kilka piw i grałem na Playstation w „Diablo”.

Nie zapuszczam korzeni w złej ziemi.

Byłem jednak w miarę mądry. Jak psiarnia mnie zgarnęła, miałem zakopaną kilogramową sztabkę golda, w najpewniejszym banku na świecie, bo

ziemskim.

Na pewnej leśnej polance pod Kombinatem.

Miała być początkiem kolekcji na czarną godzinę, ale kolekcja skończyła się dość wcześnie.

W drugim miesiącu po wyjściu z paki, kiedy sytuacja się nieco uspokoiła, pojechałem do lasu na wycieczkę i łopata zrealizowałem depozyt.

Sztaba warta była dwieście sześćdziesiąt koła, pogoniłem ją znajomemu paserowi za czterdzieści patoli mniej, ale za to nie pozostał po tej transakcji żaden ślad. W rozliczeniu dał mi samochód.

Tylko dzięki tej transakcji i mieszkaniu po matce ojca, czyli Siekierze, jako tako stanąłem na nogi i nie groził mi scenariusz wylądowania na skłocie jako żul, co było najczęstszym scenariuszem po wyjściu z jebanego zakładu penitencjarnego.

\* \* \*

Otwieram skrzynkę na listy przed domem jednorodzinny na Źródlanej. W środku jest biała koperta z czterema słowami. Zabieram banknoty. Wkładam dziesięć samarek i naciskam dzwonek.

Stary klient. Bierze raz na miesiąc.

Chcę wracać do centrum podrzucić recepcjoniście kolejną dwudziestkę, bo goście palą jak węgiel zimą, ale ledwo wsiadam do samochodu i wpada kurs do domu weselnego. Mielę w ustach parę kurew.

Kto ucieka z wesela o dwudziestej drugiej??? O tej porze ludzie powinni pić, wujkowie opowiadać dowcipy o ruchaniu, a świadkowa dmuchać się z kimś w toalecie.

Dobra, trzeba to załatwić jak najszybciej i wrócić do pracy.

Jadę na Jaskólczą, już z daleka słyhać *Prawy do lewego*. Dam się pociąć, że kolejny będzie Krzysztof Krawczyk i *Bo jesteś ty*. Ewentualnie coś Akcentu.

Zatrzymuję się na środku parkingu, zaraz koło wejścia. Czekam minutę, zastanawiam się, czy wyjść i sobie przypalić, ale nie mam na to szansy.

Pierwsza wyskakuje ona, później on, jakby ją gonił.

Dziewczyna wygląda jak miss Euforii, zdzirowata gwiazdeczka lokalnej dyskoteki Kombinat.

Ma na sobie złotą kiecę z cekinami, kończąca się w połowie uda i dobrze pokazującą cycki. Włosy ma dziwnie rozprostowane, więc pewnie normalnie są kręcone. O takich Boczek mówił, że w tłoku ujdą i jak jest ciemno, to są dobre na raz.

Moim zdaniem, gdyby zmyć jej połowę makijażu i zabrać do dobrego fryzjera, byłoby całkiem okay.

On jest chudy jak patyk, krótko obcięty, szary garnitur na nim wisi. Wygląda na niecałą trzydziestkę. Na twarzy wyraz miłego pierdoły, największego kujona w klasie, zawsze przygotowanego do lekcji.

Kobieta szarpie za drzwi auta. Kiedy on wchodzi do środka, to ze spuszczoną głową, ona siada do niego tyłem, na ile się da.

No ładnie. On spięty i skurczony, ona wkurwiona.

– Dokąd jedziemy? – pytam. Grzecznie.

– Na pewno nie tam, gdzie ten skurwysyn! – syczy kobieta.

Łza ścieka jej po policzku. Spinam się wewnątrz.

– To dokąd? – powtarzam, starając się brzmieć spokojnie.

– Piłsudskiego czterdzieści dwa – bąka facet.

Patrzę na nich jeszcze raz, a wtedy kobieta z całej siły wali chłopaka z otwartej w ryj.

Głuche plaśnięcie.

– Auaaa!!! – krzyczy mężczyzna. – Przestań!!! Nic nie zrobiłem!!!

Ociera twarz. Będzie miał tam niezłą pizdę. Moje doświadczenie to gwarantuje.

Ruszam. Tu nie ma na co czekać, tu się trzeba spieszyć. Zastanawiam się, czy mogą mi się pobić w samochodzie. Chyba nie. Co najwyżej ona jeszcze raz wysadzi mu bombę.

Lecę Wyszogrodzką.

Patrzę z niepokojem w lusterko.

– Jak mogłeś z nią tańczyć? – pyta zimnym tonem kobieta. Ma rozmazany makijaż wokół oczu.

– Dwa razy z nią zatańczyłem tylko! – odpowiada facet ugodowo.

– Dwa razy? Jakie, kurwa, dwa razy! Ze cztery razy! Nawet jak z łazienki wychodziłam, to znowu z nią tańczyłeś! Ty chuju rybi! – ryczy.

– Na pewno nie cztery! – protestuje mężczyzna.

Widzę, że się jej boi.

– Z kim poszedłeś na wesele? Ze mną czy z tą kurwą? – pyta kobieta.

– Z tobą!

– To jak poszedłeś ze mną, to trzeba było się mną zajmować, a nie gapić się tej lafiryndzie na cycki!

– Ale...

– Pan by tańczył z inną kobietą na weselu? I cały czas się na nią gapił? Jakby pan z narzeczoną przyszedł? – pyta mnie kobieta.

– Nie mam narzeczonej – odpowiadam.

Dzięki Bogu – dodaję w duchu. Nie za wiele tracę. Co za jazgocząca chihuahua. Zrobiła z niego niewolnika. Cisnę gaz, walę stową na ograniczeniu do siedemdziesięciu.

– Ale by pan podrywał inną dziewczynę?

– Wołę chłopaków – odpowiadam.

I zioło.

Kobieta na zmianę jest czerwona i biała.

– Kochanie...

– Nie mów do mnie, kurwa, kochanie!!! – wrzeszczy kobieta. – Nie jestem żadne kochanie!!!

Zajeżdżam pod blok.

– Niech pan mu coś powie!

Wzruszam ramionami.

– Dwadzieścia pięć pięćdziesiąt się należy – mówię.

Mężczyzna spogląda na mnie wzrokiem zbitego psa. Po czym przykłada telefon do czytnika kart. Płaci i wychodzi z auta. Obchodzi cały samochód.

Otwiera jej drzwi.

– Nie idę – mówi kobieta. – Będę tutaj siedzieć!

Liczę w myślach do dziesięciu, żeby się uspokoić i nie wywalić nikomu w cymbał. Wypuszczam powietrze z płuc. Teraz ja otwieram drzwi i stoję koło chłopaka. Obaj patrzymy na kobietę, która rozpiera się na tylnym siedzeniu. Głowę ma odwróconą w drugą stronę, jakby nas nie widziała.

Półnagie cycki poruszają się w górę i w dół. Z oczu idą iskry. Nachylam się w jej kierunku, aby coś powiedzieć.

– Nie dotykaj jej – mówi do mnie chłopak, jego głos przechodzi w wysoki pisk.

Bołą mnie plecy.

– Nie mam zamiaru – odpowiadam i podnoszę rękę, aby oprzeć się o samochód. – Ale mam za chwilę...

Nie mam szansy powiedzieć, co mam za chwilę, bo zniecka wywala mi pięścią w ryj. Czuję smak krwi. Ten chudy kutas rozbił mi usta. I jeszcze od takiego frajera!

Momentalnie robię się zły.

Robię krok w jego kierunku, koleżka zaczyna się w popłochu cofać.

– Zostaw go! To mój narzeczony. Ty, ty, ty ORANGUTANIE! – krzyczy teraz kobieta.

Wyskakuje z taksówki i rzuca się mężczyźnie na szyję, okrywając go pocałunkami.

– Mój misiaczku! Mój pysiu!!! Obronileś mnie! – Płacze i śmieje się na zmianę.

Przez moment rozważam, czy mu nie wywalić, ale to bez sensu.

Siadam ciężko w aucie. Blokuję drzwi.

Kurwa.

Kurwa, ja pierdołę.

Co za jebany cyrk.

Za dwadzieścia pięć ziko i pięćdziesiąt groszy.

Chusteczką wycieram krew z ust.

Przeglądam się w lusterku. Przekrwione oczy.  
Już nie człowiek, tylko zombie.

\* \* \*

Trzecia rano. Ostry ból, niczym żądło osy, przesywa mi plery. Za dużo jeżdżenia. Za dużo zginania się. Wyciągam z torby gotówkę. Nawet nie chce mi się tego liczyć. Rzucam po prostu wszystko na stół w kuchni.

Zawiozłem recepcjoniście to, co chciałem, a on wskazał mi jakiegoś cudaka przebranego za rapera. Miał na sobie złotą ketę, która waży chyba ze trzy kilo, i koszulkę w kolorze jagodzianek. Wyglądał jak Turek albo Arab, ale mówił po polsku. Wziął wszystko, co miałem, czyli siedemnastkę.

Dokładam xanax. I relanium. Alicja dała mi też opakowanie lorafenu, który bardzo ładnie wycisza.

To tylko dla mnie.

Mam jeszcze zabunkrowane dziesięć tabletek oxy. Wszystkie po osiemdziesiąt miligramów, trzymane na czarnej godzinę. Teraz cholernie trudno je dostać.

Biorę butelkę po bodymaksie, mieści się tutaj dwieście tabletek. Zaczynam wyciągać z blisterów leki, podobnie jak się łuska groszek.

I wrzucam do pojemnika, wypełniając go niemal w całości.

Całość zamykam i stawiam sobie na szafce w widocznym miejscu.

Moje lentilki.

Mój słoik szahida.

Poczeka na moment, kiedy będę gotów. Mam plan.

Zaglądam do lodówki.

W środku jest cytryna, napoczęta butelka tekli, trochę keczupu, kawałek zeschniętego sera i trzy jajka. Nie jestem głodny. Wrzucam dwa środki przeciwbólowe, dokładam jedną hydroksyzynę na sen. To moja kolacja.

\* \* \*

Po raz pierwszy pomyślałem o samobójstwie rok temu. Boczek usłyszał od pasażera historię jakiejś kobiety, która pracowała w Kombinacie jako menadżer do spraw czegoś potwornie ważnego, o czym następnego dnia już nikt nie pamięta.

Pewnego dnia po prostu wyjechała. Zniknęła. Z dnia na dzień. Później okazało się, że pojechała do Szwajcarii.

Odeszła w takiej kapsule, którą nazywają sacro. Wchodzisz, wpisujesz kod. Kiedy naciśniesz guzik, to do środka kapsuły jest pompowany azot. Tracisz przytomność, umierasz. Bez bólu, bez paniki.

Możesz się odpalić w jakimś ładnym miejscu. W górach. W lesie. Albo nad jeziorem.

Kiedy matka z ojcem weszli do jej mieszkania, wszystko było elegancko posprzątane.

Ciuchy popakowane w specjalne pudła. Na stole hasła do kont bankowych, akt notarialny mieszkania, kluczyki do samochodu, dowód rejestracyjny i list. W którym pisała, że już swoje przeżyła.

Że kolejne dni są bez sensu.

Że już nic nie czuje poza znużeniem.

Że nie jest w stanie wskazać momentu, kiedy się spieszyło, ale ma dość.

Miała trzydzieści pięć lat.

Pomyślałem, że też bym tak chciał. I że to jest jakieś wyjście.

\* \* \*

Przełykam piłkę tenisową, którą mam w gardle.

Coś bzyczy.

SMS.

Nie rozpoznaję numeru.

Graty, jesteś gwiazdą TikToka. K.

Do tego link.

Nie wiem, o co chodzi. Na mojej Nokii i jej miniaturowym monochromatycznym ekranie to żaden link ani żaden TikTok nie polecą.

W moich czasach nie było takich rzeczy jak Internet. Telefony na kabel były i wszyscy byli szczęśliwsi.

Biorę prysznic.

Leję na plecy wodę tak gorącą, że kiedy wychodzę, to wszędzie jest para.

Wychodzę i jeszcze mokry odpisuję:

Skąd masz mój numer?

Wiadomości są dwie.

Pierwsza:

To cud. Wierzysz w przeznaczenie?

I druga:

Nie wiesz, Rumcajsie, że masz porzucane swoje wizytówki w samochodzie?

Odpalam stary telewizor i oglądam National Geographic. *Stawka warta tuńczyka*, odcinek szósty.

## **Czas do śmierci: 5 dni**

Ranek wita mnie za kierą. Napuchnięta warga ciągle lekko boli. Dobrze, że ten matoł z wesela nie miał więcej siły, bo mógł mi wybić jedynki lub dwójki.

Czuję się, jakby przeżuła mnie gruba, paskudna, włochata lama. A później wypłuła. Spałem w sumie jakieś sześć godzin. Ale jak się przebudziłem, to już nie mogłem zasnąć.

Gołębie za oknem się pieprzyły.

Z tyłu siedzi młody mężczyzna w garniaku z rzadką bródką. Dużo i namiętnie opowiada o jakimś biznesie na kryptowalutach. Później przechodzi na coś, co określa jako „forex”.



– Można zostać milionerem. Zaorski, coś panu to mówi? To jest mój guru!!  
Prawdziwy trejder, a nie jakiś podrabianiec!

Kiwam głową. Słucham piąte przez dziesiąte.

– Wchodząc do gry na płytkim rynku, to każdy chce zarobić, a ktoś musi stracić – jak w pokerze. Ale ja nie dam się ograć. Martwię się tylko o siebie!

Przy każdym zdaniu kolo prawie skacze z wrażenia na fotelu, jakby właśnie spuścił się w spodnie.

Wiozę go do centrum.

– Coś tutaj śmierdzi – narzeka. – Jakby rzygami.

Taksometr wybija dwadzieścia osiem osiemdziesiąt.

Koleżka podaje mi trzydzieści ziko, a następnie czeka, aż wydam mu złoty dwadzieścia.

Długo grzebię po kieszeniach, w końcu znajduję w schowku między płytami dwadzieścia groszy.

Napiwki dają biedni, bogaci przemawiają.

\* \* \*

Rysiek i Boczek siedzą na swoich miejscach w kawiarni przy stacji. Obok nich osobnik o fizjonomii kierowcy tira pracowicie je pierogi. Moim zdaniem z mięsem.

Rysiek przycupnął na krześle, podparł sobie czoło pięścią i je czekoladowego muffina. Obok kawa. Ogląda coś na telefonie. Boczek na mój widok podnosi kubek.

– Witamy naszą gwiazdę – mówi Rysiek i uśmiecha się do mnie jakoś dziwnie.

Rozglądam się podejrzliwie na boki.

– Tak, tak, o tobie, Drwalu, mówię. Nic nam nie mówisz, że karierę na TikToku robisz... A człowiek by popatrzył. – Smarknął. – Polajkował. Pochwalił się przed znajomymi, że taką sławną osobę zna. A ty nic. Nawet kawalątka.

Boczek z Ryskiem jednocześnie rechoczą, tak że trzęsą się im kałduny.

– Co ty, Rysiu, pierdolisz? – pytam ostrożnie.

– Nic nie pierdolę – obrusza się Rysiek. – Pacz. Przystojny taksówkarzu.  
Znowu rechot.

Podtyka mi pod nos swojego smartfona.

Na ekranie jest kobieta, która wydaje mi się jakoś znajoma. W tle dworzec kolejowy. Coś mi nagle niebezpiecznie świta. Czuję bryłę lodu włożoną pod koszulkę, która rozlewa się nagle kaskadą do brzucha i gardła.

– Dzisiaj jestem w Kombinacie na Festiwalu!!! I jak zwykle testuję, jak wielkie szowinistyczne świny i dzbany tu mieszkają. Zaraz się przekonamy. Zamówiłam już taksówkę. Dzisiaj będę udawała, że nie mam jak za nią zapłacić. Wybrałam swój najbardziej zdzirowaty strój, niżej macie linki, gdzie można go kupić, z kodem „krolowa karyn” jest piętnaście procent zniżki.

Blondynka robi zbliżenie na swoje piersi. Prawie rozsadzają ekran.

– Uwaga! Jedzie!

Jej twarz wyraża entuzjazm.

Na ekranie pojawia się czarna skoda, a później ewidentnie mój głupi, napuchły pysk. Pomagam jej wsadzić walizkę do bagażnika.

Nagranie jest z dwóch ujęć. Z telefonu i z jakiejś kamery, chyba na jej piersi.

Cięcie.

Blondynka majstruje coś przy dekolcie, tak że widać ich nie połowę, jak do tej pory, tylko trzy czwarte.

– *Fuck*. Nie mam kasy. Nie wzięłam portfela. Ojejku, i co teraz będzie?

Najazd na moją twarz. Wyglądam jakoś inaczej. Jakby przepuszczono obraz przez jakiś filtr. Na moim ryju pojawia się głębokie zwątpienie. Wyglądam jak śliniący się idiota.

Napis na ekranie:

Całkiem przystojny ten taksówkarz.

– Dobra. Idź – mówię zrezygnowany. – Miłej zabawy – dodaję.

– Serio?? – dziwi się blondynka. – Może ci chociaż strzepać? – pyta nagle zalotnie i puszcza oko.

Na ekranie pojawia się przebitka kobiecej dłoni naśladowującej walenie konia w rytm muzyki typu „kartofle po schodach”.

– Nie, dzięki, mała – mówię. – Ponoć dobro wraca.

Blondi chowa samarkę do torebki.

Tym razem na ekranie pojawia się nagle zielony kciuk. Cięcie jest gładkie i profesjonalne.

Blondynka jest teraz w czarnym bikini. Stoi na plaży w Kombinacie. W tle widać scenę. Ma długie nogi. Jej piersi znowu sprawiają wrażenie, jakby za chwilę miały rozerwać stanik.

W sumie to widać jej sutki.

– Podsumujmy – mówi. – Czy taksjarsz usiłował się do mnie dobrać?

Nie.

Czy zaślinił się na mój widok i był obleśny?

Nie.

Czy przyjął propozycję strzeptania farfocla?

Nie.

Był naprawdę miłym gościem. Królowa jest zachwycona.

Przebitka na moją rękę podającą jej samarkę.

– Oczywiście to, co dostałam od przystojnego taksówkarza, to żadne narkotyki. Był to majeranek wymieszany z oregano – mówi Królowa Karyn i puszcza takie perskie oko, że aż mnie wzdryga. Na ekranie pojawia się napis „420”.

Koniec.

Kurwa mać!!!

– Zobacz komentarze – rechocze Rysiek.

**Pewnie pedał.**

**Faktycznie przystojny.**

**Może żonaty. Dlatego odmówił?**

## **Dajcie mi jego numer! Dam mu na tylnym siedzeniu...**

– Ziola to nam nigdy za darmo, bydłaku, nie dałeś! – oburza się Boczek.

– Masz takie cycki jak ona? – pytam odruchowo. – Jak będziesz miał, to się zgłoś.

– Ja to ci się dziwię, Drwalu. Taka dupa, a ty nie skorzystałeś... – Boczek się krzywi.

Płacę przy kasie. Dziewczyna dziwnie się do mnie uśmiecha albo zaczynam wpadać w paranoję. Idę do automatu po kawę i wracam do stolika.

– Jak ktoś nie ma kasy, to ja mówię prosto: „Będzie laseczka robiona i rozchodzimy się polubownie” – mówi chełpliwie Rysiek.

– Facetom też? – upewniam się.

– Pewka – wyszczerza się.

– I co?

– Zawsze kwit albo karta się znajduje.

– Mi raz laska pokazała cycki. Niezłe miała. Duże takie – wspomina rozmarzony Boczek. – Strzepuje okruchy po czekoladowym muffinie prosto na podłogę. – Piwa bym się napił – wzdycha.

– I co? Przeruchałeś ją? – dopytuje Rysiek.

– Gdzie tam. Kazałem się jej ubrać, bo zakochaany byłem. A moja eks miała najlepsze cyce na świecie.

– Frajer – prycha Rysiek.

– Pewnie, że frajer. – Boczek się zgadza. – Teraz bym tak w życiu nie zrobił.

Rozliczenia w naturze to wśród taksówkarzy norma. Klient zapomni portfela. Karta nie działa. Telefon się psuje. Kiedyś od nawalonego wędkarza dostałem suma, razem z plastikowym wiaderkiem. Całkiem sporego. Wpadło kilka słoików korniszonów. Jedna babcia nie miała gotówki i chciała mi zapłacić jabłkami i śliwkami.

Wziąłem jedno jabłko, cztery śliwki i odprowadziłem ją pod drzwi. Dziwnie się wtedy poczułem.

– Ja za kurs za pięć dych dostałem kiedyś szlifierkę stołową. Sam ją wybrałem sobie z garażu klienta – chwali się Rysiek.

– Jesteś pewny, że to był jego garaż? – upewniam się.

Rysiek marszczy czoło.

– W sumie to masz trochę racji. Nie jestem wcale pewien. Ale szlifierkę mam do tej pory. – Kiwa głową, uśmiechając się.

– A ty, Drwalu?

Zastanawiam się przez moment.

– Zgarnąłem niedawno DJ-a spod Euforii – mówię. – Chyba Holendra. Pod hotelem otworzył portfel, popatrzył w niego ze smutną miną i mówi do mnie: „Can I pay you in nature?”<sup>10</sup>.

Boczek z Ryśkiem ryczą ze śmiechu. Boczek wyjmuje zza pazuchy płaską flaszkę wódki i leje nam do kawy. Mruga przy tym okiem.

Stukamy się plastikowymi kubkami.

– Za co pijemy? – pytam.

– Za nas. Za lordów. Za panów świata. Za złotowy tego miasta – mówi Boczek. – To jest dobry toast, nie?

Piję, ale w ustach czuję gorycz.

Nadchodzą kłopoty. Czuję to.

\* \* \*

Jestem przy Szpitalu imienia Świętej Trójcy. Miasto leniwie się porusza. Odbieram stąd czterdziestoletniego budowlańca z usztywnioną nogą. Na imprezie robił przysiady z jakimś zawodnikiem na plecach.

Tyle że przy siódmym przysiadzie załamała się pod nim prawa noga. Padł ryjem na podłogę. I zawył.

Do domu jeszcze się dowlókl, bo spożyte zero siedem dawało solidną otulinę przeciwbólową. Ale rano do kibla poskakał już na jednej nodze. W pracy wziął wolne, a kiedy skumał, że ibuprofen go nie wyleczy, dał matce wygnąć się do szpitala. Ale do końca zaklinał się, że z nim wszystko w porządku.

Teraz łapie powietrze ustami jak wielki sum złapany na haczyk.

– Jak w grę wchodzi szcycie łąkotki, to przynajmniej dychę to będzie kosztować – stęka. – Albo i piętnaście – dodaje z coraz bardziej ponurą miną.

Przypomina mi się tylko historia, jak kumpel z bramki na koniec szczyty rozejrzał się po parkiecie, ale co żyło, to już poszło do domu. Zgarnął więc jedną z ostatnich karniszy, która gniła w łoży. Było ciemno, a on był już mocno zrobiony, więc za bardzo nie widział, jak ona wygląda. Obudził się rano. Nie pamiętał nic. A obok niego leżała prawdziwa smoczyca, z dupą jak szafa gdańska. Spojrzał na nią. Jeszcze raz spojrzął.

Po czym stwierdził z ciężkim westchnięciem: „To są skutki picia wódki”.

Ale, ale... Ponoć była świetna w łóżku.

– Do pogrzebu się zagoi... – mówię. – A ty chuju rybi!!! Lepisz chuja z gliny!

– Co? – pyta zaskoczony budowlaniec.

Naciskam na heble, wrzucam awaryjne i wyskakuję z samochodu.

Na postoju na Sienkiewicza stoi młody farfocel z długimi włosami i uszami jak smutny osioł. Gada z jakimś uberowcem, wręczając mu wizytówkę. Proszę, człowiek się stara, edukuje, z sercem na dłoni, usiłuje wytłumaczyć mu popełnione błędy i jaki jest efekt?

Chujnia i mrok.

Piętnaście metrów.

Dziesięć metrów.

Pięć metrów.

W ustach czuję smak krwi.

– Pamiętasz mnie, mordo?

Farfocel na mój widok wpierw staje słupka, jego wąskie oczka robią się nagle bardzo duże, w końcu rozgląda się rozpaczliwie dookoła, a później uderza w długą.

Biegnę za nim, ale ten pociąg potrzebuje czasu, aby się rozpędzić. Nie chcę, nie mogę, ale przyspieszam. Płuca, zaskoczone takim przebiegiem akcji, jakoś nie są w stanie przyjąć większej ilości powietrza.

– ZAJEBIĘ CIĘ – syczę do Farfoła.

Ten ogląda się trwożliwie za siebie. I debil leci na osłep, prosto w kierunku komendy policji. Szybciej, kurwa, biegnij szybciej. Fajfus widzi komendę i teraz jakby wrzuca szósty bieg, skręcając w ulicę Dojazd.

I tu bym go nawet dorwał, na pewno bym go dorwał, gdybym się nie zmęczył tym bieganiem. Czarne plamy przed oczami. Wyskakują mi wszystkie kontrolki organizmu, tak jakby zwariowała cała tablica rozdzielcza.

Zginam się wpół, ciężko dysząc.

Fajfus się zatrzymuje i patrzy na mnie z oddali.

– Sklepię cię jak peta! – wrzeszczy i dziwnie podskakuje, jakby go ktoś ciągnął za jaja.

Robię trzy kroki do przodu. Fajfus skręca przy szkolnym boisku i znika między blokami.

– Jeszcze się spotkamy – mówię.

Tym razem wykład będzie z wiedzy o społeczeństwie i sposobach posługiwania się pałką typu baton – obiecuję w myślach. Jak skończy się tylko na dwóch, no, trzech złamaniach, to będzie znaczyć, że uczeń był pojętny. Wracam wypłuty do auta.

– Przepraszam. Zobaczyłem znajomego, który pożyczył ode mnie coś, co do niego nie należy – mówię do budowlańca.

Ten kiwa głową i zaczyna opowiadać o kumplu, któremu pożyczył pieniądze. Nie słucham. Oglądam się w lusterku. Moja morda świeci wszystkimi odcieniami czerwieni.

Odwożę budowlańca na Międzytorze, po czym przez kilka minut pomagam mu wysiąść. Capi świeżo przetrwaną wodą i jest ciężki jak worek ziemniaków. Sapię. Plecy mnie rwą, ale ciągnę go do góry. W końcu się udaje. Proszę, najpierw kardio, później trening siłowy.

Wracam do formy.

Kwadrans później jestem z powrotem na starym mieście. Kręcę się po okolicy, jeżdżąc powoli ulicami z otwartą szybą po stronie kierowcy. Nic.

Fajfus pewnie się schował i dzisiaj już go nie będzie.

Teraz Kombinat zaczyna śmierdzieć, wiatr nawiewa siarkowodór do centrum.

Brudny i lepki wyziew. Wszędzie czuć zgniłe jaja.

\* \* \*

Dźwięk SMS. Sprawdzam. Kamila.

Cześć, Przystojny Taksówkarzu. Idziesz na obiad?

Odkładam telefon na fotel. No chyba ją posrało. Myśli, że ja na jakieś obiadki będę chodził... Włączam radio. Leci italo disco, czyli polski hip-hop.

Kolejna wiadomość.

Nie bój się. Nie nagram Cię.

Wciskam toporne przyciski.

Jest 17

Jestem w pracy.

Co prawda ruchu nie ma prawie w ogóle, a praca złotowy nie polega na jeżdżeniu, tylko na czekaniu. Ale o tym Kamila raczej nie wie.

Każdy jest w pracy, a to jest bardzo dobra pora na jedzenie. W twoim wieku, dziadku, nie powinno się jeść później. Bo ci cukier zanadto skoczy.

Uśmiewam się. Nie wiem nawet dlaczego. I w sumie się dziwię sam sobie, ale piszę:

ggaGdzie?

Odpowiedź:

Mamy szeroką paletę możliwości: sałatka, sałatka, sałatka. Albo sałatka, kiełki, błonnik. Co chcesz?



Myślę przez moment.

Burgera.

Chcesz szybko umrzeć, jak widzę.

Wszystkim to mówię, nikt mi nie wierzy.

W skateparku koło centrum. Trafisz, tetryku?

Tak.

Włączam silnik.

Sygnał przychodzącej wiadomości.

Tylko nie przynoś mi kwiatów! Nie chcę się tłumaczyć staremu, skąd je mam, a byłoby mi żal wywalić je do kosza.

I weź ze sobą organizer na leki. Nie chcę, żebyś mi zszedł.

Phi. Organizer na leki to ja noszę ze sobą cały czas. Czerwony. Niezbędne witaminy. Stymulanty, depresanty, psychodeliki, czerwony kapturek i inne.

W większości wiem, co to jest.

Przy niektórych niestety nie. Jest ryzyko, jest zabawa. Siedemdziesiąt porcji życiowych rozkoszy. Byle dużo. Może być bez sensu.

Ledwo odkładałam telefon, a już przychodzi następny SMS.

Rumcajs, do picia coś weź! I jakieś owoce, warzywa czy coś. Trzeba Ci zbić cholesterol.

\* \* \*

Idę po wino. Jak się nie najem, to przynajmniej zaleję pałę. Młoda dziewczyna w Żabce z wielkim tatuażem Myski Miki na łapie najpierw chce mi wręczyć jakiś alkoholowy napój o smaku banana, który jej zdaniem naprawdę mocno

klepie. Ale kiedy mówię jej, o co chodzi, że umówiłem się z kobietą, wyciąga z lodówki wino musujące w czarnej butelce.

– Odłożyłam dla siebie, bo mam randkę wieczorem. Ale nowe zdąży mi się jeszcze schłodzić – mówi.

Nie żebym miał coś przeciwko równouprawnieniu, ale dawniej to faceci przynosili alko na randki, licząc, że dzięki temu dostaną chociaż jazdę na ręcznym. Teraz to kobiety muszą się starać. A co było złego w tym, że facet otwiera kobiecie drzwi do samochodu i podaje płaszcz?

Koło starego dworca PKS idę do warzywniaka.

Seler, bakłażan, trochę pomidorów, por... Nie, to nie to.

– Dzień dobry, pani Celino, da mi pani pęczek marchewek. Ale najładniejszych, jakie pani ma!

– W rosole to wszystkie ładne – burczy, ale przynosi mi z zapleczka pęczek młodych marchewek z dużą ilością naci, która wygląda jak pióropusz.

Są warzywa?

Są.

Jest zdrowo?

Jest.

Zaraz mi nać z dupy wyrośnie.

\* \* \*

Kamili nie widzę. Kręcę się chwilę po parku, aż z tyłu słyszę jakby znany, lekko zblazowany głos.

– Cześć, mordo. Na chuj ci te marchewki?

Mój stały klient siedzi na ławce. Wojtuś? Tak, Wojtuś. Podstarzały hiphopowiec. Ma na sobie krótkie spodenki z wielkimi kieszeniami i złote klapki Kubota. Na garbaty nos, z którym wygląda niczym gargulec, nasadził wielkie ciemne okulary od Gucciego.

Pali zioło i patrzy przed siebie z wyjątkowo zadowoloną miną. To zadowolenie daje mu rulon banknotów w garści, dobra fura w podziemnym garażu i świadomość, że ojciec zawsze dosypie kasy.

Wojtuś często robi sobie jaja, że jego ojciec jest królem sedesów. Ale nie. Nie jest. Jego ojciec ma sieć piekarni w Kombinacie i najbliższej okolicy. I jeździ zawsze S klasą. Zmienia tylko kolejne modele, tak jak wiosna zastępuje zimą.

Wojtuś skończył ASP w Poznaniu i wrócił do Kombinat. Ojciec w dowód uznania za zrobienie dyplomu kupił Wojtusiowi wielkie, stu pięćdziesięciometrowe mieszkanie na 3 Maja. Tam Wojtuś maluje, pali zioło i puka panienki. Sporo banknotów przez moje kieszenie przepuścił.

Wojtuś jest chyba jedynym spadkobiercą fortuny po ojcu. Parę lat temu miał jeszcze starszego brata, Pedra.

Smutna historia.

Pedro miał dużo kolegów, z którymi balował po Kombinacie, jeżdżąc przy tym jedynym w mieście szarym bentleyem. Pewnego dnia ktoś jednak doszedł do wniosku, że to niesprawiedliwe społecznie. I że Pedro ma się podzielić swoim stanem posiadania z bardziej potrzebującymi. A właściwie, że ma się podzielić jego ojciec.

Pedro zniknął wywieziony w pizdu. Jego ojciec zapłacił milion okupu, a i tak nic to nie dało. Ciało Pedra znaleziono w jakiejś wiosce pod Grodziskiem Mazowieckim. Zakopano go pod jednym z przydrożnych krzyży.

Psy złapały trzech „zabójców”. Pierwszy trzy miechy przed procesem powiesił się ponoć pod celą. Tak fachowo, jakby nic innego w życiu nie robił, tylko do walnięcia samobója się szykował. W żyłach miał całą tablicę Mendelejewa.

Zaraz po nim samobójstwo popełnił strażnik, który miał tego dnia wartę. Drugi z zabójców też się powiesił. W więzieniu w Kombinacie. Dziwnym trafem w jedynym kącie celi, w którym nie było kamer.

Trzeciego psy już pilnowały. Ale przyjechał do Kombinat na jeden dzień złożyć zeznania w innej sprawie. I co? Popełnił samobójstwo.

Zbieg okoliczności? Nie sądzę.

– Chcesz jedną? – proponuję.

– A daj – mówi Wojtuś. – Sanatorium sobie właśnie robię.

Podaję mu marchewkę. Wsadza ją do kieszeni spodni. Nać sterczy do góry.

– Buszka? – proponuje uprzejmie, wskazując na gigablanta, którego trzyma w ręku.

– Nie, dzięki.

Wojtuś strzela tęgiego bucha, po czym jakby od niechcenia sięga do plecaka i podaje mi browara. Biorę od niego puszkę. Robi psst przy otwieraniu.

Próbuję.

Dobry. Zimny.

Patrzemy w milczeniu na drzewa przed nami.

– Coś cię dawno nie widziałem – mówię.

– Widzisz, mordo, teraz towar zamawiam legalnie, na receptę. – Wojtuś się szczerzy, jakby właśnie złuzował rajtuzy. – Przez sieć sobie zamawiasz i kod na receptę dostajesz. Drożej jest, ale wiesz, jak mnie psiarnia złapie, to ja się lecę. Mogą sobie co najwyżej kaczkę z gówna polepić. Nikt mnie już nie zgarnie do suki. Ten komfort jest tego wart, mordo. Trzymam się tego jak koala eukaliptusa. Kumasz?

– Ma to jakiś sens – mówię.

Stukamy się puszkami. I pociągam kolejny łyk, bo w sumie nic tu nie ma więcej do dodania.

Był klient, nie ma klienta. Co z tym zrobisz? Nic nie zrobisz.

Widzę zbliżającą się Kamilę. Ma na sobie bardzo kusą białą bluzkę, która odsłania płaski brzuch i pępek. Do tego wąska talia i tyłek w spodniach opiętych do granic możliwości. W ręku trzyma wielką, papierową torbę.

Wstaję z ławki.

– Dobra, mordo, zbieram się, kumpela idzie.

Wojtuś patrzy w kierunku Kamili, po czym wyszczerza się na jej widok jak napalony pies.

– Fiu, fiu – gwizdże. – Fajna dupeczka. Dobre nogi. Nie za młoda dla ciebie? Ile ona ma? Dwadzieścia lat?? Ech, życiowy błąd, zamiast za malowanie powinienem się wziąć za dealowanie...

\* \* \*

– Skąd masz browara? – pyta Kamila.

– Jak ktoś mnie pyta, jakie mam supermoce, to mam jedną. Zawsze ktoś częstuje mnie piwem.

– To przez ten gabaryt. Ludzie zwyczajnie się ciebie boją. I częstują, bo się im wydaje, że wtedy będziesz miły.

– Chcesz łyka?

– Jasne.

Wręczam Kamili pęczek z marchewek, który wygląda jak wielki bukiet. Śmieje się tak, że kuca na chodniku.

Idziemy kawalek. W końcu wyciąga rękę, zapraszając mnie na murek, skąd jest całkiem niezły widok na skatepark. Młody chłopak zawzięcie ćwiczy obrót deski w powietrzu. Nie wiem, jak nazywa się ten trik. Chłopak co jakiś czas ląduje na asfalcie. Nie zraza się. Próbuje dalej. To nas najbardziej różni. Mnie się już nie chce próbować.

Kamila siada na murku.

– Nie boisz się, że spodnie ci pękną? – mówię.

– Mam praktykę. My kobiety potrafimy zrobić wszystko, aby tylko dobrze wyglądać. Chodziłeś kiedyś w za ciasnych butach przez całą noc, tak że ci się krew ze stóp lała?

– Ciągłe mi się to zdarza – burczę.

– Nie wierzę. – Kamila posyła mi spojrzenie zabójcze niczym działka szybkostrzelnego karabinu maszynowego.

– Raz do chodzenia po lesie założyłem gumofilce. Były za ciasne. Musiałem je rozciąć.

– Co robiłeś w lesie w gumofilcach?

Babki z piasku.

– Grzybów szukałem – mówię. – A po co chodzić w butach, które cię obcierają?

Kamila zaczyna się śmiać.

– To proste, buty mają być piękne. Jak jeszcze są wygodne to ekstaza. Ale wygodne być już nie muszą.

Sięga do papierowej torby i rzuca mi zapakowanego w papier wielkiego burgera.

– Wzięłam ci największego bydlaka, jakiego mieli.

– A frytki?

– Nie ma frytek, za gruby jesteś – mamrocze.

Otwieram wino.

– Nie mam żadnych kubków – mówię z żalem, bo kompletnie o tym nie pomyślałem.

Kamila prychnie lekceważąco.

– Spoko, będziemy pić z gwinta.

Przez najbliższe pięć minut jedynym odgłosem, jaki słyszę, jest mlaskanie. Kamila kończy swojego burgera na trzy kęsy, wyciera usta serwetką. Gdzie ona to mieści? Bierze do ręki butelkę wina. Wypija kilka łyków, trzymając ją za szyjkę.

Znać profesjonalistkę.

Beka, zasłaniając usta. Po czym prezentuje szereg lśniących zębów.

– Jedzenie to największa przyjemność, obok sam wiesz czego – mówi.

– Seksu?

– Spania, Rumcajsie. Seks jest przereklamowany. Teraz każdy zaczyna, jak to niby będzie cię różną. I że wyobraża sobie, jak mu będziesz robić loda.

– To źle? – strzelam.

Kamila przybiera najbardziej cyniczny uśmiech na świecie, który potrafią mieć tylko młode kobiety.

– To prosty komunikat. Znaczy, że ja będę zapierdalać między jego nogami. – Krzywi się. – A nie chce mi się zapierdalać od razu na starcie. Chcę, żeby on też się mną zajął i żeby mnie też było dobrze. Mężczyźni traktują nas jak mopy do robienia lodu. Jakbyś cały czas robił loda, też byś się znudził... Ja nie mam na imię Kamila Głębokie Gardło.

Robię dziwną minę. I aby ją zamaskować, gryzę ostatni kawałek bułki.

– Pornole zrujnowały mi seks. Umawiałeś się ostatnio z jakąś kobietą? – pyta Kamila.

– Ostatnio to nie.

– To kogo zamierzasz posuwać w długie, zimowe wieczory?

– Kobiętę, która wygląda jak młoda Megan Fox, gotuje jak Makłowicz i jest wyluzowana jak Snoop Doggy Dogg – mówię.

– Masz już taką?

– Nie. Ale nie mam zamiaru obniżyć poprzeczki.

– Eee tam. Powinieneś kiedyś pójść do Euforii. Więcej tam króliczków niż w królikarni.

Tak, kobiety bekały tam drinkami po dwadzieścia ziko, a w pewnym momencie szły do kibla, żeby wciągnąć amfę albo kryształ. To jest małe miasto, to jest Kombinat, tutaj mało kogo stać na prawdziwy koks. Ale trzeba wziąć coś, co cię wyprostuje. Bo jak już pijesz trzecią czy czwartą godzinę, to jesteś trochę zmulony. I zaczynasz bełkotać.

Noc w klubie jest przecież niezobowiązująca, a ludzie zawsze interesujący.

(Koło trzeciej rano każdą z tych, które zostały, można było puknąć w kiblu, na zapleczu albo – jak była szczególnie ładna – to nawet zamknąć się z nią w pokoju menadżera, gdzie stała kanapa).

A później budzisz się w niedzielę, koło południa, jak matka pozwoli ci pospać dłużej. I wymieniasz głosówki i wiadomości, jak to fantastycznie się wczoraj bawiłaś i że w sumie to był urwany film.

A jeszcze później matka podaje kartofle i kotlet albo pomidorową, kartofle i kurczaka.

– A ty? – zmieniam temat, bo o swoich doświadczeniach na bramce w Euforii nie mam zamiaru opowiadać nikomu, a zwłaszcza jakiejś podfruwajce.

– Mój tarot mówi, że ciągle romansuję i Marcel już dawno powinien mnie kopnąć w tyłek. Ciekawe, co powie o tobie.

– Marcel? Pewnie się nie ucieszy.

– Co powie tarot, Rumcajsie. Pewnie to samo, co moja matka.

– A co mówi twoja matka?

– Moja matka jest zagorzałą katoliczką i uważa, że jedyna rzecz, jaką powinna zrobić dziewczyna w moim wieku, to szybko znaleźć sobie bogatego męża. A jak będzie bogaty, to od razu pojawi się wielkie uczucie. Bo po trzydziestce to już będzie za późno. Kto marudzi, ten nie wychodzi za mąż. Ojciec na szczęście jest normalniejszy. A twoi rodzice?

– Nie ma tutaj o czym opowiadać.

– No, powiedz – prosi.

– Nie chcę.

– Powiedz! – żąda.

Młode kobiety nie znają granic. Rodzice nie potrafili ich tego nauczyć.

Sama chciałaś.

– Ojciec zginął, jak jechałem autobusem na mecz – mówię powoli. – Wsiadł z sąsiadem do opla vectry, którego sobie kupił miesiąc wcześniej. Jechał za autobusem. Na letnich oponach. Później nas wyprzedził, bo lubił zapierdalać. Tyle że to był pierwszy dzień, kiedy zaczął padać śnieg. Minęliśmy wbity w drzewo samochód jakieś pół godziny później – cedzę.

Kamila robi się blada.

Biorę do ręki butelkę wina i piję. Dużo.

– Sąsiada akurat pakowali w worek. Ojciec leżał tuż obok.

– I co dalej? – Jest wyraźnie wstrząśnięta.

– Nikomu nic nie powiedziałem. Wyszedłem na boisko. Rzuciłem dwanaście bramek. A później przez godzinę rzygałem w kiblu.

Przełyka ślinę.

– A twoja matka?

– Jak się domyślasz, nie przyjęła tego najlepiej. Trzy lata później, wylew krwi do mózgu. Lekarz mi mówił, że na szczęście umarła od razu. I że to efekt nadmiaru fajek i nadciśnienia, którego nie leczyła.

Kamila zakrywa usta dłonią.

– Głupio mi. Przepraszam.

Wzruszam ramionami.



– Życie. Życie jest złe. I niesie ze sobą całą masę chujozoy i nieszczęścia, na które nie mamy żadnego wpływu.

– I tak mi przykro.

– Wierzę.

Wyrzuca opakowania po burgerach do pobliskiego kosza. Zakłada ciemne okulary. Wygląda w nich jak mała mucha.

– Jesteś miły – mówi.

– Nie. Wy, kobiety, często tak macie, że wyobrażacie sobie różne rzeczy, a następnie myślicie, że są one prawdą. Jestem kompletnie inny, niż sobie wyobrażasz.

– Znam cię od niedawna, ale wyglądasz mi na gościa, który nigdy nikomu nie zrobi krzywdy.

Krzywię się.

– Pieprzenie. Opowiem ci coś. Raz zatrzymaliśmy się z chłopakami na parkingu. Poszliśmy na stację po browar – mówię, patrząc prosto w jej brązowe oczy. – Była tam ekipa ze Śląska. Dwóch koleś w samochodzie. Jak nas zobaczyli, to chcieli uciec. Podlecieliśmy do nich. Teleskopem wywaliłem szybę, a później wyciągnąłem jednego grubasa. Jebnąłem go tak, że wpierw wybiłem mu zęby z przodu. Aż taka dziwna, gęsta krew zaczęła mu lecieć z ust. Rzuciłem go na glebę – cedzę.

(A później zaczęliśmy go kopać. We czterech. Jak leżał na ziemi, to zacząłem skakać po jego stopie. Raz. Drugi. Trzeci. Aż poczułem, że coś się łamie. Zmiażdżyłem mu kostkę. Wył. A później przestał. I się nie ruszał. Miał tylko taką opuchniętą twarz. Tego nigdy nie zapomnę).

– Przez chwilę się zastanawiałem, czy go zabiłem. Później się okazało, że ten pierwszy cios złamał mu też szczękę. Jego kumpła skopaliśmy pod płotem. A kiedy gość padł, mój kumpel Master wylał mu gorącą kawę na plecy. Później się na niego odlał. I przez pół drogi do Kombinatoru narzekał, że się nie odeszał. Bo trzeba było postawić kropkę. Kropkę nad i. Wiesz, czego żałowałem najbardziej? – pytam.

Kamila kręci głową.

– Że musiałem wyrzucić nowe białe naje na śmietnik, bo były całe poplamione krwią. Więc jak ci się wydaje, że jestem dobrym człowiekiem, to nie jestem. Byłem bandytą, jestem bandytą i będę dalej. Aż mnie ktoś odjedbie albo sam zdechnę – kończę.

I idę do samochodu.

\* \* \*

Co pamiętam z ojca?

Ojciec palił ekstramocne. Odpalał jeden od drugiego. Pił kawę plujkę w szklankach z cienkiego szkła w koszyczkach, tak gęstą, że aż łyżka stawała. Do tego trzy kopiaste łyżki cukru.

Wódki w barku kupowanej w kantynie w jednostce było tyle, że się półka w meblu wygięła.

Dobra ilość to był litr na głowę. Litr na głowę świadczył, że nikt nie jest miękki. Piło się pod kiszony ogórk z piwnicy.

Albo pod śledzia ze słoika.

Jak była impreza, to szedł do Basztowej na Okrzei. Do Basztowej nie szło się z żoną, szło się po to, aby odpocząć od żony. Jak wracał, to często umazany szminką.

Matka robiła awantury, parę razy rzuciła się na niego z nożem. Strzelała ją wtedy w pysk.

Szła do kibla popłakać trochę, a później robiła mielonego i mizerię.

Co jeszcze?

Raz, kiedy matka miała zapalenie wyrostka, ojciec zrobił kotlety schabowe. Był to cud kulinarny na odwrót. Kotlet zrobiony przez ojca był spalony na zewnątrz i surowy w środku. Przy tym twardy jak płyta wiórowa, jebał spalenizną, a węgiel w trakcie jedzenia trzeszczał mi między zębami. Kartofle były niedogotowane i dziwnie pływały w wodzie. Do tego zestawu mistrzów dostałem ogórek kiszony, który jako jedyny nadawał się do czegokolwiek.

Jak ojciec poszedł na chwilę do łazienki, wywaliłem kotlet do kosza i dla niepoznaki przykryłem obierkami. Nie po to, żeby mu się przykro nie zrobiło, tylko żeby mnie nie opierdolił.

Swojego schaboszczaka żuł twardo przez jakieś pół godziny i użył do jego zmiękczenia trzech kasztelanów. Ale zjadł? Zjadł.

A że później siedział dwie godziny na dzbanie? Jest ryzyko, jest zabawa, jest duma, to i dupa będzie bita.

Ojciec uważał, że męczyzna zawsze zaciska zęby.

– Życie trzeba przeczekać – mówił.

Może coś jeszcze kiedyś o nim opowiem. Kiedyś, nie teraz.

\* \* \*

Dobra, przypomniało mi się.

Jeszcze złote myśli ojca.

„Po szklanie i na rusztowanie”. Nie wiem, skąd to wytrzasnął, bo nigdy nie miał nic wspólnego z budowaniem.

„Taktowna żona po dwóch latach sama odchodzi”. Ale nie mówił tego przy matce.

„Tylko ciężką pracą ludzie się bogacą”. Zapomniał dodać, że cudzą, nie swoją.

„Świat stoi przed tobą otworem!”. Nie powiedział, że ten otwór to dupa, idź więc uparcie w kierunku prostaty.

„Mecz leci w TV dopiero wtedy, kiedy jesteś po kąpieli”.

To akurat proste. Chcesz oglądać? Idź się najpierw umyć.

\* \* \*

Ostatni kurs.

Dwudziesta trzecia zero siedem.

Młoda kobieta przestała sikać w bramie na Kwiatka. Czekam na nią z otwartymi drzwiami taksówki.

– Już nie mogłam wytrzymać – uśmiecha się do mnie.

Wiozę ją na Podole. Pięć ziko napiwku. W sumie więcej niż się spodziewałem.

Telefon. Na wyświetlaczu nie ma numeru.

Odbieram.

Kobięcy głos.

– Cześć, gwiazdo. Powinam się martwić tym twoim występem?

– O czym mówisz? – pytam ostrożnie.

– O TikToku. To jak? Powinam czy nie? Psiarnia się tobą zainteresuje czy nie?

– Mam to pod kontrolą, Alicjo.

– Mam nadzieję.

– To dobrze. Niech tak zostanie.

Rozłącza się bez słowa.

Przed pójściem spać łykam tabletkę clonazepamu. Pastyłka na pozór banalna. Ponoć na padaczkę, ale jest jak tryskający tęczą jednorozec. Jednocześnie działa nasennie, uspokajająco i przeciwłękowo.

Tego mi właśnie teraz potrzeba.

## **Czas do śmierci: 4 dni**

Jest dziewiąta rano. Robię sobie kawę w ekspresie na kapsułki. Wypijam podwójne espresso. I zjeżdżam windą.

Blok jest świeżo po remoncie. Windy wymieniono, choć nadal są ciasne, na parterze położono ciemne płytki i kiedy się wchodzi do bloku, to jakby się wkraczało do grobowca.

O te płytki mieszkańcy się zresztą strasznie pocięli. Jedni twierdzą, że poprzednie jasne były lepsze, inni, że dzięki temu mniej widać błoto i roztopiony śnieg. Tak to jest, jak ludzie nie mają żadnego celu w życiu. Kłóć się wtedy o pierdoły, żeby poczuć jakikolwiek sens. Złazę na dół, otwieram takse i czyszczę ją przed nową zmianą.

Z klatki wychodzi Sarnecki, syn starego Sarneckiego ode mnie z piętra. Ma mieszkanie naprzeciwko mojego. Wygląda na siedemdziesiąt lat, ma chyba z pięćdziesiąt, wojownik Kombinatów od ćwierć wieku. Głównie na nocnej zmianie. W ręku czerwony kubek na śmieci.

Kiwa mi głową. Macham mu ręką, rytuały powitalne może uznać za zakończone.

Sarnecki staje pod śmietnikiem. Z kieszeni szarych dresów wysuwa małąkę.

I dosłownie wlewa ją w gardło.

Ociera usta.

Z kosza na śmieci wyjmuje piwo.

Strzela je na cztery łyki.

Spogląda na mnie.

– Żona – mówi, jakby to tłumaczyło wszystko.

Po czym podchodzi do pojemników i zawartość kosza na śmieci wyrzuca do zmieszanych.

Całość operacji trwa nie więcej niż dwie minuty.

\* \* \*

Podaję Agnieszczakowej kupon Lotto i zdraпки. Kobieta ma na sobie dziwną koronkową koszulkę z wielkim dekoltem. Jej ciężkie cyce spływają potem. Kilku siedemdziesięciolatków przypomni sobie młode lata. Może, MOŻE im nawet staną.

– Co mi pan podaje, panie Drwalu? Zdrapać to trzeba. Drapać pan nie potrafi? Żadna dziewczyna po plecach pana nie drapała? He, he, he. Teraz to one mają zresztą szpony jak te, no... rysie!

Agnieszczakowa dalej coś nawija.

Myślę o Kamili.

W sumie ma długie paznokcie.

Biorę kluczyki od samochodu i trę.

– Z tego Lotto to nic nie ma – stwierdza Agnieszczakowa. – Następny taki sam?

– Jasne. – Podaję jej zdraпки.

– Przeglądzik będzie? – pyta.

Zastanawiam się przez moment.

– Pani da. Choć nie wiem, po co ja go jeszcze kupuję. Tylko się wkurwiam bez sensu.

Chcę jeszcze dodać, że bycie kibicem w tym kraju to nieustające upokorzenia. Ale przerywam – Agnieszczakowa wygląda, jakby miała zawał.

Jest na przemian biała i czerwona.

A może to udar??

– Pani Agnieszczakowa, dobrze się pani czuje? – pytam.

Nic.

– Halo! – Potrząsam nią. Może trzeba strzelić ją z liścia??? – Pani podnieś ręce! – mówię stanowczo.

Budzi się.

– Trafił pan! – bełkocze.

– Co?

– Trafił pan. Dwanaście liczb!!!

– Jak to trafiłem?? – dziwię się.

– Zdrapał. Wygrał!! Główna nagroda!!! – wyrzuca z siebie.

Odprężam się.

– I pięknie. Ile? – pytam.

– Dwieście pięćdziesiąt...

– No, na flaszkę będzie. – Nawet się cieszę, jestem zdumiony, że jeszcze to we mnie gdzieś jest. Jakaś tam euforia. Pieniądze, banknoty. Kiedyś matka mi je dawała, żebym sobie kupował różne rzeczy. Lody. Rurki z kremem. I takie ciastka. To się chyba nazywało napoleonka.

Siedziałem na ławce i jadłem. Byłem wtedy bardzo szczęśliwy. Dużo szczęśliwszy, mając w kieszeni dwie dychy niż później dwadzieścia koła w portfelu.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy – uściśla Agnieszczakowa.

Zapada milczenie.

Przełykam z trudem ślinę. Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, co myśleć. Kiedyś moje życie miała zmienić sztaba złota za dwieście pięćdziesiąt tysięcy. I co?

– W sumie szkoda, że dopiero teraz, jak już zamykam. Byłaby dobra reklama. Bym ogłoszenie na szybie dała, że tu była zwycięska zdrapka – mówi rozmarzona Agnieszczakowa. – Ludzie lubią takie rzeczy...

Nie słucham. Stoję. W głowie mi coś terkocze. Tyle kasy to jest problem.

– Ja wypłacam tylko do dwóch tysięcy dwustu osiemdziesięciu złotych. Musi pan do Warszawy jechać, panie Drwalu! Na Targową. Targowa dwadzieścia pięć, niech pan zapamięta. Tylko zdrapki niech pan nie zgubi!

Nie słucham. Wychodzę z kiosku jak na autopilocie.

Tylko jedno mam w głowie: boję się. Boję się, bo może będę musiał zacząć od nowa. A nie chcę.

Przechodzę koło kosza na śmieci przy przystanku autobusowym.

Wrzucam tam los.

Uciekam.

Bo każdy człowiek w pewnym momencie swojego życia staje przed lustrem i myśli: to, kurwa, wszystko było i jest bez sensu.

Pomyłka Boga.

Tyle że Boga nie ma.

\* \* \*

Siedzę na Orlenie.

Rozmasowuję nadgarstki.

Promieniujący ból sprawia, że do oczu napływają mi łzy. Jak po wyrwanym zębie. Tępy, pulsujący rytm. Biorę ibuprofen czterysta, popijam rozwodnioną kawą o smaku wody z mopa. Wejdzie za dwadzieścia minut. Może piętnaście, jak dobrze pójdzie.

Rysiek nawija:

– Wsiadły takie dwie. Lampucery straszliwe. Cycki na wierzchu, dupy na wierzchu, wargi obciążary. I jedna mówi do drugiej: „Wiesz, co mu napisałam? Wiesz? Lubię drogie auta i napakowanych facetów. Jeśli nie jesteś ricz, nie pisz do mnie. Lubię anal i spaceruj w blasku księżycy”.

– To zmyślone jest. Przecież nie można być aż tak głupim. – Boczek uśmiecha się poszarzałymi zębami.

– Można, można. – Rysiek macha lekceważąco ręką.

– Za dużo Internetu, Rysiu. Za dużo Internetu. W moich czasach nie było takich rzeczy, człowiek się bawił, nie mówię, że nie, i patrz, śladu żadnego po tym nie ma – mówi Boczek i jednym kłapnięciem szczęki połyka pół swego batona XXL.

Młazzcze.

– Daję słowo, ich cipy otwierają się tylko na duże pliki. Tak naprawdę to one nie cierpią mężczyzn. Wcześniej ten typ widywałem głównie w burdelach i strip clubach. Teraz jest już wszędzie – odpowiada Rysio. – A ty co powiesz, Drwalu?

– Kobita ma prawo umawiać się tylko z facetami powyżej metra osiemdziesięciu i z pałą jak półlitrowa butelka pepsi – mówię.

Gdzieś przejeżdża karetka na sygnale.

– Eee, pierdolicie, Hipolicie. – Boczek macha ręką.

– Kobiety mają prawo wybierać mężczyzn po grubości portfela. Mężczyźni po jakości ich cycków. Problem polega na tym, że nie podobają się im konsekwencje tych decyzji – dodaję.

Mój telefon wibruje.

SMS.

Pogadać musimy.

Kiedy i gdzie?

– Co? – pyta Rysiek.

– Męski sukces zależy od zapewnienia sobie statusu. A kobiecy od zapewnienia sobie wyglądu. Mało znasz gości, którzy wybrali sobie kogoś na żonę dlatego, że ma fajne cycki, które tak fajnie się trzęsą podczas pozycji na jeźdźca, albo niesamowitą dupę, w którą można klepać na pieska? – pytam.

– No, znam – przyznaje Rysiek.



– To czego nie rozumiesz? Kobiety odpowiadają na potrzeby rynku. Tyle że szybko z niego wypadają. Dwadzieścia pięć lat ma się raz w życiu, o czym zaświadczyć może ten, no...

– Leonardo di Caprio – kończy Boczek.

– Właśnie. Leonardo – mówię.

– Drwalu, a ta twoja Alicja do jakiej grupy się zalicza, co? – Boczek krzywi się teatralnie. – Duże cyce? Wielkie pyty? Czy może spora kasa? Nie wmówisz mi, że ona taka romantyczna jest i wszystko dla miłości robi.

– Żadna moja – ucinam. – Alicja to zła kobieta jest. Niebezpieczna suka. Ale dla mnie jest dobra, ze względu na stare czasy. To się nazywa podwórkowa lojalność, znasz takie słowa, Boczek? LO-JAL-NOŚĆ. Duma. Charakter.

– Znam – szczyrzy się Boczek. – Znam i nie wierzę.

Ciągle boli. Idę za stacją. Przypalam jointa skręconego ze zdobycznego zapasu. Biorę kilka szybkich buchów.

Zioło od Fajfusa jest OK. Co najmniej tak samo dobre jak to moje.

Znowu SMS.

Dzisiaj o 19? Tam gdzie zwykle.

Odpisuję:

Ok.

I pstrykam na pół wypalonym packiem w krzaki.

\* \* \*

Jadę na parking przy cmentarzu garnizonowym. Dobre miejsce na spotkania. Dobre, bo straszne zadupie, mało kiedy ktokolwiek tu w ogóle przychodzi. Jeśli już, to pierwszego listopada.

Obok są tory kolejowe. Zostawiam samochód na betonowych płytach.

Zielony opel Rafixa już tu jest. Rafał, ksywa Rafix, siedzi na ławce, tuż obok szarego muru, który otacza cmentarz.

Znamy się z drużyny. Obrotowy. Odpadł przede mną. Był trochę za niski i trochę za wolny. Ale dobrze mi podawał. Coś tam studiował, tyle że brakowało mu adrenaliny, więc poszedł pracować do psiarni.

Nikt nie wie, że ze sobą ciągle gadamy. Ani mi by to chwały nie przyniosło, ani jemu. Nie ma na sobie munduru. Jest zgolony na łyso. Wygląda na pięćdziesiąt kilka lat, starzej o dychę, niż ma w rzeczywistości.

Po grubej twarzy bulteriera płyną mu krople potu. W rękę trzyma litrową butelkę coli.

Przybijamy piątki. Nie jak bandyta z psem, tylko jak kumpel z kumplem.

– Co się dzieje? – pytam.

– Daj piątkę – sapie. – Imprezę w weekend mam. A pić już nie mogę. Cały następny dzień jest zjebany.

Idę do samochodu, wyciągam ziolo ze skrytki w bocznych drzwiach. Odliczam pięć gramów, szósty dorzucam gratis.

Nie liczy.

– Dzięki – mówi, chowając towar. – Ale nie o tym.

Nie reaguję. Rafix, niczym stara jaszczurka, wystawia twarz ku słońcu. Na łysej czaszce, przypominającej spaloną cegłę, pojawiają mu się zmarszczki.

– Co ty odpierdalasz, Drwalu? – pyta w końcu. – Miałeś się w oczy nie rzucać, nie? Tak sobie rozmawialiśmy? Czy nie?

Miałem.

Dwa lata temu Rafix wyjaśnił mi krótko, że drobnych handlarzy, co to po parę gramów dziennie obracają, to psiarni nie chce się nawet ścigać. Dla nich to tak, jakby ktoś piwem handlował.

Liczą się grubsze tematy. Koks. Amfa.

Miałem się tylko trzymać z daleka od hurtu, nie robić nic głupiego i dzięki temu dożyć w dealerskim fachu może nawet i siedemdziesiątki.

– Co to za głupia pizda, ta, która cię nagrała? – wzdycha Rafix i bierze kolejny łyk coli.

– Pasażerka. Nie znam.

– To po chuj jej dawałeś towar?

Dobre pytanie.

– Nie wiem. Magia chwili.

– Gdyby ci pięto oporządziła, to nie byłoby problemu. A tak, zebrało ci się na prezenty.

W oczach pojawia się mu coś jak cień uśmiechu.

– Chłopaki na komendzie bekę z tego mają – dodaje. – Ale piętro wyżej nie są już tacy dowcipni. – Spluwa na ziemię. – Leci polecenie służbowe, że mamy cię przetrzepać. Tak profilaktycznie. Na wszelki wypadek. Że nikt tutaj nie siedzi beczynnie, obserwując, jak na naszych oczach ktoś młodzież deprawuje. Rozumiesz?

– Tak – mówię krótko.

– To dobrze. To wbij sobie do łba. Nie jeździj teraz z towarem. Zbastuj. Ktoś cię może zatrzyma, ktoś cię może przeszuka, ale gównu z tego będzie. A najlepiej, kurwa, na urlop jedź. Zgiń wszystkim z oczu. Za dwa miesiące nikt nie będzie o tym pamiętał. Rozumiesz?

Kiwam głową.

– A jak wrócisz, to koniec z tym średniowieczem. Tego się już nie robi w ten sposób. Czasy się zmieniły. Pershing i Nikoś dawno już głębę gryzą. Nie możesz się widywać z klientami. Kupisz sobie smartfon...

– A po chuj mi smartfon? – jeżę się.

– Po chuj to rybak w wodzie stoi. Nie kłap dziobem, tylko słuchaj mądrzejszych – syczy Rafix. – Założysz grupę dla klientów na Telegramie.

– A co to jest...

– Ty mówisz czy ja mówię?

Milczę.

– Komunikator taki – dodaje pojednawczo. – Dla nas nie do złamania. Robisz tam tajną grupę dla klientów. Płacą ci z góry, kryptowalutami...

– Czym???

– Kryptowalutami. W Internecie sobie wygoogluj – niecierpliwi się. – Ufasz Alicji?

Czy ja jej ufam?

– Tak.

– To przestań. Oszuka cię. To suka szatana. I kurwa. Nie przeczę, ma do ciebie słabość, ale jak przyjdzie co do czego, to cię sprzeda. Znajdź inne źródło. – Wrzuca coś do pobliskiego śmietnika. – Nie powinienem pić tego gówna – skwierczy. – Za dużo cukru, tylko tyję od tego, już wyglądam jak świnia.

– Zawsze wyglądałeś jak świnia, tylko teraz jesteś grubszy.

– Zazdrościsz, co? – Uśmiecha się zjadliwie. – Dupeczkom zawsze się to podobało. Kto nie ma brzucha, ten...

– Znam.

– A „kto z rana patelnie machnie, temu broda później pachnie”?

– Tego nie.

– Widzisz? Cały czas uczę cię czegoś nowego! Klientom wysyłasz pinezkę z lokalizacją, gdzie jest towar. Musisz sobie przygotować kilka takich miejsc. Jakaś dziura w drzewie. Jakiś kamień w parku. Tego typu rzeczy. I co powiesz?

– Niegłupie – przyznaję po namyśle.

– Wiem. – Rafix uśmiecha się triumfalnie. – Ryzyko jest minimalne. Dla klienta też. Bo jak go złapią przy grzebaniu w ziemi, to powie, że znalazł. I nikt mu nic nie udowodni.

Rafix z trudem wstaje z ławki.

– Muszę spadać. Obiecałem swojej, że ją wezmę na kolację. Z winem. I na spacer.

– A co ty się taki romantyczny zrobiłeś?

– Powiedziała mi, że jak ma ryzykować wysunięcie dysku, wypinając dupę, to liczy na naprawę miły wieczór. Choć szczerze mówiąc, to mam nadzieję, że pociągnie mi dzisiaj smoczka...

– Głębokości – mówię.

Przybijamy piątki.

– Aaa, ziom...

Rafix się odwraca.

– Taaa?

– Dzięki – mówię.

– No problemo. Po starej znajomości. Zapamiętaj jednak: jak cię teraz złapią z towarem... – Marszczy brwi. – To zrobią z ciebie Pabla Escobara z Kombinatu.

\* \* \*

Jest dwudziesta. Upał dalej wściekle atakuje miasto. Powietrze przypomina gorącą watę cukrową. Zalepia wszystko.

Patrzę na termometr w mieszkaniu. Trzydzieści pięć stopni. Na Sardynii ponoć czterdzieści osiem. A w Morzu Śródziemnym trzydzieści. Globalne, w ciepe, ocieplenie.

Wychodzę na dach, kładę się na leżaku. I co ja mam teraz robić, jak tylko sprzedawać potrafię???

Biorę lorafen.

Biorę, choć nie powinienem. Lorafen źle działa na głowę, ale coś zrobić, skoro tak pięknie uspokaja. Poza tym, jeśli chodzi o leki, lubię różnorodność. Nalewam sobie ginu, uzupełniam tonikiem, wodą gazowaną, miętą i cytryną. Elegancko.

Nie powinienem.

Nie powinienem mieszać lorafenu z alko. Ale tak dobrze się po nim śpi.

Biorę konkretny łyk.

I puszczam sobie trochę starego hip-hopu z płyt CD. Nie żebym uważał, że polski rap skończył się na Pezecie, ale jakoś te nowe kawałki o tym, co masz i ile wprowadzasz w nos, nie działają mi na wyobraźnię. Widać, że to z guana i trytytek robione. A cały trud nakręcenia teledysku polega na tym, aby przekonać alfonsa, żeby wszystkie panie z agencji na raz wypuścił. Zresztą najlepiej to brzmi przy całkowitym wyciszeniu i zgaszonym ekranie.

Patrzę tępo w przestrzeń.

To co? Może dzisiaj?

Taki piękny wieczór na umieranie. Tak pięknie zachodzi słońce.

Jeszcze łyk.

Cały problem, że głowa mi mówi: jesteś skończony. Umrzyj, umrzyj, umrzyj. Nie będziesz już musiał o nic się martwić.

Po prostu sypię się jak kombajn z PGR-u.

Telefon.

Ożeż kurwa.

SMS.

Znowu ona.

Co robisz?

Co robię?

Odpisuję.

Rozważam plusy i minusy skoku z wieżowca.

Tak, to jest dobra i precyzyjna odpowiedź.

Znowu sygnał nadchodzącej wiadomości.

Czy wspominałam, że jesteś bardzo zabawną osobą, Drwalu?

Odpisuję.

Jakoś mało kto to docenia.

Odpowiedź:

Drineczka?

Czy ja powinienem utrzymywać kontakty z tą kobietą? Która na dodatek jest zajęta? I jej facet może nagle objawić się tutaj niczym zorza polarna?

Po co mi jakieś wrzaski i wyzwiska?

A przede wszystkim, czy ja w ogóle jej chcę? Jesteśmy dorosłymi ludźmi, wiadomo, po co się odzywa.

A ja nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio uprawiałem seks.

Chyba rok temu. To była pielęgniarka. Na plaży, nad Wisłą. Lubię pielęgniarki. Sympatyczne, otwarte, ciepłe dziewczyny. Zazwyczaj pełne współczucia i chęci zapomnienia.

Wzięliśmy ze sobą butelkę taniego wina i połówkę arbuza. Siadła na mnie w krótkiej sukience. Miała gorące uda. Wklepała mi w komórkę swój numer telefonu, ale nigdy do niej nie oddzwoniłem.

Ona potrzebowała zupełnie innego mężczyzny. Takiego, który da jej SUV-a.

Nie wiem, czy powinienem.

W sumie to nie kumam, skąd to zamieszanie wokół pieprzenia. Kilka ruchów dupą, pół godziny stękania. A wszyscy się napalają, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie.

Ona pisze:

Na tym polega życie, żeby się wybić z rutyny, żeby kogoś poznać, pogadać, zjeść coś dobrego, a jak dobrze pójdzie, to mieć i dobry seks do tego. Gdzie mieszkasz?

W piekle. Mieszkam w piekle. Telefon mnie parzy.

Podaję adres.

Zaraz będę.

\* \* \*

To zaraz trwało jakieś dwa drinki. Kończę przyrządzanie trzeciego. Tede zaciąga:

*W tym składzie niejedną raz kaput*

*Remix, wóda, cola, lód*

*Z koncertu kierunek hotel*

*Najebani, replay potem*

*Korytarz ktoś rozjechał gablotę*

*Głupotę plotę, hotel wali haszem  
Całe trzecie piętro nasze<sup>11</sup>.  
Telefon dzwoni. Ściszam muzykę.*

– Gdzie jesteś?

W sumie to w dupie.

– Na dachu – mówię. – Otwórz te drzwi z metalowych prętów i idź po schodach w górę. W kierunku słońca.

Chowam telefon do kieszeni. Nie czuję się pijany. Co najwyżej senny.

Kamila na górze pojawia się po mniej więcej trzech minutach. Zaciekawiona, rozgląda się dookoła. Krótka kiecka bardzo ładnie podkreśla jej uda. Ma na nosie ciemne okulary. W rękę butelkę wina.

Leżę wygodnie rozparty na leżaku. Całuje mnie w policzek. Ładnie pachnie, jakby gorzką pomarańczą. Nie wiem, co to za perfumy.

Podchodzi do turystycznej lodówki, wkłada wino i bez pytania wyjmuje sobie kubek z lodem, po czym zalewa lód czystym ginem. Pogłasniam muzykę, bierze sobie drugi leżak i ustawia go tak, aby oglądać zachód słońca.

Stukamy się kubkami.

– Wszystkie swoje dupy wyciągasz na takie nudziarstwa czy to ja mam pecha być pierwsza? – pyta.

– Jesteś pierwsza. I nie jesteś moją dupą. Cytryny do tego ginu?

– Jasne.

Podstawia mi kubek. Wyciskam do niego połówkę cytryny. Po czym rzucam ją daleko przed siebie.

Cytrynę rzecz jasna.

\* \* \*

– Czy twój facet nie interesuje się, gdzie wychodzisz wieczorami?

– Czekam, aż się zorientuje, że mnie nie ma w domu. I strasznie mnie denerwuje to czekanie, mówię ci. – Kamila spogląda na mnie z ukosa. Leżak żałośnie skrzypi. – Na zaręczyny on musi być gotowy. ON musi być gotowy, żeby ze mną zamieszkać. Ale to MY musimy poczekać. Na ślub też musi być



gotowy. Na dziecko to ON musi być gotowy, chociaż to JA je mam urodzić. Każda ważna decyzja wiąże się z jego gotowością. Wiesz, ile razy przeciętna kobieta musi klęknąć, aby on się zdecydował klęknąć raz?! No ja pierdołę. Emocjonalne dupotrzasy. – Kamila brzmi, jakby wyładowały się jej baterie. – To wszystko nie ma sensu – mówi w końcu zrezygnowana.

– Co?

– Życie.

– Ależ oczywiście, że nie ma sensu – przyznaję. – A czego byś chciała?

Na chwilę kładzie dłoń na mojej ręce.

– Wiesz, czasami leżę w łóżku i myślę, jak by to było, kiedy wyszłabym za niego za mąż – mówi. – Byłabym w białej sukience, w typie księżniczki albo bezy. Mój ojciec odprowadziłby mnie do ołtarza, a później upił się z braćmi. Później mieszkalibyśmy razem. Mieli dziecko. Dziewczynkę, Sarę. Albo Sonię. Zmieniali jej pieluchy. Patrzyli, jak rośnie. Później drugie dziecko, chłopca, Stasia, żeby różnica wieku między nimi nie była zbyt duża.

– Naprawdę? – pytam, unosząc głowę z leżaka.

– On uczyłby nasze dzieci pływać i jeździć na rowerze – mówi rozmarzonym głosem. – Byśmy jeździli na wczasy do Turcji czy tam Grecji. I dawalibyśmy sobie radę dzięki darmowym drinkom w wersji *all-inclusive*. Nie chce mi się wstawać. Należesz?

Przechyłam się, wyjmuję butelkę i leję jej gin. Nie żałuję.

Uśmiecha się do mnie w podziękowaniu.

– Patrzyłabym, jak Marcel zaczyna się starzeć, wypadają mu włosy i robi mu się brzuch – mówi. – Obserwowałabym, jak wiotczeje mi skóra i w ogóle nie mam już takiego fajnego tyłka, który mężczyznom tak bardzo się kiedyś podobał. Później dzieci wyprowadziłyby się z domu. I zostalibyśmy sami. I to byłby ten moment, kiedy byśmy zaczęli chorować. Chyba że wcześniej byśmy się rozwiedli. Bo już byśmy nie mogli wytrzymać razem. I tak się zastanawiam, po co mi to wszystko, kiedy wiem, jak to się skończy?

Marzenia z bloków z wielkiej płyty.

– Życie jest nudne, po prostu. – Wzruszam ramionami. – Choć moja matka, jak jej mówiłem, że się nudzę, to odpowiadała: „Nudzisz się, bo jesteś nudny”. I zaraz dodawała: „Jak się nudzisz, to się rozbierz i popilnuj ciuchów”.

Kamila się uśmiecha.

– Moja mówiła: „To posprzątaj pokój”.

– Szkoda, że nie mówiły, że tak już będzie. Ludzie kilka razy upijają się w swoim towarzystwie, później idą do łóżka i na tej podstawie oceniają swoją przydatność do odkurzania, zmywania naczyń i odprowadzania dziecka do przedszkola.

– Jak bierze na pieska, to z pewnością chętniej odkurza. – Kamila robi zęza. Nawet się uśmiecham.

– A później, aby uciec od tej rutyny, robią różne rzeczy – mówię. – Biorą narkotyki, piją alkohol, chodzą do burdeli, grają na rulecie i w karty. Zdradzają się nawzajem. Wymieniają kobietę na nową, to ma coś zmienić, i przez chwilę jest inaczej, ale później znowu tak samo. Zmieniają towarzystwo na nowe, podróżują, tak żeby był nowy widok z okna, nowe żarcie i inna pogoda.

– To co będzie dalej?

– Będzie okay.

– Serio?

– Nie. Będziesz samotna, niezależnie od tego, czy z facetem czy bez. Będziesz widziała w lustrze, jak zmienia się twoje ciało. Po pięćdziesiątce mężczyźni przestaną cię dostrzegać. I wtedy staniesz się wolna.

– Wow. To dopiero było smętne. Nie nadajesz się na doradcę małżeńskiego – prycha.

– Nigdy nie chciałem być żonaty. – Nalewam sobie ginu do kubka. – Naprawdę dasz dziecku na imię Staś? – pytam.

– Myślę o tym.

– Strasznie ciapowato.

– A ty jak byś wolał? Ragnar?

Wzruszam ramionami.

– Ragnar brzmi całkiem nieźle. To śląskie? – pytam. – I dlaczego łkasz??

\* \* \*

Kamila tańczy na dachu w rytm starej piosenki Jennifer Lopez, którą puszcza ze swojego telefonu.

*Don't be fooled by the rocks that I got,  
I'm still, I'm still Jenny from the block,  
Used to have a little, now I have a lot,  
No matter where I go,  
I know where I came from<sup>12</sup>.*

Ma małe cycki, ale faktycznie absolutnie rewelacyjny tyłek, którym rusza tak, jakby w jej żyłach pulsowała kubańska krew. Cała drga. Wprowadza niepokój w krajobraz.

Czuję, jak przenika mnie bas. Lekko kręci mi się w głowie. Latem wszystko jest złociste. Skóra kobiety obok też.

Idę do krawędzi dachu i zaczynam z niego lać. Prosto na miasto. Prosto na trawnik. Prosto na Kombinat.

Mam czterdzieści cztery lata, nie czeka mnie już nic. Czuję zmęczenie, które we mnie narasta.

Na początku możesz pić, dmuchać, wąchać, zreć i się bawić. Jak przestajesz wąchać i palić, to zaraz kończy się zabawa.

Jak przestajesz się bawić, to kończą się kobiety.

Później nie możesz już pić.

Następnie wapnieją ci żyły i nie możesz nawet zreć.

Kiedy miałem dwadzieścia pięć lat, żyłem na dwieście pięćdziesiąt procent. Teraz może na piętnaście.

Robię jeszcze pół kroku do krawędzi dachu.

Stoję już przy samym brzegu.

Ile to metrów?

Wystarczająco.

Na dole jest betonowy plac przed śmietnikiem.

To dobre wyjście.

Koniec problemów.

Koniec taksówki.

Koniec handlowania.

Koniec bólu.

I przede wszystkim koniec tej potwornej, kurewskiej nudy.

Jak to było? To mały krok człowieka? I później tylko lot. Przez dziesięć pięt. Nie będzie nawet bolało. Tylko trzeba trafić w beton.

Robię krok. Teraz już tylko wystarczy pochylić się do przodu.

To co? Na trzy.

Raz.

Dwa.

...

Czuję, jak Kamila przesuwają dłoń po moim brzuchu, wywołując dreszcz na plecach.

Cofam jej rękę.

– Bądź grzeczną dziewczynką – mówię.

– Gdybym była grzeczną dziewczynką, to już by mnie tu nie było – uśmiecha się.

Czuję jej rozgrzane ciało na swoim.

A po chwili jej usta na moich. Zupełnie mnie to zaskakuje.

Jej usta są słodko-gorzkie od toniku. Kwaśne od cytryny. Miękkie tą specjalną jędrnością skóry, którą mają młode dziewczyny.

Powinienem być chyba oszalały od pocałunków z dwudziestokilkulatką. Zamiast tego myślę tylko: po co mi to? Okay. Hydraulika działa. Jeszcze.

Łapię ją za włosy. Tak wypada.

Gryzie mnie w usta. Tak wypada.

Kiedy schodzimy do mieszkania, patrzę jeszcze raz w przestrzeń. Chyba nadciąga burza.

\* \* \*

– Chodzisz jak kot. Stary, ale kot. Podoba mi się, jak przestępujesz z nogi na nogę.

Idziemy na dół.

Kobieta, z którą jestem w pomieszczeniu, patrzy na stare piłki do ręcznej, leżące w kącie. Są na nich podpisy chłopaków z drużyny. Chyba jest tam nawet Rafix.

– Tęsknisz za tym? – Wskazuje. – Co tak patrzysz? Nie chcesz, to nie mów.

– Już nie – mówię w końcu. – Kiedyś tak. Pewnie powinienem je wyrzucić.

– To ile ty masz właściwie lat?

– Czterdzieści cztery – burczę.

– Zaskakujące. Jesteś jeszcze ciepły.

Jej dłoń jest w moich spodenkach.

– Nic z tego nie będzie – mówi. Widząc wyraz mojej twarzy, dodaje: – Serio, serio.

– Dlaczego? – pytam nagle, zdziwiony.

– Coś tak wielkiego się we mnie nie zmieści.

– Bardzo zabawne.

Rozpina mi spodnie, a później po prostu klęka. Wysuwa język i wodzi jego czubkiem po moim ptaku.

Więc co mam robić?

Biorę ją na ręce i niosę do łóżka. Szepcze mi jakieś miłosne obelgi prosto do ucha.

– Chcę cię ujeżdżać jak byka. Jak dzikiego, wściekłego byka – dyszy z otwartymi ustami. – Lubię takich bezczelnych facetów, którzy biorą sobie, co chcą, bez pytania.

Aby sprawić jej odrobinę przyjemności, pracuję trochę językiem.

Nie wiem dlaczego, ale młodzi tego nie potrafią. Może – tak jak mówiła Kamila – chodzi o to, że oglądają za dużo porno, gdzie cała akcja startuje zazwyczaj od przyciągnięcia do drąga i na tym się właściwie kończy.

Od razu się odpala. Staje na czworakach i się wypina. Twarz ma w poduszce. Więc robię to, co powinienem zrobić. Szał pał, świst pizd.

Jestem pijany. Jestem naładowany.

Trzymam ją mocno. Wchodzę w nią tak głęboko, jak tylko potrafię.

Powoli.

Bardzo powoli.

A później coraz szybciej.

Rozgrzała się dla mnie.

Zwilgotniała.

\* \* \*

Leżę za nią. Od czasu do czasu odwraca głowę i gryzie moje wargi. Moja dłoń sunie leniwie po jej biodrach. I wyżej. Po piersiach.

– Masz za duże dłonie do moich cycków. Muszę sobie kiedyś zrobić większe.

– Ktoś się skarżył?

– Nie. Ale kobiety zawsze są niezadowolone ze swojego wyglądu.

Wstaję i idę do łazienki. Przynoszę Kamili kieliszek wina, sam potrzebuję czegoś mocniejszego. Leję sobie jeszcze czystego ginu, dodaję lodu i miętę. Zanim wracam do sypialni, sięgam jeszcze na półkę po swój słoik szahida i losuję z niego coś na chybił trafił.

Wyjmuję wielką, białą pigułę, w której poznaję Polstram Combo Forte, czyli mieszankę paracetamolu i tramadolu, zwanego trampkiem.

Dokładnie rozgryzam tabletkę i od razu popijam drinkiem.

Ekstraklasa. Moja brama do łagodnego, stłumionego świata, gdzie wszystko jest w pastelowych barwach.

– Co żrzesz?

– Chcesz? – Podtykam jej słoik.

Wyciąga bladoniebieską tabletkę.

– Co to?

– Xanax. Jeden miligram. Dobry wybór, dobrze klepie – chwałę. – Uwalnia dopaminę, będziesz po tym bardziej wyluzowana. Nie powinno się tego łączyć

z alkoholem, ale cóż. Jak to mawiają: moje życie, moja sprawa, jest ryzyko, jest zabawa.

Kamila uśmiecha się i łyka.

Wracamy do łóżka. I liżę ją jeszcze raz.

Tak że zaciska mi uda na głowie.

\* \* \*

Kamila siada na moich biodrach i poprawia włosy. Jej piersi bezczelnie sterczą. Sutki są twarde.

– Wiesz, że jesteś pierwszym facetem, z którym miałam orgazm?

– Naprawdę? – autentycznie się dziwię. – Przecież masz dwadzieścia pięć lat.

– Dwadzieścia cztery – prostuje oburzona. – Może się za bardzo spieszyli. – Wzrusza ramionami. – Poza tym pingwinek jest lepszy. Moje ciało strajkuje i nie umiem się podniecić tak jak kiedyś. Jest mi głupio, że Marcel robi to samo co kiedyś, a na mnie już nie działa. I wpadam w błędne koło, bo przed seksem bawię się sama, żeby potem nie było mi głupio, że nie jestem wilgotna.

Łapie mnie za fiuta i wkłada go sobie do środka. Nie protestuję.

– Ach, ech! – jęczy Kamila i uśmiecha się złowieszczo. – Kobiety grają teatrzyk, żeby facet nie był rozczarowany. Dobrze się wypięłam, kotku? Trafisz? Trafisz? Okay, super, super, jak dobrze! On pyta: „Miałaś orgazm?”. „Nie, ale się nie przejmuj. Jest wszystko okay. Sama się pobawię”. To jest przecież straszne.

– Tutaj tajemnicy specjalnej nie ma. Biorąc kutasa, bierzesz całego mężczyznę, za wiele więcej tu już zazwyczaj nie znajdziesz...

Kamila porusza kilka razy biodrami i bezczelnie patrzy mi w oczy.

Dość tego głupiego gadania. Zatykam jej dłonią usta. Gryzie mi palec. Małpa. Więc po prostu rzucam ją na brzuch. Jest ładna, jest namiętna, jest gotowa, a ja czuję tylko znużenie.

Techniczny seks. Trzymając ją za biodra. Dając klapsy, tak że cały tyłek ma czerwony. Wyjmuję chyba w ostatniej chwili. I tryskam jej na plecy.

A później leżę. A ona szepcze mi do ucha:

– Lubię, jak jesteś taki groźny. Nieprzewidywalny. Dziki.

Chcesz zdobyć kobietę? Daj jej do zrozumienia, że cię naprawi.

Tylko ja go rozumiem.

Tylko ja go odkryję.

Całuję ją delikatnie w plecy. W brzuch. A później w usta, aż po granice omdlenia.

W pewnym momencie Kamila się odsuwa i patrzy na mnie badawczo.

– Drwału, nie oszukuj mnie – mówi.

– Nie podoba ci się? – pytam.

– Podoba. Na tym polega problem. Zakocham się jak kretynka, a później będzie tylko bolało. Po co mi to?

### **Czas do śmierci: 3 dni**

Otwieram oczy. Rozglądam się. Jestem sam w pogniecionej pościeli. Nagi. Na środku prześcieradła wielka, mokra plama.

Kamila chyba poszła. Mam nadzieję.

Kiedyś potrafiłem zużyć siedem gum w ciągu jednej nocy i jeszcze nie mieć dosyć. A teraz? Posiwiiał buldog z męskim klimakterium.

Trochę seksu i wszystko mnie boli. Biodra, kutas, gardło, tyłek, chyba nawet wątroba.

Z trudem siadam na łóżku. Otwieram szufladę i grzebię wśród opakowań z lekami. Kofeina na przebudzenie. Hydroksyzyna na uspokojenie. Ibuprofen przeciwbólowo i przeciwzapaleniowo. Popijam wodą. Niegazowaną, tak zdrowiej. Jak dobrze pójdzie, to za kwadrans nie będę czuł nic.

Idealnie obojętny.

Wstaję, czkam. Idę do łazienki. Mijam kuchnię i zawracam. Kuchnia wygląda jakoś inaczej. Lśni. Ostatni raz w takim stanie widziałem ją ze dwa



lata temu.

Kamila stoi w gumowych rękawiczkach. Ma na sobie mój T-shirt, który sięga jej więcej niż do połowy uda. W dłoniach trzyma środek do czyszczenia kuchenki.

Na uszach słuchawki.

Na mój widok puka się w ucho.

– Co robisz? – pytam zdumiony.

– Sprzątam – burczy. – Ale masz tutaj syf – ocenia krytycznie. – Ty też powinieneś to zrobić. I zaczniesz od wymiany pościeli. Bo ostatnio robiłeś to najmarniej dwa miesiące temu. Oczywiście, jeśli mam się kiedykolwiek jeszcze położyć w twoim łóżku. A swoją drogą, czy ty masz jakieś czyste ręczniki?

– Mam.

– Aha. Gdzie?

– W pralce – mówię ostrożnie.

– A masz jakiś żel do mycia inny niż WD-40 albo to, co używasz do mycia dupy i samochodu?

– Zobacz za proszkami – burczę.

Wycofuję się zdumiony do łazienki.

Dobra, jest sympatyczna – myślę. – Sympatyczna, ale pojebana.

Sygnalizator w mojej głowie zapala się na czerwono. Tego dnia do pracy wychodzę wyjątkowo wcześniej.

\* \* \*

Wrzucam w odtwarzacz płytę CD, leci Kaliber 44.

*Normalnie o tej porze – wożę się po mieście*

*Normalnie o tej porze – raz lepiej, raz gorzej*

*Zazwyczaj – jak żaba skaczą z miejsca na miejsce*

*Dzisiaj to nie przejdzie – do domu wrócę wcześniej*

*Wczoraj...*

*Przy fajce i butelce, po którą...*

*Trzeba stać w kolejce*

*Było więcej kobiet – wszystkie były piękne<sup>13</sup>*

Numer każdej złotowy. Sprawdzam na okładce, kiedy to wydali. Rok dwutysięczny. Ja pierdolę. A wydaje się, jakby wczoraj. Starość nadchodzi, kiedy już nie rozumiesz świata, który cię otacza. Starość nadchodzi, kiedy już nie potrafisz kochać.

Jadę do Maca na śniadanie. Biorę kanapkę z jajkiem i bekonem, ale jem połowę. Resztę wywalam do śmieci.

Mam w głowie mętlik.

Nienawidzę Kombinat.

Nienawidzę tych ulic.

Nie wiem, co mi sprawia przyjemność. Zapomniałem.

Gdybym tę zdrapkę zgarnął dziesięć lat temu. Chociaż pięć. Można by było wszystko zmienić. Nie wiem, zacząć od nowa. Przeprowadzić się gdzieś, gdzie jest ciepło przez cały rok. Do Hiszpanii. Albo na jakiś Cypr.

Nawet w sklepie z bakłażanami pracować. Towar rozładowywać. Albo zostać, nie wiem, kierowcą ciężarówki? Ktoś to musi przecież robić, nie?

A teraz nawet nie mogę handlować. Głupi błąd. Po co ci to było, kretynie? No po co??? Dobrze, że chociaż Alicja to zrozumie. To kobieta interesu. Pomoże.

I jeszcze ta małolata. Po co ją przetrząnąłeś, dumny menelu?

Teraz siedzi w twoim mieszkaniu.

W twojej koszulce.

Szuka kosmetyków po twoich byłych.

I nie wiesz, co ona tam roi sobie we łbie. Ale na pewno nic dobrego.

Piję kawę i wsiadam w samochód.

\* \* \*

Tych dwóch od razu mi nie pasuje. Zbieram ich spod klatki na Słodkich. Niechętnie. Nie wiem, czy mówiłem; jak nie, to mówię teraz. Słodkie to najgorsza dzielnica Kombinat.

Kiedys była bardzo modna taka piosenka o dziewczynie, która miała spojrzeć na misia.

To tu, nawet jakby go miała, to ktoś go by zajeżał i przehandlował. Za spiryty, dragi albo coś do palenia.

Albowiem na Słodkich samochody rozpływają się jak w trójkacie bermudzki, czyli bez śladu. Był i nie ma. O każdej porze dnia i nocy dostaniesz białoruskie fajki z przemytu, zajazaj do wprowadzenia się w stan baśniowy oraz herę albo kryształ.

I dopiero jak ktoś zalicza kosę w plery albo brzuch, to znaczy, że impreza w sobotę była naprawdę udana.

Jak impreza?

*Trzy razy rzygałam, więc bardzo dobrze.*

Kurs ma być na drugą stronę rzeki. Dwa warchlaki w dresach adidasa. Jeden w ręku ma torbę, jakby wracał z treningu. Drugi czapkę i przeciwsłoneczne okulary.

Zarośnięte, przepite ryje, jak po trzydniowej imprezie bez snu. Podgolone karki. Podgolone boki. Jeden niski – jak dla mnie karłowaty i pokraczny. Drugi wysoki, z długimi łapskami.

Trzaskają drzwiami. Już mnie wkurwili. Przymykam oczy. I nagle ogarnia mnie przecucie, że coś jest w pytę nie w porządku. Chce przekreślić łeb w stronę lusterka, ale nagle rezygnuję.

Czuję, jak coś zimnego mnie dźga w głowę. Wiem, co to jest.

– Nie ruszasz się, cieciu – mówi ten wyższy. – Słuchasz i nie robisz nic głupiego.

Szturchnięcie lufą.

Kiwam powoli głową.

– Żadnych niepotrzebnych ruchów.

Znowu kiwam głową.

– To jedziesz, złotowo. – Głos tamtego brzmi jak tłuczone szkło.

– Zaskoczę was, ale taki właśnie miałem zamiar – mówię i powoli ruszam.

– Patrz, jaki, kurwa, dowcipny – mówi niski do wysokiego. – Przepuszczalbyś? Pod swój garaż jedź.

Drgam. Mimowolnie, ale drgam.

– Na Narodowych Sił Zbrojnych. Otworzysz sejf i dasz nam całą jego zawartość. Rozumiesz? – Głos jest teraz triumfalny. – Jedziemy! Już, już, pedału.

Czuję, jak zimna lufa znowu wbija mi się w głowę. Zaczyna się robić grubo – myślę. – Za grubo.

Te mongoły nie powinny w ogóle wiedzieć o garażu. Nie mówiąc o sejfie. Ktoś mnie tu wyruchał i sprzedał.

– Chcecie mi zmienić opony na zimowe? – pytam.

Niski się śmieje. Chyba on jest tutaj szefem.

– Faktycznie jest dowcipny – mówi do kumpla. – Jajczarz.

– Często to ostatnio słyszę – odpowiadam.

– A to znasz? – Jego głos skrzypi teraz jak stare drzwi. – Leży sobie biały facet na łóżku. Masuje go Tajka – zaczyna. – I w pewnym momencie ta Tajka mówi: „Wzwód jest normalny przy masażu tajskim”. „Nie mam wzvodu” – odpowiada ten biały koleś. „Ale ja mam” – mówi Tajka.

Karłowaty i wysoki zaczynają rechotać. Ich śmiech wypełnia samochód. Wysoki klepie dłonią o udo z tej radości. W lusterku widzę jego uśmiechnięty złośliwie ryj. Okrągła, chłopska morda. Ma wielkie, żółte zęby.

– Co się gapisz jak szpak w pizdę? – pyta niski i zapala papierosa. Kiedy czuję dym, ogarnia mnie nagle zimna wściekłość. Nikomu nie pozwalam na palenie w aucie.

– Tapicerka mi będzie śmierdzieć – mówię.

Widzi moje spojrzenie i złośliwie strzepuje popiół na gumowy dywanik.

Chcę go skopać. Chcę mu wykopać z niedomytej łapy tego szluga. Żeby pojął elementarne zasady kultury.

– Masz wpierdol – mówię spokojnie. – Obiecuję ci to.

– Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz – burczy karłowaty.

Im dłużej na niego patrzę, tym bardziej wydaje mi się znajomy.

– Czy ja ciebie znam? – pytam.

Niski wzrusza ramionami. Kręcę kierą. W mojej głowie przeskakują fiszki. Ten ryj mi się z kimś kojarzy.

– Wiem – mówię w końcu. – Ty jesteś młodszy brat Bigosa ze Słodkich.

Mężczyzna nagle podskakuje jak nakręcana zabawka.

Trafiłem.

– Stałem z Bigosem na bramce w Euforii – mówię. – Nie nadawał się do tej roboty. Lubił walić z partyzanta najebanych małolatów. Poprawiało mu to humor. Parę razy musieliśmy go sklepać, żeby się uspokoił – ciągnę.

Słabo go znałem, ale ludzie mówili, że Bigos leciał cały czas na soku. Miał od tego wielkie pryszczki na plerach. Ale generalnie anabole wprawiały go w jakiś dziwny, nerwowy nastrój.

Do Euforii zawsze przychodziło dużo licealistów i studentów. Chłopaki seryjnie dymały te małolaty, dla których numerek z bramkarzem to była atrakcja.

A Bigos nie mógł. Bo od tych wszystkich specyfików mu nie stawał. Więc się wkurwiał i bił kogo popadło. Dziewczyny też. Raz widziałem, jak ciągnął jakąś za włosy po podłodze. A tej goła dupa ze spodni wystawała.

Nie żeby bramkarze nie skleпали kogoś przez przypadek. To się zawsze zdarza. Ale nie ciągle.

– Później poszedł rozkładać zajumane samochody na części, nie? – pytam.

Karłowaty siedzi ze złośliwym lekkim półuśmiechem. Nie reaguje.

– Ale się rozjechał i wydał kolegów. Jebana sześciziona... – dodaję.

Wysoki dźga mnie lufą tak mocno, że nabija mi sińca na łbie.

– Zamknij mordę, mówiłem ci – syczy.

– Wymyśl sobie karę – mówię. – Bo tak ci zapierdołę, że przypomną ci się wody płodowe.

Nie odpowiada.

Ale odniósł pewien sukces wychowawczy, bo gadać faktycznie mi się odechciało. Zatrzymuję się przed garażem. Celowo stawiam tak, żeby auto

maksymalnie zasłaniało wejście. Wysoki celuje do mnie z kopyta z paskudnym wyrazem twarzy.

– Wychodź, kurwo. Tylko powoli. Powiesz jedno słowo, a cię zajebię – mówi.

– Jak to było? Nie strasz, nie strasz, bo się zersasz – cedzę.

Wychodzę. Faktycznie powoli. Lufa w plecach.

Stajemy przed brązowymi drzwiami garażu.

– Otwieraj – mówi karłowaty.

Kręcę głową.

– Mam ci pomóc?

– Tak. Poproszę – cedzę.

– Ruszaj dupę, bo ci nakopię!

– Mam dla ciebie zagadkę.

– Taaa???

– Wolałbyś wyruchać swoją matkę dwie godziny po śmierci czy tego cwela obok? – Pokazuję na wysokiego.

Niski ze znużoną miną strzela mi lepę na ryj. Prawie, prawie się uchylam. Przecina mi świeżo rozwaloną wargę. A już się zaczynała goić... Czuję, jak krew kapie mi na koszulkę. Tymczasem niski leje z siebie potok bluzgów.

– Kto cię obroni, przegrywie, cwelu bity? – syczy. – Piłkarzyno nieudolny! Parówo pierdolona...Ty... – ciągnie.

Nagle mruży oczy.

Widzę ruch. Omlet z lewej. Znowu się uchylam. Ale i tak dochodzi, tyle że nie na pełnej. Błysk. Ból. Mam potężną ochotę mu przypierdolić. Tak, żeby się zламаł. Czegoś takiego nie czułem od bardzo długiego czasu.

– Zaraz ci się skończy dzień dziecka. Otwieraj – żąda niski.

Stoi teraz kilka centymetrów ode mnie. Oddech ma ohydny. Cebula i jakby paprykarz szczeciński. Ocieram ręką krew z ust.

Musisz być mądry, Drwału. Musisz być mądry.

– Jasne, jasne. Już, już – mówię skwapliwie.

Udaję, że drżą mi ręce i że z trudem otwieram drzwi.

– Widzę, że już jesteś gotowy przyjąć kawał mięcha w czoko. Dobry piesek. – Niski klepie mnie po twarzy.

Wysoki, widząc to, znowu się śmieje.

– Sejf – szczeka.

Idę do sejfu. Nie patrzę w ich stronę, ale czuję ich spojrzenia. Otwieram sejf. Szeroko. Niezgrabnie strącam plik banknotów. Spada na beton. Pochylam się, żeby go podnieść. Karłowaty stoi z tyłu i obserwuje mnie z mieszanką rozbawienia i obrzydzenia.

– Przesuń się – szczeka.

Lekceważy mnie. To dobrze. Teraz trzy ruchy. Specjalnie na taką okazję. Prawa ręka idzie po plik pieniędzy. Lewą sięgam po teaser. Zalety rzucania piłką z obu rąk.

Jeden.

Prostuję się i uderzam tyłem głowy w twarz karłowatego. Precyzyjnym walnięciem wymierzonym prosto w sam środek nosa. Ma boleć. Coś chrupie, jakby ktoś wgrzyzał się właśnie w lody Magnum. Zjeb wyje, jakby ktoś mu zmiażdżył nos. To ja. Ja, nie chwaląc się, to zrobiłem. Zgina się wpół.

Dwa.

Z teasera lecą elektrody. Człowiek, który mi go sprzedawał, mówił, że w Polsce można kupić paralizator bez zezwolenia o natężeniu prądu do 10 mA. Ten jest przerobiony. Cztery koła gotówką, ale strzela na sześć metrów i kładzie każdego na glebę. Patrzę beznamiętnie, jak wysoki dres charczy, wijąc się na betonie. Wygląda, jakby wsadził dwa palce do kontaktu. Cóż, w sumie tak się właśnie stało.

Trzy.

Karłowaty podnosi głowę. Ma całą twarz we krwi. Krople kapią mu na zęby. Przytykam teaser do jego brzucha i naciskam na spust. Karłowaty wyje. I pada na podłogę. Kopię go dla pewności jeszcze w zębra. A później w brzuch.

Koniec sekwencji. Zaczynamy kolejną rundę.

Patrzę, jak leżą na podłodze. Obaj mają mokre plamy na spodniach. W sumie sprzedawca uprzedzał, że tak może być. Mam pięć minut, zanim zaczną

dochodzić do siebie. Biorę szmatę od polerowania samochodu i starannie wycieram sobie krwawiące usta.

Czuję, jak pizda puchnie mi pod okiem. Pół mordy mi pulsuje. Uśmiecham się. Krzywo. Teraz jestem zimny i metodyczny. Jak za starych czasów. Wiążę im nogi powertejpem. I ręce trytytkami.

Ze starych szmat z mikrofibry do czyszczenia auta robię im prowizoryczne kneble.

Patrzę na rezultat.

Obaj są skrępowani jak barany.

Wysoki jest ciągle nieprzytomny. Od czasu do czasu tylko podryguje jak ryba leżąca na kuchennym stole. Niski rozgląda się rozpaczliwie na boki. Widać, że się boi.

Podchodzę do niego i uderzam butem prosto w jego udo. To, co wydobywa się z jego ust, to stłumiony skrzek.

– Nikt, ale to nikt nie będzie mi palił w samochodzie. Rozumiesz?

Patrzę na niego.

Takim ludziom jak oni trzeba od razu wybić wszelkie głupie pomysły z głowy. Trzeba ich przerazić.

– Nie wstydz się, kim jesteś. Niech się wstydzą twoi rodzice.

Karłowaty usiłuje wypluć knebel.

– Dobrze, teraz mi powiesz, kto was tutaj przysłał – mówię.

Zaciska spocone pięści.

Kiwa głową.

Wyciągam mu szmatę z ust.

– My sami! – mówi szybko. – Chcieliśmy zarobić trochę kwitu!

Zbyt szybko. Kiwam głową rozczarowany. Uderzam w zakrwawioną twarz, żeby go spauzować. Jego głowa odskakuje na bok. Krople krwi przyskają na boki.

Wtykam mu z powrotem knebel.

Ze stołu biorę kombinerki. Chcę, żeby je dokładnie widział. Jego oczy się powiększają, tak że zaraz dojadą do grzywki. Proszę, proszę, działam jak



najlepszy chirurg plastyczny.

– Jesteś tak samo zabawny jak przystojny – mówię z zalem w głosie.

Biorę jego nadgarstek w uchwyt i metodycznie zaciskam kombinerki na najmniejszym palcu prawej dłoni. Ściskam mocno. Bezlitośnie. Jak kiedyś.

Dres zaczyna krzyczeć. Widzę to. Widzę, jak nagle napinają się mu żyły na szyi. Są grube jak kable. Widzę, jak jego język usiłuje wypchnąć knebel.

To trwa. Czuję jakby... przyjemność? Siłę. Musisz kogoś uderzyć. I uderzasz.

Przestaję ściskać. Łzy płyną mu po policzkach. A uważał się za takiego twardego skurwysyna, no proszę.

Co za fajfusowata generacja. Nic charakteru. Nic wytrzymałości.

– Odrobinę cię popieściłem – mówię. – Nie zrobiłem nic, czego nie da się wyleczyć w kilka tygodni. Ale zaraz zacisnę mocniej. Albo zacznę ci wbijać gwoździe pod paznokcie. Rozumiesz?

W szaleńczym tempie kiwa głową. Krew już nie sączy mu się z nosa. Zaczyna krzepnąć.

Wyciągam knebel.

Pytam.

– Zaczniemy od podstaw. Czy znacie leszcza z długimi włosami, który handluje i przedstawia się jako Czarek? Czarek Magik?

– Trochę – bąka karłowaty.

– Trochę. Skąd on się tu wziął?

– Nie wiem!!! Po prostu sprzedaje prochy, nie?

– Dobrze, wrócimy do tego. Co mieliście zrobić?

– Nic! – prawie krzyczy. Oddycha szybko. Chrapliwie.

– Co mieliście zrobić? – Patrzę na niego wzrokiem, który wydobędzie informacje.

Niskiemienny zaczyna rzygać, a później płakać.

– Ludzie mówią, że są w stanie wytrzymać każde tortury. To nieprawda. To zawsze jest kwestia czasu. Każdy się łamie. Jak mi nie powiesz, to najpierw

oderżnę ci chuja. A później – wskazuję głową w kierunku wyższego – dam tamtemu do zjedzenia. Rozumiesz?

Kiwa przerażony głową.

– To dobrze – odpowiadam łagodnie, jakbym rozmawiał z małym, rozkapryszonym dzieckiem. – Co mieliście zrobić?

– Zabrać ci wszystko i spuścić wpierdol. Zioło, leki, hajs. Wszystko, co znajdziemy. Garaż podpalić, jakby było zwarcie. Policja miała nic u ciebie nie znaleźć.

Patrzę mu w oczy. Spokojnie.

– Kto wam to zlecił?

Słucham. Notuję w pamięci, mimo że każde słowo wykręca mi żołądek. A pot spływa mi do butów. Karłowaty mówi. Sepleni. Płacze. Ale przekazuje wszystko.

Wierzę mu.

Wrzucam do sportowej torby swoje zioło, towar od fajfusa, ze trzydzieści koła w gotówce i resztę piguł, głównie hydroksyzynę. Wlokę ich jak dwa wory ziemniaków do bagażnika. Trzymając za nogi.

Aż stękam, wkładając ich do środka. Cuchną szczynami.

Poprawiam kopem w karłowatego.

I zamykam garaż.

Coś mi mówi, że już tutaj nie wrócę.

\* \* \*

Parkuję.

Wyrzucam ich z samochodu, zostawiając ich jako prezent pod bramą.

Skrzeczają.

Boją się.

Widzę to w ich oczach.

Sam idę na górę.

– Przystań się czaić, Drwalu. Wchodź. Przecież i tak nie zrobisz mi krzywdy.

Stoję pod drzwiami. Alicja właśnie szeroko je otwiera. Ma bardzo krótkie szorty. I białą bokserkę podkreślającą cycki.

Staje prosto. I się przeciąga.

Wygląda na zrelaksowaną.

Pokazuje mi ekran domofonu, na którym jest obraz z kamery przed jej drzwiami. I sprzed wejścia do kamienicy.

– Chcesz wina? – pyta.

Opieram się o framugę. Kręcę przecząco głową.

– Ja właśnie piję.

Bierze do ręki kieliszek wypełniony w jednej trzeciej czerwonym. Mieszkanie jest bardzo duże. Ma niemal czarną, drewnianą podłogę i dziwne deski na ścianach. To się chyba nazywa angielska tapeta. To najbardziej durne pytanie, jakie może zadać mężczyzna swojej eks. A zaczyna się od słowa „dlaczego”.

– Dlaczego? Dlaczego ich przysłałaś?

„Boi się. Po tym filmie na tym, no, taktoku. – Karłowaty przekreślił nazwę. – Boi się, że policja się do ciebie dobierze, a ty im ją wystawisz”.

Alicja się krzywi. Ma puste oczy. Jak meduza. Znam ją na tyle dobrze, że wiem, że zaczyna być rozdrażniona. Jak zawsze, kiedy coś idzie nie po jej myśli. I zła. A to nigdy dobrze nie wróży.

– Nie bądź dzieckiem, Drwalu. To tylko interesy. Nie mogę pozwolić, aby psy znalazły u ciebie mój towar. Dużo towaru. Owszem, nie tak to miało wyglądać, miałaś się nie dowiedzieć. Ale to wszystko tylko w trosce o ciebie. Rozumiesz, prawda? – Jej głos jest ciepły. Łagodny.

– Będziesz mi teraz tłumaczyć, jak działa życie?

Alicja wypija łyk wina i siada na wielkiej kanapie, zakładając nogę na nogę. Drzę. Gdzieś wewnątrz, widząc to, ciągle drzę.

– Kto ci powiedział, że trzymam towar właśnie tam? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– To bez znaczenia. Każdy sprzedaje ciebie, każdy sprzedaje mnie. Pytanie, za ile. Im wyższa cena, tym większe ryzyko. Choć, przyznaję, za ciebie

wystarczyły trzy tysiące. Myślałam, że trzeba będzie dać więcej. Ale ten grubas uważał, że właśnie zrobił interes życia.

Błysk. Ten złamany, gruby chuj.

– Boczek?

Alicja znów wzrusza ramionami.

– Zostawmy to – mówi. – Pamiętasz, jak byliśmy młodzi? – uśmiecha się. – Naprawdę myślałam, że coś między nami będzie.

Miałem puste kieszenie i głowę pełną marzeń. Byłem młodszy, więcej niż o połowę. Pamiętam, jak pierwszy raz położyłem dłoń na jej udzie w kinie. Nie cofnęła nogi. Wszystko było wtedy już jasne. Dalsza droga precyzyjnie określona. Pamiętam, jak staliśmy pod szkołą. Wszyscy wychodzili na miasto. Był kwiecień, słońce świeciło, ale wiało potwornie.

Stała w kiecce, która z trudem zasłaniała jej tyłek.

(Jak jesteś młody, nie masz nerek i nie jest ci zimno, możesz nawet kąpać się w Bałtyku).

Rzuciła okiem na swoje koleżanki.

A następnie mnie pocałowała, żeby pokazać, że należę do niej.

– Albo jesteś mój, albo niczyj – szepnęła.

Czasami chłopak poznaje dziewczynę. I wypełnia ich ciepłe powietrze. Coś jak balon. I nagle razem lecą ku górze.

A my cały czas tylko graliśmy kiepski melodramat.

– Podobałeś mi się wtedy do szaleństwa. Wypełniałam całe strony pamiętnika, pisząc: Drwalu, Drwalu, Drwalu, Drwalu – mówi.

Cisza.

– Naprawdę? – dziwię się. I dziwię się, że robi mi się tak jakoś, nie wiem, lepiej?

– Nie – ucina. – Czujesz się rozczarowany? Życie jest rozczarowujące. Że co? Że zawiodłeś się na mnie? Że się tego nie spodziewałeś? Nie maż mi się tutaj. Tak, pomogłeś mi kilka lat temu. Wziąłeś na siebie trochę mojego syfu. I cały czas o tym pamiętam. Dlatego dobrze sobie radzisz, prawda? Teraz nie

zostawię cię samego. Tylko jesteś już stary. Czasy się zmieniają. Ktoś młodszy musi cię zastąpić. Może go nawet wprowadzisz...

Wspomnienie jak uderzenie pięścią w ryj.

Właśnie wróciła do Kombinatoru. Spotkaliśmy się wtedy po kryjomu w hotelu. Na seks. Sama chciała. Długo wybierałem pokój. Jeszcze tam dzwoniłem, żeby się upewnić, czy na stół będzie jacuzzi. I szampan. Dwie butelki szampana. Miała ze sobą w niebieskiej torbie z Ikei kilo towaru.

Chodziło za nią CBS. Jak wpadli do pokoju, brałem ją akurat od tyłu. Gliniarze mieli z tego ostrą bekę. I robili nam zdjęcia.

Tak, przyznałem się, że towar jest mój.

Tak, wysyłała mi do więzienia rakiety. Żarcie, fajki i hajs.

– Kochaliśmy się – mówię.

– Może i tak – odpowiada powoli. – Może faktycznie kiedyś tak było. Ale Drwalu, prawdziwa miłość to tylko matki do dzieci. Masz towar?

– Mam – mówię.

– Dawaj.

Waham się.

– No, dawaj! Zwrócę ci za niego, przecież mnie znasz.

Wyjmuję hajs i rzucając pojemnik z ziołem i lekami na wyspę.

Kiedy zamyka drzwi, mówi:

– Miło cię było widzieć. Ale nie wpadaj więcej bez zapowiedzi.

Wychodzę przed bramę. Niski i wysoki pełzną po betonie, aby tylko ode mnie uciec.

\* \* \*

Jadę na stację. W samochodzie czuć jeszcze fetor dwóch przerażonych ciał i moczu. Otwieram bagażnik. Widać czerwone smugi. Długo czyszczę wnętrze ze śladów krwi. I szczytno. Aż wszystko lśni. Aż wszystko będzie czyste.

Zakochałem się w kurwie.

Sprzedaj mnie kumpel.

Na tym świecie nie ma nic. Nie ma żadnego powodu, aby żyć.

A ja muszę jechać dalej.

\* \* \*

Zatrzymuję się przy koszu na śmieci. Pełen. Na szczęście ciągle jest pełen. Niech łaska pańska spłynie na miejskie przedsiębiorstwo oczyszczania Kombinat, które się opierała. W imię ojca, żuła, amen. Wrzucam awaryjne. Wyciągam ze schowka gumowe, jednorazowe rękawiczki.

Nasuwam na ręce. Biorę wielką reklamówkę z Lidla. Noc ciągnie upałem od asfaltu. Zaczynam grzebać w koszu. Śmierdzi z niego, jakby ktoś tam najpierw nasrał, a później się zrzygał. Mam wrażenie, że zaraz sam puszcze pawia.

Zaraz na wierzchu są resztki po jakimś burgerze. Później ktoś wrzucił kawał gnijącego kurczaka, jeszcze w fabrycznym opakowaniu z Biedry. Przerzucam to wszystko do reklamówki. Podnoszę się od kosza i z trudem łapię powietrze.

Nie ma.

I chuj. Ktoś go wziął. Może i lepiej. Prostuję się.

Ktoś mnie obserwuje. Obok na murku siedzi żul. Jest w golfie i krótkich spodniach. Ma długą brodę.

Pije tatrę z puszki i patrzy, co robię.

– Panie kierowniku – mówi nagle z troską w głosie. – Nie trzeba tak tam grzebać. Jakby co, to ja mogę poratować jakąś puszczyką. Jeszcze zimne. Wypłatę dzisiaj dostałem. Trzeba uszanować dzień.

– Dzięki – mówię. – Innym razem.

Patrzy na mnie z troską.

– Głębiej trzeba – radzi. – Głębiej są najlepsze rzeczy.

Już chcę mu powiedzieć, aby się wziął za renowację swojego kartonu, ale daję sobie spokój. Żul nie jest niczemu winien. Pakuję rękę do środka i okazuję się, że łapię za obraną pieluchę. Moja dłoń jest cała wysmarowana rzadkim gównem, które ciągnie się i klei. Przyglądam się jej z obrzydzeniem.

Prawie puszcza pawia, ale nie. Jesteś mężczyzną, Drwalu, gówno dziecka cię nie pokona. Wrzucam pieluchę do reklamówki. Zdejmuję umazaną rękawiczkę. Wracam do samochodu po nową. Grzebię dalej. Nic nie widzę. Są podarte rajstopy. Kto w taki upał chodzi w rajstopach?? Jakies kanapki. Puszki. Puste butelki.

Koniec.

Tu nic więcej nie ma.

Koniec. Koniec. Koniec.

I co będzie dalej? Chuj, dupa, kurwa, cipa.

Jest! Jest!

Przykleił się do butelki po coli.

Wrzucam całą reklamówkę do kosza. Razem z rękawiczkami. Zdrapkę wsadzam ostrożnie do kieszeni. Siadam ciężko na murku obok żuła.

– To co, grzdylka? – proponuje i wyciąga w moją stronę otwartą puszkę z piwem.

Ma podkrążone oczy, jakby wieki nie spał.

– Dzięki. Szkoda czasu na grzdylki – odpowiadam.

Biorę puszkę i walę potężnego łyka. Piwo, wbrew zapewnieniom, jest ciepłe i paskudne. Oddaję mu resztę.

Żuł taksuje mnie wzrokiem.

– Kto ci, księciunio, tak wzorowo facjatę przerobił?

– Żli ludzie – mówię. – Żli ludzie.

Kompletnie nie wiem, co powinienem ze sobą zrobić.

\* \* \*

Jadę do domu przez stację benzynową. Wchodzę do chaty. Jest wyjątkowo czysta. Na wieszaku w łazience wiszą dwa ręczniki. Na pralce – stary szampon do włosów dla kobiet i jakiś żel. Kamili na szczęście nie ma.

Jest kartka.

Było miło. Masz epickiego kutasa. Jest jak Chuck Norris. Odezwij się do mnie, Rumcajsie.

Nalewam sobie kupionej na stacji wódki. Ot tak, do połowy szklanki. Z nocnej szafki przynoszę lorafen. Z zamrażalnika worek lodu. Biorę dwie tabletki. Popijam wódką. Trzymam worek z lodem przy ryju.

A kiedy mam wolną rękę, to obracam w dłoni zdrapakę.

W sumie to mam plan.

## Czas do śmierci: 2 dni

Rano z trudem człapię do łazienki. Spluwam do umywalki. Oko podbite. Wargę spuchniętą. I wygląda jak bakłażan. Ciężko siadam na krześle w kuchni. Wykręcą numer z losu i krótko opowiadam, o co chodzi. Głos w słuchawce jest entuzjastyczny, jakby ktoś facetowi właśnie porządnie obciągnął.

– Gratulacje! Kiedy pan u nas będzie?? – pyta.

– Myślę, że koło południa.

Nie słucham go dalej. Rozłączam się. I wyjmuję z szafy starą torbę sportową. Wrzucam jakieś slipy, skarpetki, spodnie... Po chwili się reflektuję i wywalam wszystko w cholerę. Kupię sobie nowe. Biorę wodoodporny plecak. Do środka wrzucam cały sos, który mam, czyli trochę ponad czterdzieści koła. Trzydzieści jeden z sejfu, reszta to kapitał obrotowy, który miałem przy sobie.

Do tego słoik szahida. Na pożegnanie z tym chujowym światem. Do kieszeni spodni wkładam swoją podręczną apteczkę. Ładuję ją do pełna, wszystkim, co jeszcze mam. Niestety, oddałem Alicji hydroksyzynę. Na szczęście niecałą, mam jeszcze jeden blister w szafce nocnej.

Zamykam drzwi od chałupy. Wiem, że tu już nie wrócę. Nie mam zamiaru o tym myśleć. O niczym nie mam zamiaru myśleć.

Czas na ostatnie wakacje mojego życia.

W Kombinacie została mi do zrobienia tylko jedna rzecz.

\* \* \*

Dobrze trafiłem. Samochód jest. Uśmiecham się. To nie jest dobry uśmiech.

Z bocznej kieszeni skody wyjmuję połączenie sprężynowca z kastetem. Chwytam za rękojęść. A później przez chwilę obchodzę białą toyotę, z



wyrazem głębokiego niezadowolenia.

Coś strzyka mi w plecach, ale pomyślę o tym później.

Wchodzę na stację. Jest sam. Widzi mnie. Od razu mnie widzi, na mój widok wstaje, jakby chciał coś powiedzieć, i nawet zaczyna otwierać usta.

Podchodzę i z całej siły uderzam go kastetem w rękę.

W Boczku coś jakby pęka. Chyba zęby.

Poprawiam więc z drugiej, waląc go prosto w brzuch. Boczek pada na kolana. Stęka ciężko. Pluje krwią. Zastanawiam się przez chwilę, czy go jeszcze kopnąć, ale żal mi brudzić butów. W imię zasad, skurwysynu.

– Nigdy nie zapomnę pierwszego razu, jak się spotkaliśmy – cedzę. – Ale będę próbował.

Kobieta za ladą patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Dopiero w momencie, kiedy wychodzę ze stacji, zaczyna krzyczeć.

Jestem tylko starym, przegrany handlarzem dragów.

I właśnie zaczynam ostatnie wakacje.

Wchodzę do auta. Wrzucam wsteczny, gdy nagle coś widzę przez przednią szybę. Zatrzymuję się i przyglądam w milczeniu.

Na trawniku leży truchło przejechanego kota Rudolfa.

Po policzku spływa mi łza. Nie. Ja nie płaczę.

# CZĘŚĆ DRUGA

## WARSZAWA

Warszawa nadciąga powoli niczym migrena. Na początek pojawiają się wielkie magazyny z napisami.

Allegro.

Panattoni.

Modivo.

Później pierwsze bloki, czyli warszawskie przedmieścia. Aż w końcu, jadąc Jerozolimskimi, widzę w oddali panoramę błyszczących wieżowców. Kurwa, to miasto mnie zirytowało, zanim na dobre do niego wjechałem. Błyszczą się jak psu jajca na drodze. Jak fałszywe złoto. Od razu widać, że jest chore.

Otwieram okno i się zaciągam.

Warszawa pachnie jak mokra krowa.

\* \* \*

Mężczyzna z ulicy Targowej jest gruby, niższy ode mnie o głowę, wygląda jak butelka fanty, uśmiecha się jak sprzedawca Thermokixa na spotkaniach domowych.

Podaję mu rękę. Tomasz coś tam, nie słucham. Pan usiądzie, siadam.

– Na samym początku chciałbym panu złożyć serdeczne gratulacje. Pański los, że tak sobie pozwolę zażartować, od tego momentu się zmieni – ciągnie.

Myszę o hydro, którą mam w plecaku. Sama hydro trochę zamula, nieźle usypia, ale jak ją połączyć z czymś jeszcze, na przykład z kodeiną, to się robi naprawdę przyjemnie. A może zioło plus kodeina? To daje poczucie wręcz euforyczne, a mnie jakoś dzisiaj przydałoby się trochę euforii.

– Zostały nam tylko drobniutkie formalności. Kawy? – ciągnie niezrażony moim milczeniem mężczyzna. Chyba zakłada, że jestem w szoku.

Mówię, że nie.

W sumie co teraz można kupić za dwieście pięćdziesiąt tysięcy? Porządne auto kosztuje więcej. Mieszkanie? Nawet w Kombinacie za ten hajs to najwyżej kawalerka do generalnego remontu i bez windy. Mężczyzna patrzy na mnie, teraz na twarz wrzuca minę profesjonalnego mopsa.

– Dowodzik i zdrapkę poproszę. To potrwa tylko trochę. Niestety, wie pan, formalności. Musimy wszystko dokładnie sprawdzić. Pan rozumie, regulaminy, procedury – sapie.

Widzę, że poci się pod pachami. Mokre plamy rozlewają mu się po białej koszuli. Daję mu to, co chce. Mężczyzna idzie gdzieś z moimi kwitami.

Jestem zmęczony. To moja podstawowa fraza po czterdziestce: jestem zmęczony.

Biorę tabletkę hydro, popijam wodą, ze szklanej butelki, stojącej elegancko na stole, obok jakichś ciastek.

Fotel, na którym siedzę, jest wygodny jak krzesło fakira i skrzypi. Patrzę przez okno. Jest jakieś dziwne, jakby je niedawno wymieniano. Widać ślady świeżo położonego tynku.

Fanta wraca i jest jakoś bardziej rozluźniony. Co faceta w takim wieku może doprowadzać do takiego stanu?

Piersi dwudziestopięciolatki?

Schabowy z ziemniakami?

Lufa na zapleczu?

– Pan spokojny jest, ale nie wszyscy tacy są – rzuca.

– A co robią ludzie na moim miejscu?

– Jeden z radości wyrzucił fotel przez okno – mówi. – Proszę podpisać tu. – Wskazuje. – Tutaj. I tutaj. To jest zaświadczenie o uzyskaniu wygranej. Jakby skarbowka miała jakieś pytania. Nie będzie pan musiał niczego rozliczać.

Przez chwilę się uśmiecha.

– Uprzedzam, że od jednorazowych wartości wygranych powyżej dwóch tysięcy dwustu osiemdziesięciu złotych pobierany jest zryczałtowany podatek dochodowy w wysokości dziesięciu procent od wygranej kwoty... – recytuje.

Jak zwykle złodzieje. Głosując w Polsce, masz dwie opcje. W dupę albo w usta. Podpisuję, parafuję, oddaję. Fanta rzuca się na zaświadczenie jak koń na drospsy. Po czym znowu się szczerzy.

Z chęcią zobaczyłbym go pod celą.

– Wie pan, zazwyczaj w tym momencie udzielamy porad, żeby się zwycięzcy nie pogubili z tak dużą gotówką. Słyszał pan o „królu dresiarzy” Michaelu Carrollu?

Mówię, że pierwsze słyszę. Hydro zaczyna mnie zamulać.

Tłusty opowiada tonem osoby, która już wiele razy recytowała tę samą historię, jak to ten Michael, mając dziewiętnaście lat, kupił na loterii los za jednego funta i wygrał dziewięć milionów siedemset tysięcy funtów. Przed wygraną piastował pożyteczną funkcję śmieciarza. Jego żona Sandra była w siódmym miesiącu ciąży. Czyli życie miał z grubsza poukładane.

Michael stanął przed reporterami i obiecał: „Będę mądrze dysponować kasą. Żadnych głupot. Mały domek dla mojej rodziny. Tylko tego chcę”.

Rok później Michael budził się rano, ściągał trzy kreski, pociągał pół butelki wódki i dopiero wtedy był gotów wstać z łóżka. Kupił sobie za trzysta dziewięćdziesiąt tysięcy funtów dom z ośmioma sypialniami w Norfolk, gdzie robił imprezy.

Zakładał na szyję złotą ketę, wazącą na oko kilo, złote bransolety na łapy, złote sygnety, skórę na kark i wsiadał do swojego bmw za prawie pięćdziesiąt tysięcy funtów. Wakacje spędzał z kumplami w burdelach w Puerto Banús na hiszpańskim Costa del Sol, bo tam były najładniejsze bazyle. Część kasy z miejsca rozdał. Milion matce, milion ciotce i wujkowi, milion byłej teściowej i milion już byłej żonie.

Impreza trwała dziesięć lat longiem.

– Wie pan, jak skończył?

– Domyślam się, że nie w pałacu Buckingham.

– W dwa tysiące trzynastym był już bez pieniędzy, bezdomny i nie mógł znaleźć żadnej pracy. Nikt nie chciał go zatrudnić – mówi triumfalnie tłusty.

Chrząkam. W sumie to życiowa historia. Większość chłopaków z miasta tak żyje. Jak nie masz nic i nagle dostajesz duży hajs, to jest jak dołożenie ultramocnej turbiny do słabego silnika. Trochę się to pokręci, trochę poprzyspiesza, a później i tak się rozwalą. Złe decyzje. Dużo złych decyzji.

Żeby tylko poczuć na moment, że się żyje.

– Najlepiej to na konto. A jeszcze lepiej powinien pan przelać wygraną na kilka kont bankowych. Dla bezpieczeństwa – radzi Fanta.

Chcę czystej, białej hotelowej pościeli. Która jest zimna. Chcę alkoholu, który będzie parzącą strugą spływał mi przez przełyk.

Mężczyzna widzi moje spojrzenie i pospiesznie dodaje:

– Ale może pan też dostać w kasie gotówkę.

Kiwam głową.

– To moja ulubiona forma – mówię.

– Nie potrzebuje pan ochrony? Lepiej nie chodzić z taką kwotą po mieście...

Wstaję. Fanta milknie. Mam miękkie nogi. Wszystko przestaje mieć kanty, a zaczyna być okrągłe. Podajemy sobie ręce. Tłusty ma minę, jakby chciał poklepać mnie po plecach. W sumie, jakby się zastanowić, to ma nawet fajną robotę.

\* \* \*

Zbliżam się do okienka, podaję papier, który dostałem od grubasa. Kasjerka jest ruda, brzydka i młoda. Ma wielki, haczykowany nos i piegi na całej twarzy. I podjęła rano jedyną próbę, aby coś z sobą zrobić, czyli włożyła sukienkę z krótkimi rękawami.

Uśmiecham się, podaje jej kwit, a z nią nagle coś się dzieje.

Jakby w ułamku sekundy przeszła jakąś kurację upiększającą i rozkwitła. Z piątki robi się szóstka. A nawet sześć i pół.

Czerwieniąc się, ogląda dokładnie papier. Boi się spojrzeć mi w oczy. Sprawdza podpis, dzwoni gdzieś. Badanie chyba wypada pozytywnie, bo rusza w głąb biura. Patrzę za nią. Kręci biodrami.

Kiedy wraca, ma rozpięty jeden guzik więcej w sukience. Teraz widać kawałek jej biustu. Proszę, proszę. Całkiem niezłe cycki. To się nazywa mieć walory ukryte.

Jestem absolutnie przekonany, że facet, który ją dostrzeże, będzie miał raj w łóżku. Zrobi wszystko, aby tylko mu się zrewanżować za chwilę uwagi. Będzie zawsze gotowa i zawsze oddana.

Kasjerka kładzie mi na blacie stertę paczek banknotów po sto złotych owiniętych banderolą. A następnie na liczarce do banknotów liczy jakieś drobne i je dorzuca.

– Chce pan przeliczyć? – pyta.

– Wierzę, że wszystko jest git – odpowiadam. – Pani wie, gdzie tutaj jest jakiś dobry hotel? – pytam.

Mruga oczami.

– Puro na ulicy Widok jest ponoć dobry. I NYX na Chmielnej...

– A żeby był widok z pokoju na miasto?

– Nie wiem. Interconti?

Podaje pokwitowanie. Podpisuję je w dwóch egzemplarzach.

– Przepraszam. – Dziewczyna jest już cała czerwona na twarzy, ale uśmiecha się w odpowiedzi i jest teraz naprawdę urocza. – Czy pan nie jesteś przypadkiem tym taksówkarzem z TikToka?

– Nie – odpowiadam zdecydowanie.

Wrzucam kasę do plecaka. Macham jej dłonią na pożegnanie. Wychodzę z budynku. Ulica cuchnie gnijącymi śmieciami. Patrzę na pokwitowanie. Jest na nim dziewięć cyfr ręcznie wpisanego numeru telefonu. Zastanawiam się, czy to wyrzucić, ale robi mi się jej żal. Wkładam kwit do plecaka. Pięć lat temu bym

do niej zadzwonił. Teraz jestem zepsuty. Znajduję pierwszą lepszą bramę i przypalam zioło. Zaciągam się zachłannie.

Kim ja jestem?

Jestem Drwalu, byłem bandytą, lubię się bić, lubię zimną wódkę, haszysz caramello i lubię, kiedy żyły rozsadza mi adrenalina.

Lubię czy lubiłem?? Czy ja jeszcze jestem w stanie odczuwać przyjemność?

Jestem Drwalu, jestem złotową, handluję ziołem, jestem w rozsypce jak gruda koksu na telefonie, chcę się zabić.

Ile tak będę jeszcze mógł wytrzymać?

Tydzień?

Tydzień to będzie akurat.

Plan zakłada:

Wyspać się.

Kupić jakieś ubrania.

Napić się.

Przelecieć jakąś lafiryndę.

Strzelić samobója.

Krótko i konkretnie. Lista długa jak mój kutas.

\* \* \*

– Miał pan rezerwację?

Nabieram głęboko powietrza i patrzę mu prosto w oczy.

– A muszę mieć?

Recepcjonista w ciepłym świetle lamp wygląda jak dzieciak przebrany w mundur. Ma przypiętą plakietkę z napisem Jeremiasz. Kto tak nazywa dzieci?

– Nie, oczywiście. Życzy pan sobie pokój?

Spokój? Tak, chcę mieć spokój.

– Pokój? – powtarzam. – Nie. – Wyciągam z plecaka paczkę banknotów stułotowych. – Jestem dziś w nastroju na apartament. I chcę widok na miasto.

Ściana za recepcjonistą jest drewniana. Są na niej wielkie zdjęcia, chyba starej Warszawy. Nie wiem, nie znam się. Wielka buda, za którą stoi chłopak, pali się kolorem starej, poprządkanej żyłkami żółci. Złoto, ale skromnie. Jest tu coś z atmosfery filmu, który pokazują w telewizji po dwudziestej drugiej.

Złudzenie luksusu. Świat, w którym na moment możesz być całkiem anonimowy. Dużo garniturów i dużo garsonków. Wchodzisz i wiesz, że zaraz za ścianą ludzie pieprzą się na wielkich łóżkach, ona klęczy, on trzyma ją jedną dłonią za włosy, a drugą za splecione na plecach ręce.

– Prezydencki jest akurat zajęty, ale mamy apartament senior. Posiada łazienkę z wanną i osobną kabiną prysznicową oraz dodatkową toaletę. Żyrandole wykonane z kryształów Swarovskiego. Widok na Pałac Kultury i Nauki... – wylicza Jeremiasz.

– Od biedy może być.

– A ile szanowny pan ma zamiar u nas zostać?

– Ile mi tchu wystarczy – stwierdzam. – Dwa pytania, Jeremi. – Wsadzam mu w kieszeń w marynarce dwie setki. – Gdzie tu można się na mieście napić?

Recepcjonista nawet nie mruga, tylko dyskretnie przenosi banknoty do kieszeni spodni.

– Poza hotelem? – upewnia się. – Zaraz panu zapiszę. A drugie pytanie?

– Chcę się ubrać.

\* \* \*

Drzwi do hotelowego apartamentu otwierają się na plastikową kartę. Jestem rozczarowany. Za oknem widać pałac i promenadę wysokościowców. Ale okna nie są od podłogi do sufitu, jak na filmach. Jak widać, nawet bogatych robią w ciula.

Za to łóżko jest ogromne. Spokojnie zmieściłyby się tu trzy osoby. I w łazience jest wielka wanna plus prysznic. Mam też kanapę, stolik i biurko. Choć jedyna opcja, żebym z tego ostatniego skorzystał, to oparcie o nie jakiejś kobiety. Z plecaka wyjmuję sześć plików banknotów, które chowam do kieszeni dresu. Po trzy w każdej. Sześćdziesiąt koła. Na jeden dzień wystarczy.

Miasto jest moje.



Tylko jeszcze o tym nie wie.

\* \* \*

Skodę zostawiam na hotelowym parkingu, do krawca jadę jak lord – hotelową limuzyną zamówioną przez Jeremiego, który wita mnie teraz jak swojego ulubionego gościa. Kolejne dwie setki zmieniły właściciela.

Kierowca, milczący Ukrainiec o wyglądzie wózka widłowego, prowadzi tak, jakby w tym mieście nie chodziło o jazdę, tylko wojnę o zachowanie życia. Wciska się w każdą wolną dziurę i regularnie wymusza pierwszeństwo. Obstawiam, że kolega po fachu.

I notuję sobie w pamięci, żeby go poratować stówką. A może i dwiema.

Telefon. Patrzę na wyświetlacz, trochę się dziwię, ale odbieram.

– Strzała, Rysiu. Co tam? – pytam.

Głos w słuchawce wibruje niczym struna od gitary.

– No że Boczkowi w mordę dałeś, to w sumie słusznie. Należało się mu. Tszę zęby mu wybiłeś. – Czuję jakby pretensję.

– Może tak być – przyznaję.

– Ja jebię, Drwalu. – Rysiu sapie do słuchawki. – Ale po co mu oponki poprzebijales? I po lakierze przejechałeś? To już było nie ten teges. Ja rozumiem, że Boczek się zachował jak chuj. Się nie kapuje na kumpli, nie? Ale Boczek teraz się zawziął i mówi, że się zemści. I za te oponki, i za ten lakier, że cię dojedzie i wywali w puzon.

Cisza.

Rysiu smarka.

– Po mieście cię szuka. Ze szwagrem. I jeszcze takim jednym typem. Wielkie batony mają ze sobą. I coś mi się wydaje, że nie tylko po to, aby się nimi podpierać albo się nimi wachlować, bo gorąco. Pod twoją chałupą stoją, miałem nie mówić, ale mówię. Nie chcę, żebyście sobie krzywdę zrobili. Ile wódki w końcu razem wypiliśmy, nie?

– Dzięki, Rysiu.

Rysiu jeszcze raz sapie.

– I takich dwóch o ciebie pytało. Dziwni tacy. Strasznie wkurwieni byli i ryje mieli mocno fioletowe. Za przeproszeniem od kurew frajerów cię wyzywali. Tak więc nie wiem, gdzie, Drwalu, jesteś, nie chcę wiedzieć, ale zostań tam na wszelki wypadek dłużej – proponuje.

– Nie martw się, Rysiu – mówię. – Wszystko się ułoży. Jak na amerykańskim filmie.

\* \* \*

Kierowca wyrzuca mnie na Koszykowej, tuż pod szyldem Miodowy i Sadowy. Ostatecznie daję mu dwieście. Kierowca rozpromienia się, pokazując dwa złote zęby.

Patrzę podejrzliwie na zakład krawiecki.

Na niewielkiej witrynie dwa manekiny, w ciemnych garniakach i koszulach tak lśniących bielą, że aż oślepiają. Jeden ma muszkę.

Nie wiem, kim jest Miodowy i Sadowy, ale recepcjonista Jeremi zarzekał się, że „może będą usiłovali złapać za dupę, ale jeśli chodzi o szycie, to są to prawdziwi artyści”.

To się nazywa rekomendacja.

Ciągnę za klamkę i pakuję się do środka. Pomieszczenie jest dużo większe, niż się wydaje z zewnątrz, w stylu lat siedemdziesiątych, z marmurową podłogą, wielkimi czerwono-czarnymi kanapami i prawie tak samo wielkim żółtym, okrągłym dywanem, na którym stoją przeszklone stoliki.

Dookoła pełno ciuchów na wieszakach i manekinów. Na ścianach fotografie. Jest bardzo jasno. Ledwo włązę, a startuje do mnie chudy, niski polip, odstawiony jak na wesele, w białej koszuli i kamizelce. Włosy siwe, broda siwa, całość koło sześćdziesiątki.

Nie mam pojęcia, czy to Miodowy, czy raczej Sadowy, ale koleżka na mój widok ma od razu przyczepiony sztuczny uśmiech.

Nie uśmiecham się.

Krawiec widzi mój dres i ryj z podbitym okiem, które właśnie zaczynało się robić zgniłozielone, oraz spuchniętą wargę i jakoś zwalnia.

Nie przejmuję się tym.

Walę się na czarną kanapę. Ludzie nie rozumieją jednej rzeczy – że siła jest w tobie, a nie w szmatach, które masz na sobie.

Kładę nogi na stoliku, a polip z ulgą wypuszcza powietrze z płuc. A więc nie bandyta – myśli – tylko normalny, warszawski, rozpaskudzony do granic możliwości klient. Co to przyzwyczajony jest, że może wszystko. I przyjść może ubrany jak bej, ale ma szelest.

– Czym mogę służyć szanownemu panu? – pyta.

– Wódki polej, dobry człowieku – mówię. – Tylko szybko i zimnej. I nie mów, że nie masz. Zawsze macie.

Krawiec bez słowa idzie na zaplecze, po czym przynosi małą, oszronioną karafkę i kieliszki. Nalewa mi do pełna. Wypijam jednym haustem kieliszek i tłumaczę, kto mnie przysłał i że chcę kupić garnitur. Nalewa mi drugi. Wódka przyjemnie szczypie mnie w gardło. Krawiec zaczyna swój taniec, macha jakimiś kretyńskimi próbkami, dużo mówi, ale nic z sensem, więc go nie słucham.

– To co, zamawia pan? Za siedem tygodni będzie – oznajmia.

– Za siedem tygodni to mnie już nie będzie.

– A na kiedy?

Spoglądam za zegarek. Z chęcią bym już stąd poszedł. Jakoś nie kręcą mnie te zastrzyki z prestiżu. Myślałem, że to wygląda inaczej.

– Na zaraz – oznajmiam łaskawie.

– To nie Chiny ani Tajlandia, tutaj się garnituru na poczekaniu nie szyje – fuka krawiec.

Udaję, że tego nie zauważyłem. Po prostu wyjmuję na blat talię setek.

– Na pewno ma pan jakiś pomysł – mówię. – Specjalne, ekspresowe zamówienie. Dla wyjątkowo męczących klientów. Na pewno są tacy.

Krawiec przełyka ślinę. Spogląda na plik i drapie się po srebrnej glacy. W końcu coś mu z tego swędzenia chyba wyszło, bo zabiera mnie do czegoś w rodzaju pokoju do przymiarek. Rozbieram się do samych gaci. Ogląda mnie jeszcze raz. Bierze do ręki centymetr. Mierzy. Wzdłuż, wszerek, w poprzek.

Gapi się przy tym badawczo, jak szpak w pizdę.

– Pan to taki duży mężczyzna... – mówi w końcu z rozmarzeniem w głosie. – Proszę wybaczyć określenie, ale ma pan flintę jak kuc.

Zamieram z otwartą ze zdumienia gębą. Krawiec przykłada chustkę do czoła i wyciera je starannie.

– W zasadzie to mam dla szanownego pana pewne rozwiązanie. Od razu zaznaczę, że to nie będzie to samo, co *bespoke*...

– E?

– *Tailor made*.

– Hę?

– Szycie od początku na miarę, proszę wybaczyć, my tu mamy taki specyficzny żargon. Ale na pierwszy, a nawet drugi rzut oka – zaakcentował – powinno to wyglądać elegancko.

– Jedziesz – mówię.

– Mamy takiego rapera, który zamówił sobie garnitur i jeszcze nie odebrał. I raczej za szybko nie odbierze, bo zawsze się spóźnia z płatnościami. Ci muzycy, proszę pana, to jest strasznie dziwny gatunek. Zarabiają krocie, niby bentleyami jeżdżą, a następnego dnia już nie mają pieniędzy. Tylko wszystko na kredyt by chcieli... – Wzdycha ciężko.

Pomijam bez komentarza. Jak ktoś w Polsce żyje, to jest naturalne, że zaraz po pensji zostaje bez kasy. I chce w kredy. Gdybym się zgadzał, to pół Kombinatu by paliło za darmo.

– Ale on jest bardzo podobny do pana. Rozmiarami – dodaje pośpiesznie krawiec. – A garnitur jest z najszlachetniejszej szkockiej wełny, Harris Tweed. Tylko... – Patrzy jakby zakłopotany.

– Tak?

– Ten garnitur jest... hmm... w dość specyficznych barwach.

Strzelam następną kolejkę i chucham zadowolony.

– Wał, panie krawiec.

– Taki ładny. Czerwoniuutki.

\* \* \*

Zapinam marynarkę. Przeglądam się w lustrze. Faktycznie całkiem, całkiem. Kładę na stół kolejną cegłę setek. Ekstaza u siwego rośnie z każdą minutą.

– Szanowny pan wygląda teraz jak gwiazda!

– Jak włoski piosenkarz italo disco – uznają. – Ale może być.

– Tutaj się poprawi i tutaj się poprawi... – Krawiec wbija szpilki jak popierdolony. – Kaziu, pozwól tu i pospiesz się, kochany. Będą poprawki, popraweczki. Ale prędiutko, prędiutko!!! W Warszawie żyją ludzie, którzy jedyne, co chcą od życia, to być dobrze ubrani!

Kaziu w ekspresowym tempie zdziera ze mnie garnitur i gna z nim gdzieś w pizdu. Znowu zostaję w samych gaciach.

Krawiec uśmiecha się promiennie.

– A teraz porozmawiajmy o koszulach i butach! Herbaty, kawy? – Spogląda na mnie uważnie, po czym pośpiesznie dodaje: – Czy jeszcze wódeczki?

\* \* \*

Jeremi z recepcji mówił jeszcze o jakimś dziwnym domu towarowym w centrum, napędzanym na pieniądze bananów. Staję na zewnątrz. Patrzę. Szczerze mówiąc, to nic szczególnego, żeby tak się podniecać. Po prostu czarny bunkier.

Wchodzę do środka.

Dobra, całkiem niezłe skoki – myślę, patrząc na wystawę. Przód szary, reszta biało-czerwono-niebieska. Kiedyś miałem takie jordany, bodaj czwórki.

Może przymierzyć?

Może.

Przed sklepem stoi jakaś grupa juniorów. Większość w za dużych gaciach i za dużych bluzach. Taka moda była, daję słowo, ze dwadzieścia lat temu na ławkach na Słodkich. Tylko nikt wtedy nie nosił do tego sztucznych pereł. Przeszypują z nogi na nogę, grzebiąc przy tym w telefonach. Wycieczka szkolna? Ale to kolejka. Czekać, żeby coś kupić?

Nieee... To by było pojebane. Może to taki warszawski zwyczaj??? Nie mam czasu na takie pierdoły, wódka czeka.

Wchodzę do środka.

Ledwo mijam drzwi, a podbija do mnie jakiś predator, metr trzydzieści w kapeluszu, przepraszam, w czapeczce, grający w ping-ponga w kieszeniach spodni. Wygląda, jakby latał po lesie, wachając i szukając trufli. Dzik. Po prostu dzik. Spogląda na mnie spod ledwo sypiącego się wąsa, nabiera tchu, ale nagle się wewnątrz zacina.

– Cześć. Drwalu jestem. Trzymaj – mówię i wręczam mu torby od krawca. – Strasznie są kurwy nieporęczne.

– Yyy... – Dzik na moment się odpowietrza. – Dzień dobry panu. W czym mogę pomóc??

– Te buty chcę przymierzyć. – Pokazuję na skoki z wystawy.

– Air Master od Dolce i Gabbana? – upewnia się.

– Skoro tak mówisz.

Trzy minuty później siedzę na fotelu i mierzę. Dzik nachyla się razem ze mną. Nawet chciał mi zawiązać sznurówki.

Rzuciłem okiem raz. Dał sobie spokój.

Gabbana srabana, ale w sumie to nawet wygodne.

– Ty, dziku. Jak sądzisz, nie wygląda to trochę bazarowo? – pytam.

– Nie! – Chłopak krztusi się z oburzenia. Chyba nawet prawdziwego.

Trochę to jednak jebie odpustem. Ale chodzić w czymś trzeba.

– Ile te skoki? – Patrzę na cenę. – Dobrze widzę? Trzysta pięćdziesiąt??

– Z pana to jest niezły figlarz, panie Drwalu. – Chłopak macha palcem jak przed małym dzieckiem. – Trzy i pół tysiąca. Promocja!

– Trzy i pół tysiąca. Za adidasy.

– No.

– Dobra, biorę. – Macham ręką. A w sumie, co się będę szwendał. – Dziku, jeszcze jakieś spodnie by mi się przydały.

Wyraźnie się ożywia.

– Panie Drwalu, może jakiegoś łyskaczyka?

\* \* \*

Przymierzam spodnie.

– No i jak ci się podoba?

W oczach chłopaka widzę rozanielenie.

– Wygląda pan jak ten bohater z serialu *The Boys*. Billy Butcher!

– Nie znam. Dobra. To daj mi pięć par. Tylko w różnych kolorach. I jakieś koszulki i bokserki.

– Może jeszcze kurteczkę? Louis Vuitton. – Podtyka mi jakieś ścierwo.

Daję słowo, identyczny wzór miała kanapa w wynajmowanym mieszkaniu w Kombinacie. Była tak brzydka, że zasłaniałem ją kocem, żeby mi sarenek nie płoszyła.

No i ta kanapa z całą pewnością nie kosztowała dwadzieścia sześć czterysta.

– To ścierwo??? Po moim trupie.

Miały być ubrania?

Są ubrania.

\* \* \*

Recepcjonista polecił mi bar Nowe Jeruzalem na Nowym Świecie. Jak dla mnie kogoś pojechało, że tak nazwał knajpę, ale może tutaj tak trzeba, żeby ludzie przyszli.

Siedzę w swoim nowym, czerwonym garniturze, do którego krawiec dorzucił mi pięć koszul po jedyne osiem stów sztuka, Kaziu przesywał od ręki, zostawiłem tam w sumie trzydzieści koła. Przepraszam, plus cztery za skoki. Oksfordy? Tak to chyba się nazywa.

W Nowym Jeruzalem siedzę na górze, jest tu spokojniej niż na parterze. Tam dziki tłum i wrzask. Nastroje, zapachy, alkohol, śmiechy, makijaż, gołe uda. No i kobiety. Wulgarne, ale płodne. Siedzą i czekają, usiłując zabić swoją samotność.

Boczek mawiał o takim typie: „Ćmy. Dużo ciem. Wabi się je szmałem”.

Ale walić Boczka. Chuju dęty, bądź przekłety.

Obserwuję. Lubię patrzeć na ludzi. Jestem jak te stare kobiety, które wyciągają poduszki, kładą je w oknach i śledzą każdy ruch.

Panowie się przekomarzają leniwie z paniami.

– Coś ładnego ci pokażę.

– Żonie pokaż.

– Ona nie docenia.

Jak widać, bajki, które mężczyźni opowiadają kobietom w Warszawie, są dokładnie takie same jak wszędzie indziej. Jest koło północy i wszyscy powoli zaczynają przechodzić w stan szczerości. Czyli opowiadają o miłości, o dziewczynach, o chłopakach, kto kogo zdradził i dlaczego, i jakiego miał chuja.

I intensywnie ćwiczą dykcję. A i E. Bo język się już płacze. Jak pamiętam swoje doświadczenia z Euforii, to za mniej więcej godzinę pojawią się wiadomości do aktualnych miłości.

Kto wie? Może ja i mój nowy garnitur dotrwamy do tego momentu. Trzymam się dziś całkiem nieźle. Poza tym mam w kieszeni tabletkę oksy. Niektórzy to kruszą i wciągają, niektórzy gotują i strzelają, ja myślę, że wielka farmacja wie, co robi, wypuszczając towar w pigułkach.

Dzisiaj dasz się porwać życiu, Drwalu – postanawiam. – Zobacz, czy to wapno w żyłach jeszcze się lasuje. Ruchem ręki przyzywam barmana, który usłużnie leje mi kolejkę. Mniej więcej dwa razy większą niż ta za pierwszym razem.

Ale barman szybko się uczy. Ta była piąta. Każde zamówienie wspieram banknotem z wizerunkiem króla Władysława II Jagiełły. Drobiazg, a działa niezawodnie.

Wszystko można kupić, a najszybciej udawany szacunek. Dziękuję barmanowi ruchem głowy, kolejny banknot zmienia właściciela.

Oszczędny uśmiech, wzajemna tolerancja.

Obserwuję ludzi.

Słucham, jak rozmawiają.

– *Ale przyznaj się, zagruchałeś kiedyś na ten tekst?*

Słucham.



– Kiedyś mój kolega powiedział, że mężczyzn należy traktować według zasady use it and lose it.

– A ja jestem inny?

– Oczywiście. Jesteś absolutnie wyjątkowy.

*(Kobieta wybucha szalonym śmiechem).*

Słucham.

– *Moja znajoma pukała się ze swoim lubym. Ona na dole. On na górze. Luby nagle zawył, skończył i wypadł z chatupy. Ona w szoku. Dopiero po trzech dniach jej wyznał, że jak był w największym napięciu, to jej kotka pazurami zaczęła o jego jaja.*

Podnoszę drinka i się śmieję. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się śmiałem. Drink jest słodki, kwaśny i wytrawny jednocześnie. Barman przyozdabia go wisienką. Jak na mój gust, całkowicie niepotrzebnie. Kątem oka widzę, że do baru zbliża się jakaś para.

Siadają obok. Ona szczupła. Szatynka. Lekko kręcone włosy. Włożyła asymetryczną czarną sukienkę pokazującą dobre, długie szczupłe nogi. To się chyba nazywa koktajlowa. Znaczą się sukienka. Bez wątplenia cała jest zadbana i atrakcyjna. Nie mówię, że mi się nie podoba, ale coś mi w niej nie gra. Oczy piękne, ale twarz pozbawiona wyrazu, chłodna jak zamrażalnik. Kompletnie nieprzystępna.

Prawdziwa warszawianka.

Obok niej przypakowany wieśniak, rodem z głupawych programów telewizyjnych. Ubrany w obcisłą, białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Żuje gumę. Ma przyklejony nerwowo uśmiech.

O czymś rozmawiają, jakby się kłóć, ale mówiąc szczerze, mam to kompletnie w dupie.

Teraz jest czas na oxy. Grzebię po kieszeniach garnituru, wydaję swój przenośny kontener z lekami i bezbłędnie wyluskuję tabletkę.

Popijam alkoholem i od razu świat wydaje mi się nieco przyjaźniejszy.

Barman błyskawicznie i bez pytania uzupełnia zawartość. Jagiełło zmienia właściciela. Właśnie wyciągam rękę w kierunku blatu, kiedy szatynka chwyta

moją szklankę i wylewa mięśniakowi na spodnie.

Żrenice robią się mu jak światła od multipli, dziw nad dziwy, nawet bez grama koksu! Wściekły łapie ją za rękę. Błąd. Szatynka drugą łapą, pazurami jak szpony chlasta go po twarzy. Uśmiecha się triumfalnie, kiedy zszokowany mięśniak dotyka głęboko podrapanego policzka.

Co te kobiety mają teraz z tym waleniem facetów po mordzie? To jakiś nowy fetysz czy jak?

Wieśniak podrywa się ze stołka.

Na spodniach ma mokrą plamę, jakby się zlał.

Napina mięśnie. Robi się bordowy jak papryka chili. Mam wrażenie, że zaraz jej walnie.

– Wypierdalaj – syczy. – Jesteś pojebana. Wszystkie jesteście pojebane!!!  
To ruchanie nie jest tego warte.

W sumie też ciągle to powtarzam.

– Weź koło i jebnij się w czoło – mówi szatynka.

Odwraca głowę w moim kierunku i się uśmiecha. I to nawet prawie szczerze.

– Ten zjeb jest potwornie nudny. Kupisz mi drinka. – To już jest do mnie.

Polecenie, nie prośba. W jej spojrzeniu jest coś takiego, jakby wykasowała jednym ruchem palca wszystko to, co działo się przed momentem.

Nie było wylania mojego drinka.

Nie było podrapania ryja tego ciecia.

To się nie wydarzyło.

Jej naciągana jadem kielbasianym twarz koncentruje się tylko na mnie, jakbyśmy dopiero co zaczęli randkę sam na sam. Tańczy w miejscu, tak jak tylko kobiety potrafią.

Przypakowany wieśniak ciągle stoi koło nas i groźnie łypie. Spoglądam na niego z pewnym niepokojem. Mimo wszystko wygląda, jakby sok z gumijagód walił nawet przez nos. Nigdy nie wiadomo, co takim kwadratowi odwali.

– Będziesz miał coś przeciwko, jak jej kupię? – pytam mięśniaka, patrząc mu prosto w oczy.

– Mam w dupie, co robi ten lachociąg – burczy w odpowiedzi. – Kupuj tej dziwce, co chcesz. Tylko pilnuj portfela. Dobra rada. Na bank ci go zajebie. – Gumijagódką odwraca się na pięcie i idzie do łazienki, kurwiąc pod nosem na warszawskie szmaty.

Wzdycham. Mam nadzieję, że już tam zostanie.

– Czego sobie życzysz? – pytam szatynkę.

– Zaskocz mnie – mówi kobieta.

– Co ja piję? – pytam barmana.

– New York Sour.

– New York Sour dla pani. New York Sour dla mnie.

– Zostanę z tobą na chwilę – mówi kobieta.

– Lubisz ryzyko, jak widzę – odpowiadam.

Uśmiecha się drapieźnie. W dużych oczach ma teraz dwie wielkie czarne studnie. Coś jest nie w porządku z tą kobietą. Nie wiem jeszcze co. Ale nawet ładnie pachnie. Wypina piersi. I ma całkiem solidne cycki. Stukamy się szklankami.

– Sara – przedstawia się.

– Drwalu – odpowiadam.

– Masz ładny garnitur. Przyszedłeś na podryw? Na młode hotki? – pyta.

– Nie. Przyszedłem, żeby się dobrze napierdolić – odpowiadam szczerze.

Spogląda na mnie chyba po raz pierwszy z prawdziwym zainteresowaniem. Jej ciało jest rozgrzane alkoholem. Kręci biodrami na stołku.

Celuje palcem w moją stronę. Teraz widzę, że ma też powiększane usta.

– Pracoholik alkoholik? Jeden z tych chłopców z biurowców, którzy bez komputera i prezentacji są jak dziecko zostawione w oknie życia? – pyta.

– Nie wiem, o czym mówisz. Jestem tu przejazdem – mówię.

– I jak ci się podoba w Warszawie?

– Jest ekstremalnie dobrze – stwierdzam od niechcienia. – Tani lans w drogich łachach, przystojni, dobrze zbudowani mężczyźni i dziewczęta, światła wielkiego miasta, co tu się może nie podobać?

Szatynka się śmieje.

– To co tutaj robisz?

Pociągam ze szklanki. Na początku nie byłem przekonany do tego białka na powierzchni, ale muszę przyznać, że się myliłem. Smakuje coraz lepiej.

– Przyjechałem się zabić – wyznaję beztrósko, jakbym oznajmiał, że mam zamiar iść na grzyby.

Szatynka znowu wybucha śmiechem, tak że przez powiększone usta prawie wypływa zawartość swojej szklanki na blat.

– Serio? – pyta w końcu i wyciera usta. – Aż się oplułam.

Przytakuje.

– Twoje kobiety muszą mieć z tobą ubaw. – Usiłuje zachować powagę, ale znowu parska śmiechem.

– Ciągłe to słyszę.

– Jak chcesz się zabić?

– To dość intymne pytanie. Ledwo się znamy.

– Pokażę ci cycki.

– Serio? – dziwię się.

– Oczywiście, że serio. Zaliczka – mówi i przesuwając ramię kieliszka w dół, pokazując kawałek sutka.

Zasłaniam usta szklanką, aby nie widziała mojej głupiej miny.

– Bezboleśnie – odpowiadam w końcu. – Na razie wynajęłam sobie pokój w hotelu. Mam zamiar pójść w ostatnie tango. Tak jak za dawnych czasów. To moje ostatki.

– Sprytnie – mówi.

Wypija zawartość szklanki i natychmiast gestem żąda od barmana następnego. Chyba ma wewnętrznego ze stali kwasówki.

– A ty co robisz? – pytam.

Składa usta w dzióbek.

– Jestem warszawianką. Czyli się odchudzam. I szukam kogoś do ruchania.

– Aha. To stąd ten małpolud?

Uśmiecha się z udawanym uznaniem.

– Bystrzacha z ciebie. Na zdjęciach, które mi podsyłał, miał bardzo dobrego kutasa, przynajmniej – mówi. – Ale sam widziałeś, brak elementarnych manier. Coś takiego wstyd do domu zapraszać.

– A dlaczego nie masz jakiegoś faceta na stałe?

– Pytasz, co ze mną nie tak? Jestem okrutna, podła i zła. – Znowu się śmieje. – Większość mężczyzn się do tego nie nadaje – wyjaśnia w końcu. – *I'm not the economy class and not flying economy class*<sup>14</sup>, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Czyli ma być bogaty.

Kiedyś jedna dziewczyna tłumaczyła mi, że każdy z nas ma w życiu góra sześć szans na związek. Ona wygląda, jakby próbowała o kilka razy za dużo.

– To nie tak. To jest po prostu *high value dating*<sup>15</sup>. Nie chcę mieć w domu nieudacznika – mówi, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Nie szukam chłopca do niańczenia. Ani takiego, któremu trzeba się dorzucić do raty kredytu. Nie podnieca mnie ten typ. Pracuję w dużej firmie, dobrze zarabiam, lubię sobie daleko wyjechać. Lubię życie na poziomie. Pójść do dobrej restauracji. Napić się dobrego wina. Jak facet nie ma sukcesu w życiu, nie uczył się, bo mu się nie chciało, zadowala się byle czym, to po co mi ktoś taki??? – pyta.

Kiwam głową, że rozumiem.

Barman przynosi następną kolejkę i stawia przed... Jak ona to powiedziała? A! Przed warszawianką.

– Chcę wiedzieć, czym jeżdżą i ile mają na koncie. To jest dla mnie ważna informacja, jak sobie radzą w życiu. Gdzie byli na wakacjach. Jak słyszysz, dokąd ktoś jeździ na wakacje, to od razu wiesz wszystko o takiej osobie. Za ile ma telefon? Czy chodzi w garniturze, czy nie? Czy ten garnitur jest dopasowany, czy nie? Jak dopasowany, to pewnie szył go u krawca. Jaki ma zegarek? Gdzie mieszka? W jakiej dzielnicy? W jakim bloku? Jak duże ma mieszkanie? Jak je urządził? – wylicza. – Jak kobieta mówi, że nie zwraca na takie rzeczy uwagi, to kłamie.

– Czyli jak jeżdżę skodą...

– Jaką skodą? – przerywa mi.

– Superb – odpowiadam.

– Nową? – pyta.

– Oczywiście, że nie – pryham.

– To raczej nie masz szans – mówi. – Jaki masz zegarek?

Zerkam na przegub.

– Casio – odpowiadam z dumą.

Wzdycha bardzo ciężko.

– O tym mówię. – Kiwa głową z udawanym współczuciem. – A ile masz na koncie?

– Nie mam konta.

– Wolisz gotówkę? Interesujące. – Podpiera głowę ręką, opartą o blat. – To ile masz? – pyta.

– Coś tam ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Nie, przepraszam – reflektuję się. – Byłem dziś na zakupach. Coś tam ponad dwieście.

Widzę, że kobiecie drgają usta. Cynicznie.

– Mam cię w kieszeni kilkanaście razy – mówi, jakby stwierdzała fakt. – Nawet kilkadziesiąt. To po co mi taki facet? Ja się nie nadaję na kempingi. Byłam raz, z rodzicami, w namiocie było od rana gorąco, bolały mnie kości, a pod prysznicem podglądał mnie jakiś oblech.

– Nie uważasz, że to durne? – pytam.

– Faceci chcą ode mnie sterzcących cycków, chudej dupy i żeby im brała głęboko w gardło. Nie uważasz, że to durne?

W sumie. Coś w tym jest.

– Punkt dla ciebie – przyznaję.

– Poza tym to jest z mojej strony gest dobrego serca – mówi. – Wezmę sobie takiego normalnego faceta na imprezę i jak on się tam odnajdzie? Nie odnajdzie się. W depresję tylko wpadnie. Uwierz mi, jakby Richard Gere naprawdę wziął Julię Roberts na biznesowy lunch, toby wrócił wkurwiony do domu, że sobie ogarnął taką lebiegę.

– A ta... No...

– Miłość? Tego nie ma.

– Jest.

– Nie ma. Zresztą facet nie jest potrzebny do miłości. – Wzrusza ramionami. – Miłość jest przereklamowana. Wierność jest przereklamowana. Mąż to zbyt poważna decyzja, aby ulegać tu emocjom i budować coś takiego na tak kruchych podstawach jak jakieś tam uczucia. – Szatynka kończy swojego drinka. – Nie wyglądasz, ale zapytam. Nie jesteś prawnikiem, prawda?

– Nie. Wręcz przeciwnie. A to ma jakieś znaczenie?

– Ma. Bardzo, ale to bardzo nie lubię prawników. Powiedzmy, że mam złe doświadczenia. Skoro wszystko już ustaliliśmy, idziesz ze mną. Pokażę ci cycki. Tak jak obiecałam. No co? – Uśmiech jak smagnięcie biczem. – Jesteś duży. Lubię dużych.

Gdyby istniała jakaś odpowiedź sensowna i racjonalna, tobym jej udzielił. Ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– Nie odzywaj się – ucina. – Szkoda czasu. Myślenie zresztą nie należy do twoich mocnych stron. Wezwałam nam już Ubera. Zabieraj ten swój czerwony garnitur. Jestem ciekawa, co masz tam pod spodem.

Wstaję.

Co lepszego mam do roboty?

– Dobrze się ruchasz? Jak nie, to ci urwę kutasa.

– Tylko nie licz na przytulanie – mówię.

Miała być lafirynda?

Jest lafirynda.

\* \* \*

Nie, nie wychodzimy tak szybko. Przed wyjściem z Nowego Jeruzalem warszawianka pyta:

– Piłeś. Chcesz sobie przypudrować nosek?

Czy ja chcę przypudrować sobie nosek? Czy chcę polukrować sobie mózg, sprawić, że mój kutas będzie dłużej stał, choć być może będą za tym szły kłopoty z dojściem? Czy chcę zagłuszyć wpływ serii wysokoprocentowych

kroplówek z białkiem, poczuć przyływ siły fizycznej i może nawet umrzeć zaraz tutaj na zawał?

– Jasne – odpowiadam.

Idziemy razem do kibla dla inwalidów. Zamykam drzwi. Jakiś pokurcz chce zaprotestować, ale patrzy na mnie i zmienia zdanie. Sara wysypuje koks na telefon. Jest to jedyna rzecz, do której smartfony się nadają. Kokaina przypomina puder. Zdecydowanie wolę kryształ jak Raffaello, ale to już zboczenie zawodowe. Warszawianka robi kreski, wciąga z odgłosem zapuszczającego silnik ciągnika. Przez moment staje na palcach, po czym podaje mi telefon.

Ładuję w nos szybko i gwałtownie. Tego się nie zapomina, to jak jazda na rowerze. Kokaina jedzie chrzanem. W nosie lekko piecze. Zamiast ogólnego znieczulenia czuję tylko, jak coś mrowi mnie w dziąsłach.

– I jak? – pyta Sara. Wygląda na bardzo z siebie zadowoloną. – Dealer mi mówił, że jest tak mocna, że Gesslerowej by włosy wyprostowała.

– Zmień dealera.

\* \* \*

Lecę między wysokimi budynkami, których nie znam. Piękna jest teraz ta Warszawa. Światła rozbijają czerń, budynki atakują i rozwierają się przede mną jak gigantyczna ostryga. Jedziemy mostem z wielkimi pylonami. Albo mi się wydaje.

Potem windą do jej mieszkania. Wysoko. Piętra uciekają. Nie wiem, gdzie jestem. Nie wiem, kim jestem. Idę za nią. Patrzę na nią. Ona wie, że patrzę. Kręci dupą. Poprawia włosy. Kobiety zawsze wiedzą, jak zrobić na nas wrażenie.

Zaczyna jeszcz przed drzwiami do mieszkania.

– Zobaczmy, co tam mamy. – Łapie mnie za kutasa i ściska. – Nie jest źle – dodaje.

Uśmiecha się, ale jak drapieżnik. Opiera się o drzwi mieszkania. Podwija sukienkę, pokazując uda. Potrafię rozpoznać dobre ciało, jeśli tylko takie



widzę. Takiego, jakie jest przede mną, nie miała nawet Alicja. I to w czasach swojej największej świetności.

Ciężkie piersi wyłuskane ze stanika. W Warszawie, jak widać, sporo jest ciężkich cycków, które nigdy nie chciały karmić dzieci.

Jest już za co złapać, więc łapię.

– Chcę, żebyś mnie zerznął. Mocno. – Sara wydaje polecenie.

Tę decyzję coś podejmuje za mnie. Nagle czuję głód. To piękne: tak kogoś pragnąć. Pożądać. Czuć tę euforię. Nie wiem, jaka kombinacja czynników wprawia mnie w ten stan.

Kokaina?

Alkohol?

Oxy?

Może tak, może nie. Trzeba to powtórzyć. Opieram ją o ścianę. Czuję, jaka jest gorąca. Czuję jej oddech na skórze. Czuję jej jęk. Sukienka podwinięta wysoko nad uda.

Dłonie na biodrach. Dłonie szybko, łąpczywie poruszające się po jej brzuchu, po jej tyłku wyćwiczonym na niezliczonych zajęciach z trenerem personalnym.

Wpycham palce między jej uda. Pod majtki. Jest mokra. I gorąca. Czuję, jakby prąd przebiegł przez mój krwiobieg.

Zaczynam ją wąchać, chcę wywąchać ją całą, gryzę ją w kark. Jęczy.

Pośpiech. Gorączka. Z trudem otwarte drzwi. Jak walka między dzikimi zwierzętami, które gryzą się i drapią, żeby tylko jak najszybciej dostać to, co podpowiada im instynkt.

Od przodu.

Z nogą warszawianki opartą o ścianę. Bez zdejmowania z niej koronkowych majtek.

– Dobrze. Dobrze! – wyje.

A później na czworaka.

– Dźwigaj w górę to dupsko – mówię. – Rozstaw nogi. Szerzej!

Trzymając ją za włosy. Słyszac jej stłumione jęki.

Jęczy, jakby coś ją bolało.

– Mocniej – mówi do mnie. – Mocniej. Tylko na tyle cię stać?

Jest pijana. Jest naćpana. Czuję, jak jej jęk odbiera mi całkowitą kontrolę. Więc ją zwyczajnie tracę. Zatykam jej usta dłonią. Gryzie mnie po palcach. Daję jej ostrego klapsa w dupę. Później następnego. Znowu jęczy. Ciszej. Wbija mi paznokcie w udo. Do krwi. Teraz ja drę japę.

Trzymając ją za związane włosy.

Oboje jesteśmy mokrzy, nasz pot miesza się ze sobą. A później po prostu dochodzę. Czując, jak zaciska na mnie swoją cipę. Głośno jęczę, jakbym przedawkował żądzę. Nie czuję nic więcej.

Padam na łóżko.

Warszawianka bawi się od niechcenia moim fiutem jak plastikową zabawką na drucie. Dobra wiadomość jest taka, że narkotyki nadal działają.

Nadal mi stoi.

– Masz fajnego kutasa – mówi. – I grubego, i dużego. Sam konkret – stwierdza z młodzieńczą szczerością.

– Jego odlew zapiszę ci w testamencie – burczę.

– To są komplementy, które lubicie słyszeć, nie? Że nam się podobają wasze kutasy. I samochody. I że umiecie dobrze prowadzić. Dużo obietnic bez pokrycia.

Warszawianka siada na mnie i robi sobie na głowie kok.

– Wiesz, po czym poznać, że kobieta jest w stałym związku? Jak do lodu włosów już nie wiąże – mówi i bierze mnie w usta.

Jej kolczyki bujają się na boki. Dzwoniąc do rytmu, jak ten żyrandol z kryształkami, który wisi mi nad głową. Jest prawdziwą profesjonalistką. Coś zaczyna się kręcić coraz szybciej. Jej piersi dyndają na boki zachęcająco. Leżą na plecach. Ciężko dyszę. Fala przychodzi nagle. Kończę, wydając głucho stęknienie. Wypychając do przodu biodra. I w tym samym momencie warszawianka wsadza mi centralnie palec w dupę.

– Aua! – drę się oburzony.

Warszawianka wzrusza ramionami i wypluwa moje nasienie na brzuch.

– Jeśli kochasz, połykasz. Jeśli to tylko *fun*, wypłuwasz – mówi.

– Co to było? – pytam z urazą w głosie.

– Co, koteczku?

– Ten palec w mojej dupie!!!

– Myślałam, że ci się spodoba – mówi i uśmiecha się złowieszczco. – Swoją drogą powinieneś pić sok z ananasa.

– Wiesz, piña colada to to nigdy nie będzie – stękam ciężko.

Znowu rozpuszcza włosy. Ta kobieta to potwór. Z trudem łapię oddech. Za stary jestem na takie numery.

– Nie umrzesz mi tutaj? – pyta badawczo.

– Raczej nie – odpowiadam w końcu.

– To dobrze – mówi. – Bo chcę jeszcze raz.

– Daj mi chwilę – sapię. – Nie mam osiemnastu lat.

– Masz język i palce – fuczy.

Całuję ją w pępek. Później w wewnętrzną stronę ud. Pakuję jej pod tyłek poduszkę i biorę się na poważnie do roboty. Jest wydepilowana, tą staranną, laserową, powtarzaną wielokrotnie depilacją, niepozostawiającą żadnej niedoskonałości. Oddycham w nią. Teraz ona trzyma mnie za włosy. Napiera. Mój język porusza się we wszystkich płaszczyznach. Wkładam go jej. Zasysam. I nagle, nie wiem jak, odnajduję w tym właściwy rytm. Kobieta wzdycha i ma orgazm, jeden dreszcz po drugim. Zaciska uda na mojej głowie. Pozwalam jej na to przez dłuższą chwilę, głaszcząc ją po udzie jak psa. Wstaję z łóżka. Jej palce u stóp ciągle drżą.

Mam miękkie nogi.

Leję do dwóch szklanek whisky, która stoi na barku. Podaję jej szklanekę. Mruczy coś, chyba w podziękowaniu. Biorę łyk. Ostrożnie poruszam językiem, który chyba nadwyreżyłem.

Ale spisałem się?

Spisałem.

Ten lew potrafi jeszcze zaryczeć.

Wieczór kończymy w wielkiej wannie, pełnej piany i gorącej wody. Do tego jest butelka szampana.

Nie pamiętam, jak trafiam do łóżka. Przed oczami mam nagle ciemność. Kurtyna.

## Czas do śmierci: 1 dzień

Budzę się, jakbym był w trumnie.

Pierwszy uderza ból głowy. Gałki mi wylatują z oczodołów. Później nos. Plecy i kręgosłup. Jakby ktoś zerwał plaster z ropiejącej rany. Ropa tryska. Żyły mi eksplodują. Chce mi się rzygać. Żołądek puchnie. Jakby wszystko, co w nim było, co jadłem przez ostatnie dwa dni, zaczęło nagle wykazywać chęć, aby go opuścić. Stęknienie. Uderzenie. Stęknienie. Uderzenie. Ból pleców przychodzi i odchodzi niczym fala.

Z trudem otwieram oczy.

Ustawiam ostrość obrazu, który mam przed sobą.

Widzę, jak przed oczami podskakują mi cyciki warszawianki, która ujeżdża mnie niczym byka na rodeo. Nadziała się na mój interes i zaczęła bujać.

– Tak, tak, patrz na mnie. Tak! Tak! Tak! Jesteś wspaniały!! Pierdol mnie całą!! Jeszcze! Jeszcze! – krzyczy.

Przygryza usta. Wbija mi paznokcie w brzuch. Nabieram głęboko powietrza. Warszawianka nadal skacze. Jej sutki są twarde.

Skronie mi pulsują. Coś strzyka mi w plecach. Kurwaaa!!! Jakby mnie dziki jeź ujeżdżał!! Warszawianka zaczyna się wić. Chyba dochodzi. Wygina się. Zaciska na mnie nogi.

Czuję, że mam mokre biodra, jakby ktoś mnie zlał wodą. Dziko zawodzi, cały czas nabita na mojego fiuta, który nie wiem dlaczego nie chce sflaczać. Patrzę na nią. Oczy ma opuchnięte. Pasma włosów przyklejone na spoconym czole. Usta nadziane kwasem – wydęte. Ale ciało ciągle jest genialne.

– Zawsze jestem napalona na kacu. – Uśmiecha się nagle lisio. – Jak dojdę ze dwa razy, to głowa trochę przestaje mnie boleć. Pomaga też gorący rumianek.

Cofa biodra. Klepie mnie w brzuch jak konia.

– Zjemy śniadanie. Idź się umyć. Nie obraż się, ale trochę śmierdzisz.

Zostaję sam z prezerwatywą na fiucie. Kiedy ona zdążyła mi to założyć? Czy ja ją wczoraj stukałem w gumie, czy bez gumy? Nie pamiętam. Biała pościel jest mokra od mojego potu. Wstaję z łóżka i muszę przytrzymać się ściany, bo inaczej bym się wywalił. Mijam ostrożnie czerwone szpilki z napisem Gucci rozrzucone na podłodze. Długo stoję pod prysznicem, leję na siebie lodowatą wodę.

Trochę pomaga.

Trochę.

\* \* \*

Zarzucam na siebie bokserki. Kuśtykam do salonu. Rozglądam się po wnętrzu. Nie pamiętam go z wczoraj. Grubo było. Za grubo?

Ciężkie, szare zasłony na wielkich oknach. Podwieszany biały sufit, ale z czarnym obwodem przy ścianach. Jakieś kratownice, nie kratownice. Otwarta kuchnia z wielkim blatem i równie wielką kanapą w salonie. Srebrne lampy. Jakieś wisiorki na ścianach.

To mieszkanie osoby, które od razu mówi: mam dużo kasy, aby wywalić ją na projektanta. To mieszkanie osoby, która jeździ do pracy mercedesem i nigdy niczego nie gotuje.

Warszawianka stoi przy czarnym blacie w białym, krótkim szlafroku, który pokazuje niemal całe jej nogi. Są długie i szczupłe jak u kozicy. Rozkłada na talerze zawartość torebek z logo jakiejś kawiarni o francuskiej nazwie.

Spogląda na mnie i się uśmiecha.

– Wyglądasz jak gówno – mówi. – Otwórz szampana. Jest w lodówce.

Nie mam siły protestować. Stoi tam butelka z napisem Veuve Clicquot. Nie sądzę, abym był w stanie przeczytać to na głos, bez połamania sobie języka. Otwieram i leję do wysokich kieliszków. Podaję jej jeden. Warszawianka stuka swoim szkłem o moje. Wypijam zawartość prawie duszkiem. Kwaśne jak cholera. Z szampanów w przeszłości najbardziej podobało mi się to, że robiły wrażenie na kobietach.

Ale od razu robi mi się trochę lepiej.

Bawię się jajkiem, które chyba miało być na miękko, ale w sumie to zrobiło się na twardo. Sara je paszę dla kobiet, które chcą być szczupłe, czyli granolę z jogurtem.

– Przypomnij mi, jak ty w ogóle masz na imię? – pyta i kładzie dłoń na moim kroczu.

– Drwalu – stękam.

– Zabawimy się, Drwalu? Jeszcze raz?

Jest trochę flirciarska, trochę uwodzicielska, a trochę robi sobie ze mnie jaja.

– Nasz związek zaczyna popadać w rutynę – mówię i dolewam nam szampana.

Rozchyła szlafrok. Jej sutki wielkości dwuzłotówek sterczą zachęcająco.

– Nie wiem, czy mnie na to stać – mówię szczerze. – Wszystko mnie napier...

Podpiera się ręką opartą o blat. Szlafrok odsłania jeszcze więcej. Przełykam ślinę. Cały przełyk mam oblepiony czymś kleistym.

– Jak myślisz, ile kosztowałoby pieprzenie ze mną? – pyta.

Zastanawiam się chwilę, mnożąc stawki dziewczyn od Alicji.

– Jakieś pięćset za zrobienie ustami i dwa tysiące za numerek – oceniam.

– Tanio – śmieje się. – Ale jak będziesz wychodził, zostaw kasę na szafce – parska, odsłaniając porcelanowobiałe zęby.

Jej dłoń ląduje na moim bydlaku i zaczyna miarowo pracować. Ku memu zdumieniu przynosi to jakiś efekt. A później Sara po prostu dosiada mnie, wsuwając go sobie do środka.

– Taaak – jęczy, kołysząc się na mnie jak francuski samochód na stołecznych koleinach.

Czuję się, jakby ktoś mi robił punkcję żołądka.

Ale i tak dochodzę. A kiedy wbija mi paznokcie w jaja, mam dreszcze.

\* \* \*

– Dobra, dostałeś śniadanie, możesz spadać.

– A coś miłego na pożegnanie?

Jej uśmiech jest jak koks zmieszany z amfą. Wariuje kutas. Wariuje głowa. Możesz eksplodować albo się porzygać.

– Dobrze, że nie jesteś z Warszawki. Tacy dużo mówią, ale słabo się ruchają – mówi. – Jak ten mój z koziej dupy eks, Wini. Ty się ruchasz, jakbyś chciał kogoś zabić, a twój język działa jak Stjepan Hauser<sup>16</sup>.

Nie mam pojęcia, kto to jest ten Stjepan Hauser. Pewnie jakiś niemiecki skoczek narciarski.

– Od razu widać, że masz doświadczenie. Spokojnie. Nie musisz mi cytować nazwisk i rozmiarów biustonoszy. Nie zainteresowanam. Do zobaczenia – mówi i uśmiecha się złowieszczo.

Zjeżdżam. Przy windzie na drzwiach jest tabliczka: wyjście awaryjne.

Jak obietnica ucieczki.

\* \* \*

Do hotelu docieram po jedenastej. Jest nieźle, no, przyzwoicie, po drodze wypijam kawę i ratuję się kilkoma specyfikami z mojej podręcznej apteczki. Dzięki temu baniak prawie przestaje mnie boleć, nie jest mi niedobrze i mogę normalnie chodzić, a nie zginać się jak paralityk. Za blatem stoi mój ulubiony recepcjonista, który na mój widok rozpromienia się jak Maria Skłodowska-Curie.

Bez słowa kładę na blacie dwieście. Znika, zanim mrugnę okiem.

– Jeremi, przyjacielu, potrzebuję się pilnie zregenerować. Co tutaj macie?

– Czy nie miałyby pan ochoty na damskie towarzystwo? – pyta.

– Nie – warczę automatycznie.

Wizja, że ktoś miałby mnie teraz targać za człona, jest absolutnie nie do przyjęcia. To, co w nim było, warszawianka wzięła sobie osobiście i z naddatkiem.

Swoją drogą, proszę, jakie to proste. Dwie poranne rundy i facet od razu traci ochotę na wszelkie zabawy poza domem.

– Na pewno? – upewnia się recepcjonista.

– Na pewno!

Pan z recepcji uśmiecha się wyrozumiale.

– Woli pan chłopców, przystojnych młodzieńców? – pyta jedwabistym głosem.

– Nie, dzięki, niech sobie spokojnie pedałużą. Coś naprawdę odprężającego.

– Rozumiem. – Recepcjonista skłania głowę ze zrozumieniem. – Zaraz się tym zajmę.

\* \* \*

Dostaję kąpielówki, siedzę w wielkim jacuzzi na czterdziestym trzecim piętrze. Za oknem jest Pałac Kultury i Nauki. Jest tak blisko, że mam wrażenie, że mógłbym go dotknąć dłonią. Pocę się w tej wodzie jak zwierzę. Od środka czuję, jakby mój organizm za wszelką cenę usiłował się oczyścić. Jakby coś usiłowało wyżyć i wypalić cały alkohol i wszystkie dragi, które mam w sobie. Ale nie poddam się tak łatwo.

Podchodzi do mnie kelner. Na tacy trzyma wielki kufel ciemnego piwa, które wygląda na Guinnessa. No proszę. Obejmuję kufel.

Piwo smakuje jak tłusta, zimna kawa.

Kiedy kończę, miła dziewczyna w białym stroju prowadzi mnie do pokoju z napisem SPA.

Jeremi to naprawdę wybitnej klasy specjalista.

\* \* \*

W gabinecie gra muzyczka. Coś dziwnego. Jak tybetańskie wycie kopulujących wielorybów, ale w sumie działa to jakoś uspokajająco. Patrę na termometr wiszący na ścianie, pokazuje równo dwadzieścia sześć stopni. Kobieta jest drobna, wręcz krucha. Ma na sobie czarną koszulkę, która przypomina uniform.

Jej twarz jest zastygła w profesjonalnym ustawieniu.

Wygląda zupełnie inaczej niż masażysta naszej drużyny Edek. Gruby, łysy dziad, przypominający sześcian. Miał chyba wtedy koło czterdziestki, czyli jak



dla mnie był na progu śmierci.

Rzadko mogłem się załapać na choćby kilka minut w jego towarzystwie, on był jeden, a nas szesnastu.

– Musi boleć – powtarzał.

(A po meczu trzeba się wykąpać w wannie z zimną wodą i dobrze porozciągać).

– Dzień dobry – mówi kobieta. – Jestem Basia. Jak się pan czuje?

– Wybitnie – odpowiadam. – Wszystko mnie napierdala.

Masażystka jakby uśmiecha się kącikami ust, ale chyba mi się zdaje.

– Jest pan na coś chory? – dopytuje.

– Tylko na życie – odpowiadam.

– Normalnie zaproponowałabym masaż relaksacyjny, ale w pana przypadku chyba lepszy będzie masaż leczniczy – mówi.

– A czym to się różni?

– Dobre pytanie. Jak by to panu powiedzieć. Tym, czym trzypiętrowy hamburger z dwoma grubymi plastrami wołowiny różni się od sałatki. Pan się kładzie.

Zalegam z głuchym stęknieniem na łożku. Jest przyjemnie ciepłe, jakby je podgrzewano.

– Poziom bólu jest od jednego do dziesięciu. Jak będzie koło siódemki, proszę powiedzieć – informuje.

Obrzucam jej wątłą sylwetkę jeszcze raz spojrzeniem, w którym jest sporo wątpliwości. No, ale kiedyś widziałem w Euforii, jak jeden miejski warchlak podniósł przechodzącej obok dziewczynie krótką kieckę do góry i klepnął ją w tyłek.

Żart niby taki.

Panna była chuda jak patyk, miała może z metr sześćdziesiąt. Ale, jak się chwilę później okazało, trenowała od wielu lat krav magę, chyba najbardziej brutalną sztukę wpięrdolu. Mój Boże, jak ten warchlak kwiczał, kiedy najpierw walnęła go w spłot słoneczny, a poprawiła kopem w jaja.

– Dobra, będę skamlał – obiecuję.

Wkładam łeb w odpowiednik obitej gąbką deski sedesowej, żeby mi było miękko i żebym mógł bez problemu oddychać. Pani masażystka przez chwilę tańczy po moich plecach rękami i nawet robi się całkiem miło, gdy nagle naciska mi jakiś punkt, tak że, O KURWA, aż mnie zgina.

Chcę wyrzucić od razu, że na liczniku pojawiło się siedem. Co najmniej! Ale nie robię tego, nie stękam też z bólu tylko dlatego, że generalnie byłoby mi wstyd, że chłop, a kwiczy.

Leżę, cierpiąc w milczeniu. Kobita ryje jak dzik pod dębem. I po dwudziestu minutach takiego obrabiania zaczynam się zastanawiać, czy jest mi przyjemnie, czy po prostu przestałem czuć plecy.

– To teraz pośladki – mówi ciepłym głosem masażystka. – To na początku może być nieco nieprzyjemne i bolesne.

NIECO.

A to wcześniej, jak rozumiem, to była przyjemność, tak? Łagodne mizianie farfoclem? Od razu się usztywniam, spodziewając najgorszego. Jak się okazuje, słusznie.

– To jest mięsień pośladkowy wielki – zaznacza pani masażystka i sympatycznie ciśnie mnie po dupie, tak że prawie melduję się na suficie.

Kiedy mniej więcej dochodzę do siebie, słyszę słowa, które stawiają mi na sztorc włosy na dupie.

– A to mięsień pośladkowy średni. – Masażystka gmera paluchami, a ja mam oczy jak sarna na torach na widok nadjeżdżającej lokomotywy. – A to mięsień pośladkowy mały – dodaje masażystka totalnie zrelaksowanym głosem i naciska paluchem coś na moim tyłku.

Ja przyciskam dłoń do oczu, ocierając łzy, bo czuję się tak, jakby mi ktoś cegłą szamotową po jądrach ciągnął.

Schodzę ze stołu w takim stanie, jakbym przez dwie godziny ciężary przerzucał. Jak fiut po wizycie w damskim akademiku. Nie mam siły na nic.

– Wszystko w porządku? – pyta kurtuazyjnie masażystka.

– Jasne. W najlepszym – stękam. – Tylko się porzygam i będę jak nowy.

Zakładam na siebie biały szlafrok, kiedy nagle masażystka pyta:

– Przepraszam, czy pan nie jest tym słynnym taksówkarzem z TikToka?

– Nie – skrzeczę.

Wracam w szlafroku do swojego pokoju, kładę się na białej hotelowej pościeli i zasypiam. Po raz pierwszy od dawna bez tabletek. I bez snów.

\* \* \*

Coś dzwoni. Poruszam się na łóżku. Dawno nie zasnąłem w środku dnia. Mogę się ruszać, wszystkie części ciała nagle mnie słuchają. Dziwne uczucie. W końcu moja ręka na nocnym stoliku trafia na telefon.

Patrzę na wyświetlacz. Mógłbym nie odebrać. Ale trochę jestem ciekaw, więc naciskam zieloną słuchawkę.

– Cześć, Drwalu. Gdzie jesteś, skoro cię nie ma? – Słyszę głos Kamili.

– Mam wakacje – odpowiadam. – Co tam, małolato?

– Nudzę się, więc jestem na diecie. Wykreśliłam wszystkie rzeczy zabronione do jedzenia współczesnej kobiecie. Nie jesz pieczywa, bo ci nie wolno. Nie jesz słodczyz, bo ci nie wolno. Żadnych ciast i ciastek, żadnych czekoladek, żadnego makaronu...

– A po co?

– Inaczej nie będę godna włożyć sukienki.

– Jesteś chuda – mówię i rozglądam się za jakimiś spodniami. Chce mi się jeść.

Ale jak tu jeść bez gaci?

– Tylko w twoich oczach. Robią mi się fałdki.

– Chyba na głowie.

– Jesteś stary i ślepy, Rumcajsie – wzdycha. – Ale z drugiej strony to słodkie i nawet pocieszające, że tak o mnie myślisz. Kiedy wracasz z tego urlopu?

Nigdy.

– Nie wiem – kłamię.

– Jak wrócisz, to wezmiesz mnie na obiad – żąda.

– Jak wrócę, to zamówię ci obiad w najbardziej ekskluzywnej lokalizacji w Kombinacie – mówię, uśmiechając się.

– Burger i frytki? Pieczony kurczak? – pyta z udawaną nadzieją w głosie.

– Nawet krewetki.

– A kebab?

– Z podwójnym mięsem – obiecuję.

– Pizzę też?

– Pewka. Jedna czterdzieści pięć centymetrów czy dwie po trzydzieści?

– To jest twoje najbardziej podstępne pytanie? – pyta.

– Owszem – przyznaję.

Kamila wzdycha z przekąsem.

– Wzór na powierzchnię pizzy: czterdzieści pięć na dwa, teraz do kwadratu, razy liczba Pi, czyli trzy przecinek czternaście. Wychodzi niecałe tysiąc pięćset dziewięćdziesiąt centymetrów kwadratowych. Trzydzieści na dwa, do kwadratu, razy liczba Pi. To jest siedemset sześć i pół centymetra, razy dwa, bo dwie pizze. Razem mamy tysiąc czterysta trzydzieści centymetrów kwadratowych. Chcesz mnie jeszcze jakoś oszukać?

– Gdzieżbym śmiał.

Milczenie w słuchawce.

– Wiesz, Drwalu, zrobiłam coś w twoim mieszkaniu. Nie gniewaj się na mnie – mówi.

– A co zrobiłaś?

– Nic wielkiego, ale...

– Jak nic wielkiego, to nie masz się czym przejmować, nie?

– W sumie prawda. Jak się czujesz? Wydajesz się jakiś przygnębiony.

– Każdy myślący człowiek jest przygnębiony albo ma depresję – odpowiadam.

Żegnam się szybko i odkładam telefon.

Jak się czuję? W sumie to teraz nawet na takie dwa z plusem. Ale z plusem, nie!

Czy mógłbym żyć inaczej? Nie wiem.

Na razie trzeba się umyć.

A później coś zjeść. Te dyskusje o zarciu jeszcze podkręciły mi apetyt.

Hakuna matata.

\* \* \*

Wychodzę mokry i goły spod zimnego prysznicza, który miał mnie orzeźwić. Telefon znów dzwoni. Idę po niego, zostawiając mokre ślady na podłodze. Proszę, panna Kamila znowu przypomniała sobie jakąś ważną rzecz.

– Chcesz mi zdradzić wzór na powierzchnię kebaba?

– Cześć, Drwalu. Na kebaba to może nie, ale w sumie w temacie. Dzwonię, bo idziemy dzisiaj na kolację.

– Skąd masz mój numer telefonu? – pytam zaskoczony.

– Wystarczy z niego zadzwonić na mój numer – prycha warszawianka. – To proste. Nigdy tego nie robiłeś? Nie cieszysz się, że mnie słyszysz?

– Jak cholera.

– To przyjeżdż po mnie na dwudziestą. Wiesz, gdzie mieszkam.

– Wiem. Ale nie wiem, czy chcę – mówię zgodnie z prawdą.

– A wiesz, Drwalu, że kobiecie po raz drugi o wiele łatwiej jest pójść z facetem do łóżka niż za pierwszym razem? Już wie, jak to będzie wyglądało – mówi uwodzicielsko. – Poza tym, co tu kryć, lubisz, jak ci obciążam.

Odkładam telefon bez słowa. Patrzę krytycznie na stertę łachów rzuconą niedbale na kanapę. Wyciągam pierwsze z brzegu spodnie. Jaką koszulkę. I bokserki. Spodnie, jak na mój gust, są trochę wąskie i strasznie opinają dupę. Z kolei koszulka jest różowa z jakimś liściem.

Co ja, do nędzy, kupiłem? Jak to się nazywa? Deskuared? Disklared? Gównno. Przyglądam potargane włosy. Dobra, niech będzie. Dzisiaj ubiorę się na Warszawkę. Jeszcze mi tylko brakuje okularów przeciwsłonecznych na tyle głowy i postawionego na sztorc kołnierzyka od polo.

\* \* \*

Okna są duże i przeszklone, stół – gruby, duży i solidny, jedynie fotel ciut przymały jak na mój gabaryt, ale niech będzie, może być. Siadam przy oknie, widzę całe miasto. I pałac, i ulice. To miasto żyje. Kombinat dawno umarł.

Wąsaty kelner łapie moje spojrzenie. Pewnie łowi ryby w wolnym czasie.

Patrzy na mnie uważnie i ma sto albo i sto pięćdziesiąt lat doświadczenia w tym wzroku. Trzydniowy zarost, ciągle potłuczona mordą, różowa koszulka, wszystko się zgadza, hotele widują większe tajemnice.

– Dzień dobry. Tatar i węz mi pan polej wódki, dwie pięćdziesiątki – ordynuję.

Kelner kiwa głową uprzejmie, wyjmując banknot, który zmienia właściciela.

Trzeba być dobrym dla branży gastro. Boczek powtarzał, że jak chcesz się dowiedzieć, z kim się zadajesz, to zwróć uwagę, jak ta osoba traktuje kelnerkę albo kelnera.

Ale chuj z Boczkem. Mam w niego kielbasę wyjebaną. Dostaję pięknie pokrojony kawał wołowiny i dwa kieliszki wódki.

– Sezonowana polędwica limousine, emulsja musztardowa, świeży lubczyk, szalotka, ogórek kiszony z Hajnówki, żółtko w temperaturze sześćdziesięciu czterech stopni – prezentuje kelner. – Do tego pozwoliłem sobie dobrać rzemieślniczą wódkę Dwór Sieraków z pieprzem...

Wypijam chłodną wódkę w zmrożonym kieliszku. I od razu mi lepiej. Mieszam tatara i słucham, jak obok mnie rozmawia dwóch mężczyzn w okularach i szarych, smutnych garniturach.

*Udany związek, czyli, jak to mówi Eustachy Ryłski, ona mnie kochała, a ja jej ani trochę.*

W sumie nawet mądre – myślę. – Ciekawe, kim jest ten Ryłski. Pewnie jakiś tiktoker.

Telefon.

No nie.

Dzwoni.

Telekonferencje dzisiaj sobie urządzają. Kobiety. Widać jedna wyczuwa od razu drugą. Patrzę na wyświetlacz i od razu w żyłach gotuje mi się smoła.

Alicja.

Chyba nie łałaś, lambadziaro. Wszystko, wszystko można wybaczyć. Ale nie zdradę. Najważniejsze w życiu to nie być szmaciarzem. Ani szmatą.

Jeden dzwonek, drugi, piąty. Dzwoni sobie, dzwoni, dzwoneczku. Do usranej. Niech cię dupa poszczypie. Turlam grzybkiem po talerzu.

Koniec.

Podwójny sygnał SMS.

Nie odczytam.

Nie ma mowy.

Kolejny kęs.

Ten tatar jest naprawdę niezły.

Kolejny kieliszek.

Czytam.

Wpadnij do mnie. Mam dla Ciebie kasę. Swoją drogą, szkoda, że nie masz normalnego telefonu. Podesłałabym Ci nagie foty. Mam na Ciebie straszną ochotę, Drwalu. Straszną ochotę, abyś mnie porządnie wypierdolił.

Jasne. Zadzieram pantalonny i lecę. Za dużo płynów albo substancji kojących.

Co mówiła warszawianka? Przyjedź po mnie?

Prosto z obiadu idę do recepcji.

Jeremi. Potrzebuję Jeremiego.

\* \* \*

– Doskonały wybór – mówi mężczyzna w przyciasnej różowej koszuli. – Faceci zastanawiają się, co jest magnesem na kobiety. To jest magnes na kobiety. Uczciwie dodam, że na facetów zresztą też.

– Ile? – pytam.

– Na sześć dni? – upewnia się mężczyzna i oblizuje usta.

– Sześć. Nie więcej – mówię.

– Biorąc pod uwagę, że przyszyła pana Jeremiasz, to będzie sześćset na dobę i piętnaście tysięcy kaucji.

– Gotówka może być?

\* \* \*

W końcu wiem, jak się nazywa dzielnica, w której jestem. Saska Kępa. Stoję pod blokiem warszawianki i czekam, aż hrabianka wreszcie zejdzie. Piętnaście minut temu powiedziała mi, że będzie za trzy minuty. Przewiduję jeszcze najmarniej dychę, bo mówiła coś o malowaniu rzęs.

Powietrze jest gęste jak budyń Doktora Oetkera.

Stoję w białej koszuli z podwiniętymi rękawami i w pijących w dupę dżinsach, na widok których sprzedawca prawie doszedł.

Teraz jednak rozumiem, że dałem się przyciąć w chuja i po prostu kupiłem kilka par niewygodnych, za to drogich spodni.

Stoję, opierając się o auto, palę blanta i patrzę na klatkę, z której właśnie wychodzi młoda dziewczyna w szarych spodniach od dresu i bejsbolówce na głowie. Czarne włosy. Dobry tyłek. Nawet ładna, ale zdecydowanie za młoda. Ma góra szesnaście lat. Nigdy nie kumałem, jak dorosły facet może się bujać z taką małolatą.

Dziewczyna zatrzymuje się przy jezdni i najwyraźniej na kogoś czeka. Nie trwa to za długo. Podjeżdża czarny cls na warszawskich blachach. Małolata wsiada do środka.

Randka z jakimś bananem, który pożyczył furę od ojca?

Kończę packa jednym długim buchem. Akurat szukam jakiegoś śmietnika, kiedy merc zawraca na rondzie i odwozi dziewczynę z powrotem pod klatkę.

Ta, wyraźnie zadowolona z siebie, wysiada z auta i wraca do chaty.

Merc majestatycznie odjeżdża. Całość trwała dwie, może trzy minuty.

Kiwam głową ze zrozumieniem. Jak człowiek pracuje w branży, to doskonale kuma, co się dzieje. Małolata najwyraźniej zakupiła sobie kilka gramów koks. Ze wszystkich narkotyków tylko kokaina do ciebie przyjeżdża.



Ta Warszawa to jednak zdegenerowane miasto. Każdy grzech jest tu dozwolony. Wszystko można sprzedać, wszystko można kupić.

\* \* \*

Sara wychodzi z klatki. Chcę coś powiedzieć na temat jej obłądnego tempa, ale nie mogę. Ma na sobie krótką, ciemnoniebieską kieckę z rozcięciami z boku i gołymi plecami. Rozpuszczone, długie włosy. I wysokie szpile, na których kręci tyłkiem. Nie wiem, ile ma lat. Dwadzieścia pięć? Czterdzieści pięć? Bez znaczenia. Długonoga. Wysoka. Zimna twarz pięknej kobiety. Ma dzisiaj potworną moc. I wie o tym.

Jest zabójcza jak trucizna.

– Poprawiło ci się, widzę – mówi, obrzucając przychylnym spojrzeniem butelkowiezielony samochód.

Otwieram jej drzwi pasażera i zapraszam szerokim gestem do środka.

– Zawsze chciałem się przejechać maserati. Parę lat temu miałem takie marzenie, że sobie coś takiego kupię. GranTurismo, czterysta czterdzieści koni, cztery koma dziewięć do setki, jedzie dwieście dziewięćdziesiąt pięć na godzinę. Ale nie to jest istotne – mówię.

– A co? – pyta.

Przekręcam kluczyk.

– Silnik cztery koma siedem litra V-osiem – mówię i dodaję gazu. Na liczniku momentalnie jest dziewięćdziesiąt. Auto bulgocze jak wielki, wściekły pies. Czystą agresją. Czuję, jak przenika mnie dreszcz.

– I nie ma tu żadnego pierdolonego ekranu ciekłokrystalicznego, same analogowe – dodaję. – Dokąd jedziemy?

– Coś zjeść – odpowiada.

– Na co masz ochotę? – pytam.

Uśmiecha się.

– Szampejn, homary, ostrygi....

– Prowadź – mówię.

– Możesz na mnie dzisiaj wydawać – mówi. – Pozwalam ci.

\* \* \*

– Masz w klatce taką małąlatę. Z szesnaście lat – mówię.

– Widzę, że zmieniasz zainteresowania. – Krzywi usta, jakby rozczarowana. – Jak to mawia moja przyjaciółka Paulina<sup>17</sup>: facet zawsze wybierze młodszą, niższą i głupszą.

– Aha.

Myszę o Kamili. Czy jest głupsza?

– Czarna czy ruda?

– Małolata? Czarna.

– Znam. Niezły numer. Ostatnio, jak ktoś ją robił, tak jęczała, że się po całym patio nosło. A sąsiad na balkonie nade mną zaczął jej klaskać. Na Tinderze ma opis: „Potrzebny jest tatuś, który mnie zdominuje. Umieć miauczeć i ładnie jęczeć”.

– Szesnaście lat – upewniam się.

– One wcześniej teraz zaczynają. – Sara wzrusza ramionami. – Zresztą czego się spodziewać, jej starzy są prawnikami.

Krótko opowiadam scenę z mercem.

Warszawianka kontroluje swoje usta w lusterku, po czym zastanawia się chwilę.

– Moja koleżanka ma dzieci w takiej prywatnej szkole – mówi w końcu. – Wiesz, z tych, co to dzieci do szkoły osobisty szofer przywozi, a czasami z pikników są zabierane śmigłowcami. Jak pojechali na zieloną szkołę, to do pięciogwiazdkowego hotelu. A kielbasy na ognisku piekli im kelnerzy we frakach. I ta koleżanka mi mówiła, że już w trzeciej klasie dzieci zaczynają się tam ciąć. Świat się zmienia, Drwalu. Zresztą małąlaty zawsze są popieprzone. Jak byłam w liceum, to robiłyśmy z dziewczynami taki test. Jedna zakładała na głowę torbę z otworami na oczy. I stała naga.

– Po co? – dziwię się.

– Reszta oceniała jej ciało. Że dupa za gruba, że cycki za małe, że zaczynają wisieć, że fałdka na brzuchu, że kostki jakieś dziwne, dłonie brzydkie. Nikt nie jest bardziej pierdolnięty niż nastolatki – mówi. – A ja

byłam wtedy taka piękna. Młodym dziewczynom zawsze się wydaje, że są brzydkie. Ale jak na siebie patrzą dziesięć lat później, to dopiero wtedy dostrzegają, jakie były głupie – mówi.

Przerwa.

– A ty nie chcesz?

– Co?

– Mieć dzieci?

– To propozycja? Dopiero się poznaliśmy. – Jej oczy są gęste jak melasa. – Kiedyś byłam w ciąży.

– Ale?

– Ale już nie jestem. I już nie chcę mieć dzieci. Faceci zresztą zazwyczaj też nie. Ze dwa lata temu zaczęłam się spotykać z jednym kolesiem. Miał czterdzieści sześć lat. Pierwsza randka. Coś tam gadamy. Mówi mi, że ma córkę, wtedy trzynastoletnią. Pytam go, czy chce mieć jeszcze dzieci. A on: „No taak, wiesz, jak znajdę odpowiednią kobietę, to pewnie, no tak, czemu nie, wiadomo”. Ja: „Ja nie chcę mieć dzieci”. On: „Jezu, kurwa, ja też już nie”.

\* \* \*

Knajpa wybrana przez warszawiankę jest niedaleko głównego deptaku turystycznej Warszawy, czyli przy Trakcie Królewskim.

Rozglądam się ciekawie po wnętrzu, czekając na kogoś z obsługi. Ceglane ściany, wyglądające na miękkie, fioletowe krzesła, wysokie kieliszki, nic szczególnego, nic, co by mnie zaskoczyło.

W środku dużo młodych kobiet, z tego, co widzę, same Bułgary, bimbały na wierzchu.

Kelnerka wyrasta z nienacka. Jest chuda, wręcz wygłodzona, wygląda jak początkująca modelka, hodowana jedynie na wacikach nasączanych wodą.

– Mają państwo rezerwację? – pyta.

– Nie – odpowiadam.

Z automatu robi smutną minę, jakby zdechł jej pies.

– Niestety, nie mamy dzisiaj wolnych miejsc – zaczyna, ale dostrzega warszawiankę i jej oczy nagle jakby zaczynają ją kojarzyć. – Dzień dobry, pani Saro, naprawdę nie mamy miejsc – zaczyna terkotać. – Może za trzy kwadransiki coś się zwolni? Posadzę państwa przy barze...

Jeżeli czegoś się nauczyłem o tym mieście, to tego, że pieniądze załatwiają tutaj wszystko. Strzelam, że kelnerka złamie się góra przy pięciu paczkach.

– Ja pogadam – mówię uspokajająco do warszawianki.

Ta wzrusza ramionami, ale cofa się kilka kroków.

– Na pewno to jest problem, który możemy rozwiązać – mówię i sięgam do kieszeni po dwie setki, aby należycie podnieść swoją pozycję negocjacyjną.

– Drwalu? To ty?

Przez moment głupieję, ale dostrzegam niskiego, łysego mężczyznę, który podchodzi do mnie zdecydowanym krokiem. Ma za ciasną marynarkę, która opina się do granic możliwości na ekstremalnie dopompowanym ciele.

– Cześć, Mario – mówię.

– Patrzę i oczom nie wierzę. Stary zawodnik drużyny ZK Włocławek. Daleko jesteśmy od srania do jednego kibla na środku ośmioosobowej celi, co, mordo? – pyta Mario i się uśmiecha.

Ten uśmiech wygląda jak pękająca rana. A on jak automat do coca-coli.

Z Mariem kiblowaliśmy razem we Włocławku przez jedenaście miesięcy. Później go przenieśli. Siedział za udział w bójce, w której następstwem był ciężki uszczerbek na zdrowiu.

Ale tak naprawdę to był w grupie niejakiego Ojca, który ulepił swoją organizację na bazie kiboli Legii. Przechwalał się, jak to handlowali dragami i psychotropami, ale już na kilogramy, a właściwie dziesiątki kilo.

Ich specjalizacja to kastety i wybijanie zębów młotkiem.

– Co ty tutaj robisz? – mówię i zbijam z nim piątkę.

– Tata ma udział – uśmiecha się Mario. – Ktoś musi pilnować, żeby nie ruchali nas na kasie. A ty?

Pokazuję na warszawiankę.

– Fajna dupa. – Mario kiwa głową z aprobatą. – Zdrowa.

Żuje gumę. Widzę, jak rytmicznie porusza się jego szczęka.

– Beatka – zwraca się do kelnerki, która przed momentem domagała się od nas rezerwacji. – Stolik dla państwa. Ale bardzo dobry stolik. I szampejna. Na nasz koszt.

– Ale... – zaczyna kelnerka.

– Czy ty wiesz, kto to jest? To jest VIP – mówi surowo Mario i pokazuje na mnie. – Ktoś poczeka, a pan Drwał czekać nie może. On się już w życiu naczekał.

Kelnerka znika, jak telewizory z tira na granicy białoruskiej.

– Coś polecasz? – pytam.

Mario się krzywi.

– Bleh, znasz mnie, żadnych lobsterów do ryja ani ośmiornic. Świnie i ziemniaka, a nie jakieś pojebane stworzenia o wielu odnóżach i oczach. Ale z całą pewnością nie bierzcie muli. Z wczoraj jeszcze zostały. Kucharz je zapieka z masłem czosnkowym, żeby do śmieci tego gówna nie wywalać. Ale na bank dostaniesz szraczki – ostrzega. – Jedyne plus, że to nie jest ta jebana potrawka z kurczaka, którą nam we Włocławku podawali...

\* \* \*

Młoda kobieta wskazuje nam stolik koło okna, zdejmuje tabliczkę z napisem „Rezerwacja” i przynosi karty. Ma blade, pełne policzki i czarne, starannie związane włosy. Wygląda na studentkę.

– Co podać na początek? Zaraz przyniosę szampana od pana Mariusza...

– Dla mnie Pornstar – mówi warszawianka. – Mam bardzo konkretne plany na wieczór.

Patrzy na mnie. Wymownie. To chyba o mnie.

– Cudownie. – Kelnerka się sztucznie rozpromienia. – A dla pana?

Zastanawiam się właśnie, jaką mieszanką leków rozkręcić ten wieczór. Ale może najpierw coś w gardło? Jak to mawiał ten skurwiel Boczek: „Najpierw szklaneczka, potem szameczka!”.

Chuj mu jednak w dziąsło.

- Wódki mi pani da – mówię. – Seteczkę. Na rozkręcenie wieczoru.
- Będą państwo coś jedli?
- Zdecydowanie – odpowiada moja towarzyszka.
- To jeszcze lepiej – odpowiada kelnerka i puszcza do nas oko.

Warszawianka na przystawkę dla nas bierze zestaw dwunastu ostryg. Do tego, już tylko dla siebie, małego homara z frytkami, serem pleśniowym i kurkami. Myślę długo nad kartą, w końcu też wybieram homara. Kiedy próbować nowych rzeczy, jak nie przed śmiercią?

Stolik obok jakiś facet w typie oliwkowy pajac w drogim dresie i złotej kecie na szyi drze japę, rozmawiając przez telefon.

– Cześć, mordo. W knajpie, a gdzie? Umówiłem się na randkę. Jak to skąd? Z Tindera. Na zdjęciach wygląda dollarsowo... A ja jestem młody. Piękny. I sławny.

Koło patrzy na mnie, jakby upewniał się, czy aby na pewno ma publiczność.

– Zakład, że ją dzisiaj przerucham? Ale o co się chcesz założyć? Dziesięć koła papieru? Dwadzieścia?

Znam ten typ. Idę o zakład, że koleżka ma zdjęcia dzieci w portfelu, żonę na chacie, a właśnie jest w trakcie gorącego wypadu na mieście.

Kelnerka przynosi wódkę i Pornstara. Otwieram swoją podręczną apteczkę, szukam i widzę, że jest jeszcze koncerta. Brązowa tabletką uspokaja i euforycznie klepie. Wyleczymy moje ADHD. Dwa razy po osiemnaście miligramów.

Z uprzejmości proponuję warszawiance pudełeczko, grzebie tam na chybił trafił, jakby grała w „Twoja twarz wygląda znajomo” albo w tej, no, „Szansie na sukces”, aż w końcu wyciąga tramal.

- Bardzo dobry wybór, pochwalam.
- Chcę też to, co ty – uśmiecha się zadziornie.

Ktoś do mnie dzwoni. Sprawdzam pod stolikiem. Nie znam tego numeru.

- To cię wywali w kosmos jak ruską rakietę – ostrzegam.
- Ostrzegasz czy zachęcasz?

Wzruszam ramionami i daję jej to, czego chce. W końcu jest dorosła.

Do oliwkowego przychodzi Barbie, jakby żywcem wyrwana z pudełka Mattela. Jeszcze zafoliowana. I cała z plastiku. Ma wielkie, sztuczne cycki, które zaraz wypadną z za ciasnej czerwonej sukienki.

Popijam tabletkę wódką, warszawianka swoje – koktajlem. Prawie od razu jest zaróżowiona na twarzy.

Żeby nie zostać w tyle, łożę jeszcze kieliszek przyniesionego szampana, bo szampan z każdym kieliszkiem jest lepszy, a świat wydaje mi się piękniejszy.

Krzesło jest wysokie. Doskonale widać sarnie nogi warszawianki, które wydłużają granatowe szpilki na wysokim obcasie. Mam ochotę, więc kładę dłoń na jej udzie. Jest ciepła jak owoc. Jak brzoskwinia nagrzana od słońca.

– To taki komunikat: „Ona jest moja”? Zaznaczasz swoją własność? – pyta.

– A co ty krowa jesteś, żeby cię znaczyć? – dziwię się. – Po prostu masz obłądne nogi. Chyba najlepsze, jakie widziałem w życiu.

(Poza Alicją, bo to były moje nogi).

– Wy faceci zawsze pociskacie takie głodne kawałki – prycha.

– Nie wiem, jak faceci, ja jestem szczery.

– To powiedzmy, że tobie wierzę – mówi i wkłada sobie moją dłoń między uda.

Zaciska je.

Mocno.

I patrzy mi w oczy, zbliżając swoją twarz do mojej.

– Masz, Drwalu, coś w kieszeni czy cieszysz się, że mnie widzisz?

Jest zadbana, jest elegancka, jest pociągająca, jest lekko pijana, a pijana będzie moja. Podoba mi się. Albo to leki weszły we mnie na miętko.

Przychodzi żarcie, wygląda przerażająco, jakbym jeszcze raz *Obcego* w kinie Diana na Kazimierza Wielkiego oglądał.

Biorę kawałek homara, ostrożnie wkładam do ust. Jem, żuję i przełykam.

– I jak ci smakuje? – pyta warszawianka. Łyka ostrygę, patrząc mi prosto w oczy.

– To – wskazuję na ostrygi – jak oślizgły glut z cytryną. Ale homar jest w sumie niezły.

– Mam słabość do owoców morza – wyznaje warszawianka. – Ostatnio nawet zrobiłam homara w domu. Po raz pierwszy w życiu.

– Poszłaś na Bazar Różycyiego, a tam obok krów i kurczaków latały homary.

– Prawie – chichocze. – Zadzwoiłam do mojej ulubionej Świtezi, obgadałam temat. Żywy lobster zamówiony i zaklepany, jak największy, bo wieczorem mieli przyjść znajomi, a ja lubię karmić ludzi. Wysłałam po niego asystentkę, miała go przywieźć i włożyć do lodówki. Do lodówki można martwego, i żywego też można, bo wtedy zapada w sen. Trochę się cykałam, ale wtedy pan ze Świtezi powiedział, że może mi go ubić przed samitkiem odbiorem. Już martwy, a jeszcze świeży, dwa w jednym.

– I kazałaś ubić? – pytam.

– Oczywiście, że nie. Ja nie dam rady? Żadne tam ubite. Wróciłam do domu. Patrzę na tego lobstera i w chuj mi go szkoda. Otworzyłam wino i zaczęłam się zastanawiać, jak go przyrządzę. Im dłużej piłam, tym bardziej gryzło mnie sumienie.

Zastanawiam się, kiedy ostatnio przyrządzałam sobie samodzielnie coś do żarcia.

Chyba jeszcze przed pójściem za kraty.

– Rozcięłam mu te gumki ze szczypców, wyjęłam z pudełka i stwierdziłam, że ostatnie godziny życia ten lobster spędzi zajebicie! I będzie szczęśliwy. Sobie dolałam wina na ucieszenie wyrzutów sumienia. Włożyłam go do wanny, wody nie żałowałam. I pomyślałam, a już nie byłam trzeźwa, że – zwierzę chyba morskie, nie? Więc woda będzie solona. Soli też nie żałowałam. Gruboziarnistej i różowej, tej no, himalajskiej. Dałam mu się nacieszyć życiem. Niech sobie popływa.

– Popływał? – pytam zdumiony.

– Nie do końca. Jak po godzinie wróciłam, żeby wyciągnąć Winiego z wanny, bo już go nazwałam, i wrzucić na wrzątek, to się okazało, że już zrobił mi tę przysługę i sam w wannie kopnął w kalendarz.



– Miło z jego strony – przyznaję.

Oliwkowy pajac w drogim dresie woła kelnerkę:

– Ty, młoda, chodź tutaj. Szybko.

– *Anyway* – kontynuuje warszawianka. – Jak później rozmawiałam ze specjalistami, to tę wodę niepotrzebnie dowalałam sołą. Choć muszę przyznać, że Wini całkiem smacznutki wyszedł...

– A ile razy opowiadałaś już tę historię?

– Tutaj? Na każdej randce. Z piętnaście razy najmarniej.

Szczerzę się paskudnie. Warszawianka jest suką z piekła rodem, ale bywa również naprawdę zabawna.

Facet z ketą na szyi znowu drze japę. Zaczyna mnie to wnerwiać. Strasznie nie lubię, jak ktoś się tak pucuje w restauracji.

– To danie jest obleśne, dlaczego mi je przyniosłaś? – mówi z pretensją, pokazując piętrowy zestaw z ostrygami, mulami, wielkimi robalami podobnymi do krewetek i chyba homarem. Fakt, nie wygląda to szczególnie. Ale to chyba nigdy nie wygląda.

– Ale pan to zamówił – tłumaczy bezradnie kelnerka. Ma w sobie jeszcze jakiś okruczeństwo niewinności.

– Zabierz to gównem ode mnie, nie zjem tego – prychnął dresiarz.

– Ale pan to zamówił – powtarza kelnerka, jakby nie rozumiała, co się dzieje.

– Głupia jesteś czy głucha? Kogo oni tu zatrudniają? – To już było do Barbii, patrzącej na niego z wyraźną fascynacją. – Ty nie wiesz, kim ja jestem?

Kolejny.

– Przepraszam cię na chwilę – mówię do warszawianki.

Wstaję, robię dwa kroki w stronę oliwkowego. Kładę mu rękę na ramieniu. Celowo. Żeby go wkurwić.

– Kolego, mógłbyś być grzeczniejszy? I przymknąć japę? – mówię. – Przeszkadzasz mi.

Gość patrzy na mnie i sprawia wrażenie, jakby zaraz miał mu wybuchnąć globus.

– Czy ty, kurwa, wiesz, kim ja jestem? – pyta.

Koleżka ma chyba jakieś problemy z identyfikacją. Cały czas powtarza tylko jedno zdanie.

Chce wstać.

Nie może.

Krzesło milimetr po milimetrze przesuwa się w tył.

– A wyładować ci w puzon? – proponuję, zdaje mi się, że uprzejmie.

Facet nagle otwiera i zamyka usta, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

– Boli – stęka.

To brzmi jak kołysanka z zamierzchłych czasów.

– Przepróż panią – mówię.

– Przepraszam – bąka oliwkowy.

– Głośniej – mówię i zwiększam nacisk na jego ramieniu.

Kolo się krzywi i kuli. Proszę, jeszcze całkiem nie wyszedłem z wprawy.

– Przepraszam – stęka ponownie. – Mordo, jest już dobrze – mówi do mnie błagalnym tonem.

– Dobry to jest schabowy i pomidorowa – odpowiadam. – Turlaj się stąd.

Wracam do stolika, w sumie z siebie zadowolony.

– Nie lubię, jak ktoś obraża kelnerki – wyjaśniam.

Warszawianka rzuca spojrzenie w kierunku dresa, który właśnie rzuca plik setek na stół, a teraz szarpie swoją pannę za rękę, usiłując wyjść z restauracji. Unika mojego wzroku. Mówi tylko do Barbie:

– Musisz mi szybko zrobić loda. Czuję się zestresowany.

– Ty wiesz, kto to jest? – szepcze warszawianka.

– A to akurat wiem.

– I?

– Łajza, co się fajda – odpowiadam.

– To raper Korek – mówi wyraźnie podekscytowana warszawianka. – Jest bardzo znany...

– Chyba szyszka w dupie, a nie Korek – prychem. Jak utknie, to ani w przód, ani w tył. Mam uczulenie na takich gości.

\* \* \*

Rachunek jest na dwa i pół koła, z czego serwis wynosi dziesięć procent. Rzucam trzy tysiące, a przy barze zamawiam jeszcze jednego szampana. Na wynos. Obraz zaczyna mi się rozmywać przed oczami. Mrugam. Wraca ostrość. Proszę, jesteś załadowany jak toi toi na festiwalu. Stoimy obok auta na parkingu. Obok jest pomnik Kopernika. Odstawiam otwartą butelkę szampana na chodnik.

– Pocałuj mnie – żąda Sara.

Całuję. Głęboko. Jej usta są nieprawdopodobnie miękkie. Nagle szeroko je otwiera. Nasze języki zaczynają grać między sobą. Aż wbija zęby w moje wargi. Złośliwa małpa. Czuję ekstazę.

– Tańczymy – wydaję rozkaz.

– Słucham?? – pyta warszawianka.

– Tańczymy.

Otwieram drzwi od samochodu i puszczam pierwszą lepszą stację.

Radiohead.

*Creep.*

Proszę, martwa, dudniąca muzyka. Kawalek ze śmietnika historii, kiedy latałem po mieście w subaru, z głośnikami rozkręconymi na ful, a woda lała się strumieniami.

Świat bez większych zobowiązań. Kupić, sprzedać, bawić się, czasami dać komuś po ryju, ale w sumie to też była zabawa.

Kiedyś, z jakąś kobietą, jazda samochodem na plażę.

Kąpiel w zimnym Bałtyku, jej nagie ciało pokryte solą. Która to była? Twarze się mieszają, pośladki się mieszają, cycki się mieszają.

Nic już nie pamiętam. A wtedy wydawało się to najważniejsze na świecie.

– W życiu! – protestuje Sara.

– Chcesz powiedzieć, że nie dasz rady?

Coś w jej oku nagle błyszczący, jakbym pociągnął wilczycę za ogon.

Biorę ją za rękę.

I tańczymy. Tuż pod pomnikiem Kopernika, który wygląda jak podstarzały dziadek parkingowy, siedzący na dzbanie. Prawa, lewa i jeszcze raz. Przechyliam ją do tyłu. Obrót. Obrót. Ogień tryska gdzieś z mojego środka. Dobra informacja jest taka, że tablety działają. Przechodząca obok para dzieciaków zaczyna nam klaskać. Kłaniamy się.

Biorę butelkę. Już, już chcę podać ją warszawiance, kiedy nagle zmieniam zdanie. Zdejmuję jej but i nalewam do niego szampana.

A później wypijam.

Sara opiera się o bok samochodu i śmieje się histerycznie. Jej mózg, napędzany przez piguły mocy, właśnie zamienił się w Disneyland.

– Jesteś piękna i jesteś suką – mówię. – Właśnie w tym momencie.

Biorę ją na ręce.

Zdejmuję jej drugą szpilkę i rzucam ją gdzieś za siebie. Po czym wkładam Sarę do auta i zamykam drzwi od strony pasażera.

Siadam obok niej. Pijemy szampana z gwinta.

– W czym będę chodzić? – pyta, a jej oczy świecą jak dwie lampy.

– Na razie ponoszę cię na rękach. A później kupię ci nowe – mówię.

Oddaję jej butelkę i dodaję gazu. Maserati wściekle bulgocze.

Skręcam na most.

Miasto miga światłami. Noc rozdziawia swoją paszczę. Po czym nas połyka. W całości.

\* \* \*

Warszawianka stoi na klatce, na bosaka oparta o ścianę przy drzwiach wejściowych do swojego mieszkania. Obracam ją tyłem. Podnoszę jej ręce.

Widzę nagą, błyszczącą dupę. Ciężkie piersi wylatujące ze stanika. Rozpinam rozporek. Nie muszę sobie pomagać ręką, po prostu wchodzę w nią jak w idealnie dopasowaną rękawiczkę.

Napiera na mnie.

Wygina się.

Jest miękka. Jest w takim stanie, że nie interesuje jej, jak wygląda, tylko chce więcej i więcej, i mocniej. Poczuć, ugryźć, posmakować. Jeszcze raz. I jeszcze. Kiedy cycki jej eksplodują, kiedy czuje pulsowanie od spodu, a ciągle jest mało, mało i MAŁO.

Biorę jej biodra mocno w ręce i nabijam ją raz za razem. Sapie. Jęczy. Poddaje się.

A kiedy zaczyna gryźć swoją rękę, otwieram drzwi i rzucam ją na łóżko.

Gryzie moje usta. Ma ostre paznokcie. Niczym szpile. Wbija mi je w plecy. Przebija mi skórę na bokach. Zostawia krwawe szramy.

Miks piguł i alko, który braliśmy, jakoś mnie znieczulił, bo wsadzam jej w każdy otwór i nic.

Nie mogę dojść. Próbuję dojść.

Kładę ją na brzuchu. Uderzam mocno biodrami o jej tyłek, jęczy cicho przy każdym ruchu, wypinając go mocniej, zaciskając się na moim fiucie.

– Co ty ze mną robisz? To wspaniale – jęczy. – Mocniej. Skurwysynu!! MOCNIEJ!!! Błagam.

Nie ma nic piękniejszego niż silna kobieta, nad którą przez moment całkowicie panujesz.

– Po-do-ba-ci-się? – dyszę.

Przewracam ją na plecy. Brutalnie.

Gryzę jej sutki. Zatapiam twarz w jej piersiach. Czuję jej zapach.

Czuję, jak jest śliska.

Mam na nas pot nas obojga.

Coś mówi.

Coś krzyczy. Nie słucham.

Oddycha szybko i nierówno. W końcu wchodzi na mnie i skacze przez chyba dwadzieścia minut. Nie ma nic piękniejszego niż naga kobieta, która cię ujeżdża. Nawet jeśli ma rozmazany makijaż i potargane włosy.

Ściskam ją za cycki. Trzymam ją za ręce. Wbijam palce w jej pośladki. W końcu strzelam klapsy w jej mokry tyłek. Ma być mocniej. I jest mocniej. I jeszcze mocniej...

Wygina się na wszelkie możliwe sposoby.

W końcu pada na łóżko cała mokra, trzymając razem uda i drżąc. Leży jak odstrzelona łania.

Klepię ją po biodrze i idę do barku, gdzie bardzo solidnie nalewam sobie wina do szklanki, po czym wypijam duszkiem. Ciepłe, obrzydliwie słodkie. Sprawdzam butelkę: sherry, dwadzieścia procent.

Nalewam znowu.

Czuję się, jakbym miał zaraz mieć zawał. Coś mnie mdli. Zupełnie jak wtedy, kiedy lata temu dawałem kobiecie klapsy w dupę i przez przypadek, przy jednym walnięciu łapa mi się obsunęła i walnąłem się w jaja.

Za stary jestem już na to.

Jak ptak dodo.

Przestajesz latać, tyjesz, a holenderscy żeglarze jedzą cię w drodze do domu.

### **Czas do śmierci: 0 dni**

Coś mi łomocze w głowie. Jest ściśnięta niczym w imadle. To są skutki picia wódki. I nie tylko wódki. Chcę wody. I jakieś piguły z listą przeciwwskazań dłuższą niż moja noga. Kanister zaraz mi eksploduje. Niechętnie otwieram oczy. Sufit. Zasłony są opuszczone. Wielki telewizor na ścianie. Interesujące. Jestem w hotelu. Jestem nagi. Kutas mi sterczy.

Coś dzwoni?

Macam ręką. Ciepłe ciało. Ktoś tam jest. Na bank kobieta. Potrafię jeszcze odróżnić ciało kobiety od ciała faceta. Jest miękkie. Jest delikatne. Sara???

Ja pierdolę, Dzień Świstaka. Przekręcą łeb na bok.

Tężeję.

Kurwa, ale co to jest? Kto to jest? Długie blond włosy. Goła dupa, wielkie cycki rozlewają się na boki. Wielkie wary. Rozłożone uda... Cipa na wierzchu.

Jak ja się tu znalazłem???

Skąd ona się tu wzięła???

Co tu się odpiardoliło???

Odwracam od niej wzrok. To za moment, to za chwilę. Spokojnie. Po kolei. Telefon. Dzwoni. Podnoszę go z szafki nocnej. Nieznany numer. Naciskam zieloną słuchawkę.

– Cześć, Drwalu.

Znam ten głos. Bardzo dobrze znam ten głos. Tylko dlaczego dzwoni do mnie z tego numeru? Coś się stało. Coś się musiało stać.

Głos pyta:

– Pamiętasz, jak handlowałeś perfumami?

Drgam. I momentalnie trzeźwieję. Z perfumami to było tak, że kundle z CBS zlikwidowały nielegalną rozlewnię koło Grodziska, gdzie na przemysłową skalę robiono podjebki największych marek. Do mediów poszło, że zabezpieczyli ponad trzysta tysięcy flakonów wartych koło dziesięciu baniek. Tyle że towaru było znacznie więcej. Zegarki. Ubrania. Buty. Psy zaczęły tym handlować. Ale słabo im to szło. Szukały jakiegoś kontaktu.

Węc pewnego dnia Rafix zadzwonił do mnie, że jest możliwość przytulenia za niewielki szmal kilku palet butów i perfum. Normalnie się nie zajmowałem takimi rzeczami. Ale interes był z gatunku tych, że tylko idiota by nie skorzystał. A sprzedawać potrafiłem. Poza tym skoro nagrał to Rafix, to nawet za bardzo nie mogłem odmówić.

Pojechałem więc do Pruszkowa wielkim dostawczakiem, pożyczonym od znajomka. Na miejscu czekało na mnie dwóch kretynów. Wyglądali, jakby się urwali z jakiegoś hiphopowego teledysku, w za dużych bluzach z napisem Gucci, ciemnych okularach na pół twarzy i w czapkach Icon.

Strasznie nerwowi byli, jakby pierwszy raz w życiu podobny numer kroili.

Gadka się za bardzo nie kleiła, pomyślałem: „Co za pajace”, ale transport faktycznie był prima sort, więc hajs poszedł z rąk do rąk.

Kiedy wróciłem do Kombinat, Rafix, któremu odpaliłem dolę za udział, uświadomił mnie, rycząc przy tym ze śmiechu, że zabebany towar sprzedali mi agenci CBS, którzy postanowili sobie dorobić do pensji.

Później zresztą postawiono im za to zarzuty. Wysypali się przez przypadek. Jeden z psów wbijał się regularnie w sekretarkę wydziału. I zostawił ją dla jakiejś nowej dupy. A sekretarka, jak to rzucona kobieta, postanowiła w zemście donieść o wszystkim, co wiedziała, gorze.

Dużo kasy wtedy zarobiłem. A pół Kombinatoru chodziło w podrabianych butach Nike i pachniało Si albo Black Opium.

– Pamiętam – mówię krótko.

– Kolesie od perfum zobaczyli ten film na TikToku i nagle bardzo chcą z tobą gadać – cedzi Rafix. – Bardzo ich interesuje nawiązanie kontaktu z Alicją. Bardzo. I czują, że ty możesz im to bardzo ułatwić. Kumaszu, Drwalu?

– Tak – mówię.

– To dobrze.

– Ale... – zaczynam, ale Rafix właśnie się rozłączył.

W sumie nie było tu za dużo do dodania.

Jego komunikat był prosty. CBS na ciebie poluje. Chcą, żebyś podał im Alicję.

Dzwonek telefonu. Jeszcze raz. Melodia wierci mi mózg.

– Rafi, dzięki, chłopaku, ale powiedz mi jeszcze...

– Eee... Cześć, Drwalu... – W głośniczku słychać zalotny i zachrypnięty głos warszawianki. – Jak się masz?

– Strzała – mówię ponuro. – Jak...

Patrzę jeszcze raz na blondynkę leżącą koło mnie. Ciężko oddycha. Ma wielki tatuaż na udzie. Głowa kobiety. Z różami zamiast włosów. Kto to jest???

– Powiedz mi, jak ja się znalazłem w hotelu?

– Normalnie – dziwi się. – Wypiłeś do końca wino. Wylizaleś mnie dwa razy. Bardzo ładnie, przyznaję. Później wrzuciłeś jakąś tabletkę z tego swojego neserka, klepnałeś mnie w dupę i powiedziałeś, że będziesz już szedł.

– Aha. A wiesz przypadkiem, co zrobiłem z samochodem?

– Zamówiłam ci Ubera. Łatwiej byłoby ci fruwać niż jeździć.

Nie wiem, co wzięłam, ale to musiało być coś naprawdę mocarnego. Ostatni raz film mi się urwał ćwierć wieku temu na działce u kumpla, kiedy



wódkę popijałem porterelem. Ale to było dawno. W świecie, którego już nie ma.

– Ale pamiętasz o dzisiaj? – upewnia się warszawianka.

– Co mam pamiętać? – dziwię się.

– Umówiliśmy się, że idziesz ze mną na imprezę firmową wieczorem. Na dwudziestą pierwszą.

Już chcę protestować, ale blondyna się porusza. Łypie na mnie zielonymi oczami oblepionymi plamami jak panda, po czym jej dłoń zaczyna się przesuwać w kierunku mojego fiuta. Jakby to miał być uchwyt umożliwiający jej wstanie.

– Dobra – kapituluję szybko. – Zobaczymy się wieczorem.

\* \* \*

– Kim ty jesteś?

– Kurwą. – Kobieta trzepocze rzęsami.

No tak. To wiele wyjaśnia.

Przekręca się zalotnie na brzuch. Pokazuje ciężkie, brazylijskie pośladki.

– Jak ty właściwie masz na imię? – pytam.

– Wybierz sobie – mówi.

Tak to my się nie dogadamy. Macham zniecierpliwiony ręką.

– Sabina – odpowiada kobieta.

Jej język powoli oblizuje moje podbrzusze. Pulsują mi skronie.

– Ale masz fajną laskę – mówi Sabina. – Naprawdę. To chyba najładniejszy kutas, jakiego w życiu widziałam. I duży. I gruby. I prosty. Mogę spróbować?

Jej język dotyka mojego czubka.

– Spokój mi tutaj – przerywam. Nie lubię, jak kobieta mi ulega, bo jej za to płacę.

Kobieta cofa język.

– Dobra, Sabina. Jak się tutaj znalazłaś?

– Spotkaliśmy się w hotelowym barze. Postawiłeś wszystkim kolejkę. Przysiadłam się do ciebie. Powiedziałeś, że seksu nie chcesz, ale przyda ci się masaż pleców...

Dalej nie słucham. Przekręcam się bardziej w lewo. Biorę z szafki pudełko z lekami. Otwieram. No, proszę, było pełne, a jest już w połowie puste. A może w połowie pełne? Biorę medikinet. To pochodna amfetaminy. I mam wrażenie, że działa szybciej niż concerta, mimo że to ponoć to samo.

– Dasz mi coś też? – prosi.

Bez słowa podaję jej pudełko. Sabina wybiera sobie pierwszą z brzegu tabletkę, po czym kładzie ją sobie na języku, jakby przyjmowała hostię.

Połyka. Kolejna, proszę. Dawniej kobietom dawało się kwiaty. I te, no, czekoladki.

Mój mózg pracuje nagle na przyspieszonych obrotach.

CBŚ. Alicja. Nie chcę myśleć o Alicji. To ostatnia rzecz, o jakiej chcę teraz myśleć.

Kamila. Nie chcę myśleć o Kamili.

Sara. Nie wiem, o co jej chodzi, nie wiem kompletnie.

I jeszcze ta kurwa.

Wstaję. Słaniając się, idę nagi do łazienki i rzygam. Jak widać, homar i szampan postanowiły się rozwieść. Wyrzyguję leki, alkohol, homara, zapach kobiet i całe swoje życie. W końcu wstaję znad kibla i myję zęby.

Kiedy wychodzę, Sabina leży na łóżku. Włączyła telewizor i ogląda „Top Model”. Na ekranie jakaś wychudzona kobieta szykuje się do rozbieranej sesji.

Podomka z jedwabiu ślizga się na jej piersiach.

Żołądek ssaniem domaga się czegoś do żarcia. Głowa domaga się czegoś do picia.

Plecy mnie bołą.

Biorę do ręki hotelowy telefon.

– Chcesz śniadanie? – pytam Sabinę.

\* \* \*

Płacę prostytutce jej stawkę, czyli trzy tysiące złotych. Dorzucam pięć stów napiwku. Choć w sumie to nawet nie wiem za co. Uśmiecha się do mnie, ale

tak naprawdę do pieniędzy, całuje w policzek, jej szlafrok się rozchyła, ona naga, ja w bokserkach. Między nogami jest całkiem wygolona.

Pamiętam, że w latach dziewięćdziesiątych kobiety miały tam dziki busz. Dekadę później wąski pasek, który z każdym rokiem był coraz to węższy. A teraz nie mają nic.

Sabina patrzy mi w oczy i poprawia swoje długie blond włosy. Jej piersi przetaczają się powoli na boki. Sutki są duże i sterczące. Kurewskie sztuczki, kurewskie jęki.

Dobrze wie, jak jej ciało działa na mężczyzn. I doskonale wie, jak wyją i zaciskają zęby, kiedy dochodzą, widziała to wielokrotnie i na nią to już od dawna nie działa.

Na mnie też.

Wcześniej naruszam przywieziony na wózku omlet. Sabina je jakąś sałatkę z owoców, płatki z jogurtem, jajka na miękko i połówkę grejpfruta.

Naruszam więc swój omlet, naruszam chrupiący boczek, jem croissanta z nutellą, muffinem i kawałkiem białej kiełbasy gardzę.

Popijamy to wszystko świeżo wyciśniętym sokiem z pomarańczy, kawą i szampanem, który na etykiecie ma napis Moët & Chandon Brut Imperial.

Ale tak naprawdę wracam do siebie, kiedy wychylam kieliszek zimnej wódki.

Kiedy Sabina wychodzi, całuje mnie w policzek. To rozumiem. Znam to. Radość z zakończenia dnia pracy.

\* \* \*

Wychodzę z wanny, patrzę jeszcze raz na Pałac Kultury. Lubię ten widok. Uspokaja mnie. Cienkie strugi wody spływają mi po ciele.

W pokoju na telefonie mam kilka nieodebranych połączeń i dwa SMS-y.

Pierwszy od warszawianki, poznaję od razu, sam konkret:

Gdzie, co i kiedy. Włóż ten czerwony garnitur, proszę. Do twarzy Ci w nim.

## Drugi od Alicji.

Ponoć jesteś w Warszawie. Może wpadniesz? Mam wolną chatę na Moko. A rano zrobię Ci kawy. Chodź. Pogadamy.

Czytam dla pewności jeszcze raz. Podmiot liryczny zawarł w utworze dwa komunikaty. Pierwszy jawny – obietnicę seksu.

Drugi ukryty – tak, zdecydowanie, mam przejebane. Alicja chce mieć pewność, że nic, co o niej wiem, nie zostanie przekazane psom. I jest tu gotowa na daleko idące figle. Moim kosztem, rzecz jasna.

Ale co ona może mi zrobić, czego sam zrobić nie mam zamiaru?

\* \* \*

– Impreza jest firmowa. Pracownicy, klienci, trochę żon. Jak by ci tu wszystkich przedstawić... – zastanawia się warszawianka.

Stoimy w restauracji, w dzielnicy, która nazywa się Wilanów, gdzie ponoć wszyscy są sobą zachwyceni i wszyscy zrobieni jak z jednej linii produkcyjnej.

– Widzisz tę młodą, pyzatkę? Ma trzydziestkę, wygląda na dwadzieścia pięć. Dyskretnie – syczy ostrzegawczo. – Nie obcinaj jej tak ordynarnie. – To jest Martynka. Pięć dni w tygodniu fitness club, sałatki, ale w piątek byś się z nią dogadał...

– Lubi starszych?

– Nie. – Warszawianka się uśmiecha złośliwie. – Lubi koks i piguły. Ale mefedron też może być. W niedzielę wstaje koło południa, zmienia pościel po kolesiu, który był w sobotę, zastanawia się, czy na pewno założył gumę, wali coś na uspokojenie i idzie z koleżankami na jogę z pieskami. Warszawska lala, Bali, Singapur i Wietnam, święta w Berlinie, zima w Bangkoku. Później będzie dziecko.

Przyglądam się kobietom stojącym w kacie. Różne są: blondynki, brunetki, nawet jakaś ruda się trafi. Wielkie, ciężkie cyce i małe dziewczęce piersi, wszystkie dobrze umalowane, dobrze ubrane i zadbane, pociągające świeżością, którą daje młodość.

– Większość z tych dziewczyn, co tam stoją, to singielki. Stać je, żeby puścić półtora koła w weekend po knajpach, ale nie stać na ratę za mieszkanie, bo normalne mieszkania to teraz w Warszawie chodzą po milion i więcej. A one mają duże wydatki.

– Motywujące – mówię. – Szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziałem. Bardzo obiecujący rynek zbytu.

– Tam masz drugą kategorię: mężatki. – Sara pokazuje grupę kobiet stojącą koło okna i gadającą zawzięcie. – Widzisz, jak kwaczą do siebie i hardo spoglądają? Jak to mówi jeden kolega z mojego działu, nie ma takiej mężatki, której nie można zaliczyć. Zawsze są znudzone i zawsze chcą, aby ktoś ich znowu pożałował. Dadzą dupy za samą obietnicę uwagi. Ci tam – pokazuje na grupę facetów koło czterdziestki, polskim wzorem ostro już walących gołdę – to klub kombi. Sami szczęśliwi mężowie i ojcowie. Zaraz będą szukali jakiegoś bzykanda na boku. Powiem szczerze, mnie to mierzi – wyznaje Sara.

– Że zdradzają? – pytam.

– Nie. Że zdradzają, choć ich na to nie stać.

Sara dostrzega mój zdumiony ryj.

– Mężczyzna musi zasłużyć na to, aby móc zdradzać swoją kobietę – tłumaczy jak dziecku. – Jak masz faceta, który zarabia dziesięć czy piętnaście tysięcy i on zabiera swoją kochankę na weekend do luksusowego hotelu, to jest świnią i cham, który odejmuje jedzenie i rozrywki od ust swojej żonie i dzieciom. Ale jeśli żona mieszka w dupiastym apartamencie na Marinie, z tarasem i pokojówką, albo w wielkiej chałupie w Konstancynie, to niech pruje się z jakimś glonojadami, ile chce. Zasłużyła na odrobinę relaksu. Warszawa kocha zwycięzców. Rozumiesz?

– Pewka. Żeby zdradzać, musisz mieć pieniądze. A tam? – Wskazuję kąć sali, gdzie kręci się kobieta wyglądająca jak gruba sowa w towarzystwie bruneta w typie ulubiony zięć teściowej. Alvaro, Alvaro.

– Tam nie idź. Tam sama góra stoi. Nie wiadomo, co odjebiesz. Widzisz tego bruneta?

Kiwam głową.

– To mój były szef. Norbi. Ma dwójkę dzieci. I ładną żonę. Znasz to powiedzenie, że za każdą piękną kobietą stoi facet, który ma dość jej pieprzenia?

– Słyszałem.

– To o nim. Nawet go lubię, chociaż ma krótkiego chuja. Dobrze, że przynajmniej grubego.

– Skąd wiesz?

– Bo z nim spałam? – parska. – Co się tak patrzysz? Życie jest jak kutas. Trzeba je ujeżdżać, póki jest twardy. Jak rozpoczynałam pracę, to nie miałam nic więcej oprócz urody – ciągnie. – Miałam studia, ale każdy tu ma jakieś studia. Za to były rachunki do zapłacenia za pokój w kołchozie, gdzie regularnie prysznic zatykany był włosami po depilacji, za jedzenie i za jakieś przyjemności też. A rodzice, jak to rodzice, zaczęli fuczeć, że skoro już skończyłam szkołę, to najwyższy czas się usamodzielnić. Prawda?

Ma ulotny uśmiech, ledwie podnosi kąciaki ust, a na twarzy pojawiają się małe dołeczki.

– Pewnie i prawda – przytakuję.

– Przyjęli siedem osób na staż, ale wiadomo było od razu, że etat dostanie tylko jedna. Decydował o tym Sławeczek. Taki korporacyjny chujek, dość przystojny, tylko z lekkim brzuszkiem. Zawsze w świeżo wyprasowanych niebieskich koszulach, które miały podkreślać jego niebieskie oczy. Gwarantuję, że jakaś dupa mu o tym powiedziała. U nas faworytką była Beatka. Mały, pyskаты kurwizson. Faceci lubią takie. Obciągnęła Sławeczkowi po tygodniu, jak byliśmy na imprezie integracyjnej w takiej knajpie ze sztuczną plażą nad Wisłą. Zaciągnęła go do kibla. I w ogóle się z tym nie kryła. Sprawa była niby pozamiatana. Ale widziałam, jak Sławeczek na mnie patrzy. Dokładnie wiedziałam, czego chce. I się gryzłam.

– Czym???

– Miałam dwadzieścia trzy lata i do tej pory dwóch i pół faceta. Co wam mówią ojcowie na temat kobiet?

Co mówił mój ojciec na temat kobiet? Że wszystkie są pierdolnięte. Ale bez kobiety to kompletnie nie da się wytrzymać.

– Że bez kobiety nie da się wytrzymać – mówię.

– Moja matka cały czas powtarzała: „Mężczyzna nie jest od tego, żeby się podobać. Mężczyzna jest od tego, żeby pieniądze do domu przynosić”. Stwierdziłam, że jak już mam się poświęcać dupą, to niech przynajmniej coś dostanę. Ruchałeś się kiedyś z kobietą, żeby coś załatwić, Drwalu?

– Nie. – Potrząsam głową. – Co najwyżej, żeby jej nie było przykro. Żeby jej nie było przykro, to nawet wiele razy.

– Nie wiem, co jest gorsze – ciągnie warszawianka. – Użyłam go. – Wzrusza ramionami. – Podochodził od tyłu, próbował macać. Taki oślizgły typ. Chciał mnie traktować jak głupią lambadziarę. Tyłek to ja mam przeciętny, nie protestuj, nogi niezłe, ale wiele dziewczyn miało podobne. Za to cyc miałam epicki i wiedziałam o tym. Toteż weszły obcisłe bluzeczki. A raz niby wypadła mi przy nim torebka. Celowo włożyłam białą koszulę, naprawdę mocny push-up i miałam rozpięty o jeden guzik za dużo. Kiedy tak się schylałam, dałam mu bardzo dobrą okazję zajrzenia sobie w dekolt.

Jak już zebrałam te wszystkie duperele, które mi wypadły, widziałam, że to nim wstrząsnęło.

– I co zrobiłaś? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Wiedziałam, że jak facet dostaje wszystko, to od razu traci zainteresowanie. Dałam mu się przemacać dopiero tydzień przed końcem stażu. Tak mu gargulec stał, że prawie wyskakiwał ze spodni. Targał moimi cyckami z prawej na lewą i z lewej na prawą, za cholerę nie wiedział, jak się do nich zabrać, ale kiedy złapał mnie za cipkę, to od razu dostał po łapach. Nikt o mnie nic nie wiedział, nikt się nie domyślał. Ale po dwóch miesiącach pracę dostał taki chłopak i ja. – Warszawianka uśmiecha się triumfalnie. – Wiesz, co zrobiła ta Beatka? – pyta.

– Scenę.

– Wygrałeś betoniarkę. Do odbioru na zapleczu. – Warszawianka chichocze. – Wpadła do grubego z awanturą, że jak to, ona kłęzczała i ma całe zdarte kolana, a tu nic? Ale wezwał ochroniarzy i wyrzucili ją z budynku. I jeszcze poszła za nią fama wariatki, bo jak ktoś dzwonił do naszego HR

zapytać o nią, jak się sprawdziła w pracy, to słyszał, że jest niezrównoważona psychicznie. Niestety Sławeczek zrobił się coraz bardziej namolny. Parę razy zwałam mu nawet ręką, ale jemu ciągle było mało. I tak cisnął, cisnął, aż w końcu musiałam coś z tym zrobić. I wymyśliłam! – Oczy Sary są pełne groźby.

– Powiedziałaś, że cię zgwałcił?

– To by było całkiem niezłe, przyznaję – mówi. – Ale teraz. Wtedy by jeszcze nie chwyciło. Po prostu uwiodłam jego szefa, czyli Norbiego. Już wiedziałam jak.

I naprawdę było z nim przyjemnie, tylko fortunę wydawałam na rajstopy. Cały czas je darł. Jest fetyszystą stóp. Zaczęłam obsesyjnie chodzić na pedicure. I wyobraź sobie, dziwnym trafem moja kariera nagle dostała gwałtownego przyspieszenia. – Warszawianka składa usta w ciup. – Dwa miesiące później Sławeczka już nie było w firmie. A ja zajęłam jego miejsce. Był to najszybszy awans w historii firmy. Takie życiowe korporacyjne historie.

– I to wystarczyło?

– Prawie. Trzeba jeszcze tylko pracować po dwanaście godzin na dobę. Najlepiej siedem razy w tygodniu. I już masz. To jak? Mogę cię teraz zostawić samego?

Rozglądam się dookoła. Knajpa przygotowała stoły z żarciem. Jest barek, na którym stoi sporo butelek różnego rodzaju i kilka kegow z piwem.

– Dam radę – mówię.

Warszawianka całuje mnie w ucho.

– Dziś wieczorem pozwolę ci ze sobą zrobić wszystko, na co tylko będziesz miał ochotę – szepcze.

Patrzę na jej oddalające się nagie plecy, patrzę na ruch jej pośladków w zielonej sukience z wycięciem do połowy bardzo zgrabnego uda i nagle widzę ją w wielkim gabinecie, za równie wielkim biurkiem. Ranne, samotne, wściekle zwierzę, które zrobi wszystko, aby utrzymać swój teren.

\* \* \*

Miałem nie iść w ten kąt sali, ale tutaj jest najlepiej zaopatrzone barek. Jak widać, kierownictwo ma swoje prawa i są one większe. Nalewam sobie ginu do



szklanki, biorę puszkę stojącego nieopodal toniku, rozglądam się już za jakąś limoną albo chociaż cytryną, kiedy widzę, że obok stoi jakiś siwiejący Belmondo.

Prawie wszyscy faceci są tu pod krawatem, odstawieni jak na wiejskie wesele w remizie, on krawata nie nosi, widać nie lubi albo nie musi. Szczękę ma kwadratową. Jest prawie mojego wzrostu, ale najmarniej ze dwadzieścia kilo chudszy. Tak mógłbym wyglądać, jakbym o siebie dbał.

Siwy z wyraźną aprobatą patrzy na moją szklanę, to się pytam, czy też mu zrobić.

– Jasne – odpowiada.

Leję, nie żałując ginu. Lokalizuję lód, lokalizuję plasterki cytryny, wrzucam po cztery, podaję mu drinka. Ciągnie z wprawą, od razu widać, że stara szkoła.

– Tak patrzę na ciebie i ja cię skądś znam – mówi.

– Niemożliwe – odpowiadam z pełnym przekonaniem.

– Nie, nie, ja mam dobrą pamięć do twarzy – upiera się. – Połączyć twarze z imionami, to już mi gorzej idzie, ale jak kogoś zobaczę, to mam w pamięci.

Siwy nie wygląda na takiego, który ogląda TikToka, ale z drugiej strony co ja wiem o ludziach.

– Pewnie ten filmik na TikToku... – mówię zrezygnowany.

– Nie, to nie to – odpowiada bez namysłu. W oczach pojawia mu się nagle błysk, jakby fiszki w końcu się dopasowały. – Ty grałeś w ręczną. Prawy rozgrywający w Kombinacie, nie?

Krztuszę się ginem. Autentycznie jestem pod wrażeniem.

– Ja ty się nazywasz? – pyta.

– Drwału – mówię.

– Dobry byłeś, dobrze się zapowiadałeś – odpowiada. – Miałeś takie pierdolnięcie w łapie, że aż się siata rwała. – Co się stało?

Biorę potężny łyk.

– Zerwałem więzadło krzyżowe w kolanie – wyznaję.

– I? – pyta.

– Wróciłem na boisko po operacji, a w trzecim meczu zerwałem więzadło w drugiej nodze. A jak znowu wróciłem, po ośmiu miesiącach, to naderwałem mięsień w stopie i stwierdziłem, że to nie dla mnie. Jesteś kibolem Kombinatora?

– Nie, trochę grałem w Iskrze. Na bramce. – Uśmiecha się. – Iskiereczka, Iskiereczka... Hej, hej! Ale słabo mi szło. Więc poszedłem na studia.

Siwy chce coś do tego dodać, ale podchodzi do nas jakiś łyсы mężczyzna o wyglądzie sprzedawcy suplementów diety. Ten też bez krawata.

Jest żyłasty. Ma wybielone zęby, czarną marynarkę i czarną koszulkę z czaszką i napisem Plein.

Sztuczny uśmiech rozdziera mu twarz.

Też się uśmiecham, bo przypomina mi się, jak warszawianka mówiła, że ma zasady i nigdy nie umawia się z facetami noszącymi ubrania od Pleina, bo to luksus dla ubogich. Tak samo jak Gucci.

– Panie prezesie, potrzebujemy pana pilnie na momencik – zaczyna.

– Znowu mi dupę jakimiś bzdetami zawracają – wzdycha siwy. – Drwału, pogadamy jeszcze o starych czasach, nie uciekaj, proszę. A tak w ogóle to jest Irek, to jest Drwału. Spójrz, Ireczku, niezwykle twardy zawodnik, mój kolega po fachu...

– Z uczelni? – pyta brodaty.

– Można powiedzieć, że mieliśmy tę samą szkołę. – Siwy uśmiecha się szeroko.

\* \* \*

Idę do stołu z żarciem, idę i już z daleka widzę, że jest słabo, wszystko w wersji wege.

Biorę ostrożnie na talerz, nakładam coś, co wygląda na klopsy, do tego jakieś marchewki i trochę ogórka.

Jak to mówił ten kutas Boczek?

„Za darmo i ocet słodki”. I jeszcze: „Za darmo to dobra cena”.

Żeby złapał jakąś wenerę od przydrożnic.

Wkładam żarcie do ust i żuję, smakuje jak trociny. Resztkę klopsa mam jeszcze w ustach, a już czuję, że potrzebuję wejść na dzbana.

Gnam do kibla niczym szturmujący byk na rodeo, z paniką w oczach. Jedna łazienka, ale dwie kabiny, jedna dla kobiet, druga dla mężczyzn. Wielki świat.

Ledwo zdążyłem zdjąć spodnie. Ledwo. Oddycham z ulgą. I aż wybałuszam gały, jak ten Struś Pędziwiatr.

Dieta wege mi szkodzi. A może to ten gin?? A może generalnie za dużo piguł i alko? Nie, to niemożliwe, piguł i alko nie może być za dużo.

Ocieram pot z czoła.

Ktoś wchodzi do łazienki. Słyszę dwa kobiece głosy. Jeden znam.

– Aleś się wystroiła. Całą dupę ci widać. – Kobieta dźwięcznie się śmieje, jakby wbijała szpilki pod paznokcie.

Nikt nie jest tak dobry w udawanych komplementach, jak kobiety względem innych kobiet.

„Uwielbiam, że totalnie ci wisi, jak wyglądasz, wychodząc z domu”.

„Wyglądasz dobrze jak na swój wiek”.

„Widzę, że zajęłaś się swoją wagą”.

„Cudownie wyglądasz z prostymi włosami”.

„No i oczywiście wyglądasz zjawiskowo z tymi krągłościami”.

– Wiem – odpowiada warszawianka, a w jej głosie jest coś złowieszczonego.

– Gardzę kobietami, które dla przypodobania się mężczyźnie ubierają się jak dziwki – śmieje się tamta.

– Dlatego masz całe cycki na wierzchu.

– Właśnie tak. – Znowu chichotanie. – Dobry jest?

– Ma wielką pałę, jeśli o to pytasz, doskonale robi minetę i czasami jest zabawny – mówi warszawianka.

– Tak mówisz? – pyta tamta. W jej głosie jest coś jakby zazdrość.

– Owszem. – Warszawianka nie skrywa swojej satysfakcji.

– No, no. Nie powiem, nieźle ubrany, rozpakowany.

– Byliśmy wczoraj na homarze. Żebyś ty widziała, jak usadził tego rapera Korka. Wiesz, tego dresiarza – chwali się.

– W jakim sensie usadził?

– Korek przyczepił się do kelnerki. To Drwalu go opierdolił. A Korek uciekł – opowiada.

– Skąd ty go wzięłaś w ogóle?

– Z baru. Kurczę, coś mi się usta rozmazały. – W głosie Sary słychać niezadowolenie.

– I co on robi?

– W farmacji pracuje.

Warszawianka bawi się doskonale.

– I co tam robi?

– Sprzedaje. Żebyś ty widziała, jakie ma maserati!

– Masz co do niego jakieś plany? – pyta tamta.

– Tak! – Warszawianka śmieje się szczerze. – Każda trasa koncertowa się kończy. On to wie, ja to wiem.

– Czyli tak na poważnie nic z nim nie chcesz robić?

– Oczywiście, że nie – prycha warszawianka. – Byśmy się pozabijali.

– Dasz mi jego numer, jak z nim skończysz?

– A co? Masz ochotę?

– Ja potrzebuję takiego zwierzaka. Mam dość tych warszawskich gnojzków w czapczkach. Trailer mają dobry, obiecują ci, że cię będą rznąć godzinami na wszelkie możliwe sposoby. A jak przychodzi co do czego, to tylko pakują ci do ust smoczka i zaczynasz się krztusić.

– Spróbuj zumby. Daje takie same efekty, a nie trzeba nic połykać – radzi warszawianka.

– To dasz ten numer? – pyta kobieta.

– Jasne.

Ze spuszczeniem wody czekam, aż wyjdą. W sumie to nawet jakbym się zaczerwienił.

\* \* \*

Sara podchodzi do mnie roześmiana, jakby ktoś podał jej gaz rozweselający.

– Jak było? – pyta.

– Miałem branie – ucinam. Nalewam sobie jeszcze ginu, jej wina.

Podaję kieliszek.

– Jesteś towarzyską sensacją! – Warszawianka nie przestaje się śmiać.

Wypijam gin. Ponuro. Dupa mnie szczypie.

– I co o mnie mówią?

Usta jej drżą, jakby nie mogła się powstrzymać.

– Czekaj, zaraz umrę ze śmiechu. Jesteś dyrektorem sprzedaży w firmie farmaceutycznej.

– To oczywiste. Nie może być inaczej – przyznaję.

– Teraz najlepsze. Irek tak się podpalił, że złoży ci propozycję za ciężki szmal, żebyś poszedł pracować do nas.

– Przyjmę?

– Mówi, że nad tym pracuje i cię przekona. – Warszawianka pokazuje gest imitujący liczenie kasy. – Uważa, że prezes z tobą studiował w London School of Economics. – Sara aż się krztusi ze śmiechu. – Nie wiem, skąd on to wziął. Debil, no po prostu debil.

Jej oczy są pełne łez, zaraz się posika.

– Nie wyprowadzałam go z błędu, toteż masz teraz międzynarodowe doświadczenie. Ponieważ zaczęło mnie to bawić, dodałam ci, że właśnie się rozwodzisz.

– A dlaczego? – pytam.

– Dzieci nie są twoje. Puściła się z twoim najlepszym przyjacielem.

Wzruszam ramionami.

– Straszna dziwka, nic dziwnego, że się rozwodzę.

\* \* \*

Wychodzimy na zewnątrz. Kawa i jakiś drink z oliwką. Nie wiem, co to jest, warszawianka mi przyniosła.

W oddali widzę budynek, który przypomina wyciskarkę do cytrusów.

– Cześć, piękna!

Odwracam się tyłem do stolicy.

Do warszawianki podchodzi łyśy facet z napisem Plein na kłacie.

– Irek – przedstawia się. – My się widzieliśmy przed chwilą. Z prezesem... – zaczyna.

– Drwalu, Irek robi w farmacji, jest prawą ręką prezesa – wyjaśnia konfidencko warszawianka. Sprawia wrażenie, jakby była teraz poważna.

– A w czym ty robisz, Drwalu? – pyta Irek.

– Handel. Kiedyś hurt, teraz detal – wyjaśniam.

– To coś, na co zawsze jest zbyt. – Irek uśmiecha się szeroko, tak że można mu policzyć wszystkie równe zęby, które wyglądają, jakby właśnie zakończył serię wizyt u ortodonta. – A czym handlowałeś?

– Kiedyś koks i amfa. Teraz głównie marihuana i trochę pigułek – wyjaśniam.

– I ty masz poczucie humoru, chłopaku!!! – Łyśy rechocze, tak że prawie zwija się na podłodze. – Czyli robisz w branży. Pozwól, że zgadnę. Pfizer??

– Ciii – odpowiadam. – Nie chcę się ujawniać.

– Jasna sprawa. – Łyśy puszcza do mnie oko. – Choć powiem szczerze, czasy są ciężkie. I dla was, i dla nas.

– Farmacja zawsze da sobie radę – mówię. – Ludzie znajdą na to pieniądze. Jeśli towar jest dobry, rzecz jasna. Nie można tylko robić na niego żadnych promocji. Kupujący muszą wiedzieć, że premium jest premium. Będą narzekać, że drogo, ale będą płacić. I się chwalić innym, że ich stać.

– Może to i racja – wzdycha łyśy. – Szukamy teraz kogoś kumatego do siebie. Ale wszyscy, którzy się zgłaszają, czytają książki w rodzaju *Obudź w sobie olbrzyma*. Tylko że jak ktoś sam się do tej pory nie obudził, to żadna książka mu nie pomoże. Przepraszam cię na moment – mówi do warszawianki i odciąga mnie na bok. – Nie myślałeś o tym, żeby zmienić robotę i przejść do nas? – Jego małe oczka wiercą mnie przenikliwie. – Wiesz, mamy całkiem dobre warunki. Spokojnie dostaniesz u nas pięćdziesiąt koła.

Oliwka wpada mi do gardła. Z trudem ją przełykam.

Irek patrzy na mój grymas i dodaje:

– Wiem, to nie jest bardzo dużo, ale mamy dużo lepsze premie, niż dostajesz u siebie! I dajemy naprawdę spoko służbowe fury. Poniżej krowiastego audi nie zejdiesz, a jak się zgodzisz, to ci od razu wrzucę sportową wersję w quattro. Koniecznie do mnie zadzwoń – szepcze, wkładając mi w kieszeń marynarki wizytówkę.

\* \* \*

Kiedy wsiadamy do taksówki, która ma nas zawieźć na Saską Kępe, Sara ryczy ze śmiechu. I powtarza to za każdym razem, kiedy tylko się jej przypomni mina Irka.

– Bierz tę robotę – mówi. – Bierz ją koniecznie.

– Przecież ja nic nie wiem na ten temat – odpowiadam.

– A jakie to ma znaczenie? W najgorszym przypadku wyrzucą cię za pół roku. Z dużą odprawą. Ale o ile cię poznałam, to dasz sobie radę.

Kładę dłoń. Na jej udzie.

– Jesteś całkiem interesującym mężczyzną, Drwalu. I nawet mnie trochę pociągasz. Wiesz dlaczego?

Trochę mi to przypomina dyskusję pod tytułem: „Ja nie jestem taka”. Kobieta wypowiadająca te słowa niezawodnie ma ochotę w tym momencie być właśnie taka.

Tylko potrzebuje pretekstu.

– Bo mam flintę jak kuc? – strzelam.

– To na pewno nie przeszkadza. – Warszawianka pokazuje lśniąco białe zęby. – Widzisz, koleżanka opowiadała mi ostatnio, jak jej superman zmieniał żarówkę. Wykręcił zepsutą, pękło szkło, został gwint, on nie wiedział, co z tym robić, chciał dzwonić po pomoc. Laska kazała mu wyrzucić śmieci, a kiedy go nie było, wykręciła szczypcami resztki po żarówce, wsadziła nową, a zbaraniałemu koleśowi, gdy wrócił z pustym koszem, powiedziała, że „się naprawiło”. – Znowu się śmieje.

Kiwam głową, że rozumiem, dlaczego ją to bawi. I napełniam jej białym winem kieliszek zakoszony z imprezy. Sam ciągnę z butelki.

– Coś mi mówi, że ty byś taką żarówkę potrafił jednak wymienić. Bo bardzo szybko umiesz się przystosować. I masz jakieś zasady. Kulawe, ale jakieś tam masz. – Patrzy na mnie badawczo. – A mężczyzna musi mieć zasady, których się trzyma. Musi umieć wyznaczać granice, zarówno w życiu, jak i w związku. Musi mieć czym zaimponować kobiecie. I jak tak na ciebie patrzę, to się zastanawiam, czy może jednak bym mogła. Z drugiej strony od razu zadają sobie pytanie: „A może jesteś tylko pijana i napalona?”.

\* \* \*

Stoi mi na klatce schodowej. Nie wiem, jak ona to robi. W jednej chwili myślę, że to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, a teraz proszę. Zdzieram z niej kieckę, tak że wisi jak szmata na jej biodrach. Dwa obłędne piersiska w czerwonym staniku. Warszawianka przyciska moją twarz do swoich cycków. Czuję na twarzy ich chłodny, sprężysty dotyk.

Usiłuję rozpiąć stanik z tyłu. Nie mogę. Nie ma zapięcia.

– Co to jest?

– Stanik – odpowiada i robi usta w ciup.

– A gdzie to się rozpina?

– Z przodu.

Zrywam go jednym ruchem ręki. Piersi wyskakują na wolność.

Zduszony krzyk.

– Pieprzę cię – obiecuję.

– W każdej chwili – odpowiada ona.

Moja ręka wchodzi głębiej. Tam, gdzie jest cieplej. Tam, gdzie jest wilgotno.

– Nie ma gum, nie ma ruchania – szepcze mi do ucha warszawianka. – Zużyłeś mi cały zapas.

– Nagle ci się przypomniało?

– Chcesz być tatusiem? Akurat teraz masz na to szansę.

– Nie bierzesz tabletek?

– Tyję od tego. Ja do łązienki, ty na stację benzynową – rozkazuje.



Kiwam głową.

Warszawianka idzie do windy. Topless. Kręcąc biodrami.

\* \* \*

Na początku nieco wiruje mi we łbie. Ale przytrzymuję się ściany bloku. I jakoś idzie. Stacja na szczęście jest niedaleko, ze sto, może sto pięćdziesiąt metrów.

A ja zaraz zapomnę o tym alkoholu, który wypilem. I zapachu jej skóry. Koks by się przydał. Koks ułatwia zapominanie. Wybieram ze stojaka trzy opakowania prezerwatyw. Po trzy sztuki. To się nazywa mieć szerokie plany. Dorzucam do tego gumy do żucia.

Kasjerka podlicza moje zakupy. Ma kolczyk w nosie i drugi w języku. Obok kasy stoi młoda dziewczyna w uniformie. Wydawałoby się, że ładnych blondynek takie życie się nie ima.

– Nie chce pan przystąpić do naszego programu lojalnościowego? – pyta.

– Nie, dzięki – odpowiadam.

– A może chce pan kawę za darmo? – drąży dalej blondynka.

– Innym razem – mówię.

Kasjerka podaje mi prezerwatywy i gumy do żucia.

– Aśka, zostaw pana – mówi i puszcza do mnie oko, wystawiając jęzor. – Pan ma inne plany na wieczór.

\* \* \*

Jestem przed klatką. Stoję przed drzwiami i zaczynam przeszukiwać kieszenie w nadziei na znalezienie piguły pełnej miłości, która postawi mnie na nogi, gdy nagle ogarnia mnie uczucie, że ktoś się na mnie gapi.

Już chcę spojrzeć, co jest grane, gdy czuję, jak coś dźga mnie w bok. I przecucie mi mówi, że nie jest to Sara. Sara nie śmierdzi Old Spice'em. Teraz to koniecznie muszę się obejrzeć. Ogromny cham. Naprawdę gigantyczny warchlak. Jest zbudowany jak kibel z cegieł. Wyższy ode mnie o jakieś pięć centymetrów. A może to ta grzywka postawiona à la Rutkowski.

Patrzę na jego ryj i wiem, że nie jest dobrze. W jego oczach jest strach. Jest spocony jak świnia.

Odbezpiecza spust.

– Ty jesteś ten taksówkarz z TikToka – sapie.

– My się znamy? – pytam uprzejmie. – Raczej nie dodawaliśmy się do znajomych na Naszej Klasie.

Cham chce coś warknąć, ale wtedy słyszę głos, który słyszałem wiele razy.

– To jest Piła.

– Serio? Tak się nazywa? – dziwię się.

– Nie – odpowiada Mario. – Nazywa się Grzesiu, ale mówimy na niego Piła. Nie rób nic głupiego, Drwalu. Skończy się i tak w jeden sposób. Po co mamy się klepać, nas jest i tak więcej. – Mario żuje gumę. Ma koło siebie jeszcze dwóch spaślaków. Z trudem się mieszczą w T-shirtach.

– Cześć, Mario – mówię. – Jak mnie znaleźliście?

– Byłeś z tą dupą w restauracji. Ona tam chodzi regularnie. Wystarczyło tu trochę poczekać. Co za okurwiałe czasy, Drwalu – wzdycha. – Co się z tymi ludźmi stało, powiedz mi? Każdy sprzeda cię za pięć złotych. I patrz, jakie tłuki nas zastąpiły. – Wskazuje z pogardą na warchlaka Grzesia i dwóch czereśniaków. – Kurwa, takie dobre chłopaki kiedyś latały. A teraz? Tampony i bobry. Oni nawet wyglądają jak banda Rumunów... – Macha zrezygowany kostropatą łapą.

Czereśniaki nie reagują. Widać przywykli do podobnych komplementów.

– Idziemy, Drwalu, do samochodu. – Mario mruży oczy. – Sorry, chłopie, przepraszam cię, że to tak wygląda, ale wiesz, polecenie z góry. Chłopaki po całym mieście cię szukają. Grzesiu, zwiąż pana Drwala.

Wyciągam zrezygowany ręce przed siebie. Największy warchlak wiąże je taśmą i popycha mnie na parking.

Zaparkowali obok maserati. Oczywiście bmw. Piątka. Pewne rzeczy, mimo upływu czasu, się nie zmieniają. Mario otwiera bagażnik. Zrezygowany wchodzi do środka.

Warchlak wiąże mi jeszcze nogi taśmą i jakby tego było mało, zalepia mi gębę.

Słyszę jeszcze, jak Mario mówi do czereśniaków:

– Wy – wypierdalać. Zadzwońię.

A później jest tylko ciemność.

\* \* \*

Wiele czasu minęło od momentu, kiedy jechałem ostatnio w bmw. Zmieniły się rozmiary, zmieniły się silniki, zmieniły karoserie. Jedno się nie zmieniło. Bagażniki były nadal w chuj niewygodne. Dobrze, że chociaż ulice są bardziej równe.

Zastanawiam się, dokąd mnie wiozą. Jeśli do kogoś (Alicji bądź jej byłego męża), to oznaczało, że ktoś faktycznie chce tylko pogadać. Jeśli zaś do lasu, to cóż. Ktoś rozwiąże za mnie mój problem. Znając życie, będę musiał przyłożyć się do roboty i wykopać sobie wygodny grób.

Silnik nagle zwalnia obroty, po czym gaśnie.

– No i po chuj się zatrzymujesz, tłuku? – pyta zrezygnowanym głosem Mario.

– On machał!!! – tłumaczy się Grzesiu vel Piła.

– To by sobie jeszcze, kurwa, pomachał. Jak wiatrak, prądu by do wiadra naprodukował. Co za, kurwa, idiota... Dzień dobry, panie władzo.

– Dowód rejestracyjny, prawo jazdy poproszę.

– Panie władzo, a myśmy coś zrobili?? – pyta Grzesiu błagalnie.

– Wyprzedzanie bez użycia kierunkowskazu, dwieście złotych i dwa punkty karne, jazda siedemdziesiąt pięć kilometrów na godzinę w terenie zabudowanym, trzysta złotych i pięć punktów. Pan bagażnik otworzy, panie kierowco.

– A po co? – dziwi się Grzesiu.

– Trzeba sprawdzić, czy gaśnica jest i trójkąt.

Widzę, że uchyla się kłapa. Nade mną stoi największy warchlak ze strasznie głupią miną, Mario, trzymający się za głowę, jakby coś go bolało. I jakiś pies z

wąsem z drogówki, który sięga do kabury po pistolet.

– Wszystko w porządku – mówi zrezygnowany Mario.

– Wieziecie związanego człowieka w bagażniku! – Gliniarz drze mordę.

– Ale on nie ma nic przeciwko – mówi Mario. – Prawda, Drwalu?

Mario zrywa mi taśmę z ust.

– Jasne – mówię ponuro. – Wszystko jest w porządku.

– A co pan tak siedział tam w bagażniku? – pyta podejrzliwie pies.

– Lubię to – odpowiadam.

– Eee... – Policjantowi jakby zabrakło riposty. – Związany? – pyta zdumiony.

– Podnieca mnie to – burczę.

Dosłownie widzę, jak gliniarzowi przesuwają się trybiki w głowie.

– Będzie kolejny mandacik – uznaje w końcu, jakby jego mózg wrócił na zaprogramowane tory. – Nie wolno przewozić pasażera w bagażniku. Będzie stuzłotowy mandat i jeden punkt karny...

– Mario. Tnij to. – Wyciągam ręce z taśmą. – Muszę się odlać.

Mario ze zrezygnowaną miną rozcina mi szczyrykiem taśmę na rękach i nogach. Gliniarz wypisuje Grzesiowi mandat. Nie czekam, aż skończy. Sto pięćdziesiąt metrów od auta jest wielki napis: BAR. A pod spodem dodatek: PIWO, WINO, WÓDKA, ZUPA GROCHOWA. Wchodzę do środka, gdzie panuje nastrój jak z lat dziewięćdziesiątych. Boazeria. Dużo skaju. I smród grochówki gotowanej w wojskowych garach. Podchodzę do lady. Stoi tam jakiś grubas z sarmackim wąsem i wielkim brzuchem.

– Piwo pan da – mówię.

Gostek przyjmuje dziesięć ziko, po czym leje mi z kija kufel królewskiego.

Siadam ciężko za drewnianą ławą. Wyciągam z kieszeni prezerwatywy i gumy do żucia. W magicznym pudełku znajduję ostatnią tabletkę oxy. Łykam ją i popijam potężnym łykiem piwa. Mam dość. Czuję się, jakby zerznął mnie dżedaj. Mieczem świetlnym. I jestem teraz wkurwiony jak rzadko.

Mario wchodzi do lokalu, też bierze browara i siada obok mnie.

– Ni chuja nie wsiałam z tobą – ostrzegam. – Pobawiliśmy się, ale nie jestem już w nastroju. Na dodatek wywieźliście mnie na jakieś zadupie, a miałem kompletnie inne plany. Zepsuliście mi bardzo porządne ruchanie.

Mario nie komentuje.

Po prostu pije swoje piwo.

– Wiesz, jak zaczynałem bandyterkę, to jeździliśmy z chłopakami do Sopotu odpocząć. To były, kurwa, czasy – mówi nagle. – Szło się na parkiet. Dyskoteka. Wódeczka. Łiskaczyk. Narta w nos. I wszystkie koleżanki nasze. Jak widziały nasze merce i hajs, to od razu robiły się mokre. Dmuchałeś po dwie, trzy panny jednej nocy, Drwalu?

– Zdarzało się – przyznaję.

– No właśnie. – Mario się ucieszył.

– Zdarzało się, że tym się chwaliłem – mówię.

Nie słucha. Mówi do siebie:

– Czasami ktoś miał jakiś problem, że warszawskie chłopaki tyle ruchają na wyjeździe. I robił się kwas. Kiedyś stałem z takim Budyniem. Wyrwałem bardzo ładnego bazyła. Taka świnka blondynka. Ale Drwalu, jakie ona miała bufory... Już widziałem, jak się bujają, jak ją zapinam od tyłu – mówi rozmarzony. – Miałem brać ją do hotelu, kiedy doskoczyło do nas siedmiu z Trójmiasta. Wiadomo było, że nas zleją, i to mocno. Kobita uciekła. Ten Budyń też mógł uciec. A nie uciekł. Stał obok mnie. I się napierdalał. Cały pokrwawiony był, ale do kiedy mógł, to stał. Bo później ktoś go poczęstował deską i już zapadł w drzemkę. Złamali mu rękę. Mnie nos. Do tej pory mam krzywy. – Mario się szczyrzy. – Widzisz, jaki jest krzywy?

Patrzę na jego nochal. Faktycznie, jak się przyjrzeć, to wygląda, jakby ktoś go dolepił. I mu lekuchno nie wyszło.

– Wiesz, tydzień temu do tego piździelca Grzesia i jeszcze jednego cymbała podeszło pięciu Gruzinów. Od słowa do słowa zrobiła się przykra sytuacja. Jeden Gruzin wywalił mojemu chłopakowi w łeb. Wiesz, co zrobił Grzesio? – pyta.

– Napierdalał się z nimi? – odpowiadam.

– Właśnie nie – wzdycha Mario. – Uciekł. I filmował na telefonie, jak Gruzini flekują jego kumpla na chodniku. A jak go później zapytałem, w co sobie leci, jak można pojechać z tak frajerską akcją, to wiesz, co mi odpowiedział?

Piję piwo. Coś mi się wydaje, że Mario wcale nie czeka na odpowiedź.

– Że i tak nie mieli szans na pięciu. – Mario znowu się szczerzy.

No tak, napierdalać się i przegrać to żaden wstyd. Ale uciec i zostawić kolegę?

– Widziałeś, jaki to tłuł? Zatrzymał się przed policją. Zatrzymał swoją tłułą dupę przed psem z drogówki...

Mario trze twarz, jakby w dalszym ciągu nie był w stanie tego pojąć.

– Teraz za chuja nie wiem, co z tym złamasem zrobić.

Ja też nie wiem. Ale jeśli chodzi o mnie, to powinien pójść pracować do firmy farmaceutycznej. Tam ponoć można poznać ciekawych ludzi.

– Zwróć tego miśka do Biedronki – mówię.

Mario pociąga łyk piwa.

– Nie przyjmą go, używany.

– To nie wiem, kurwa, Mario, spuść go w kiblu do Wisły, co mnie to obchodzi?

– Może to i jest jakiś pomysł – zastanawia się. – Wiesz, Drwalu, mam dziwne wrażenie, że jak zaczynaliśmy, to były jakieś zasady. Powiedzmy sobie uczciwie, każdy wiedział, że prędzej czy później pójdzie za kraty. Ryzyko zawodowe każdego porządnego bandyty. Honorowo. Odsiedzisz swoje i wyjdiesz. Masz szacunek. A teraz? Ledwo prokurator z kimś pogada, od razu koleżka chce być sześćdziesięcią, otworzyć gębę i sprzedać kumpli. Ty mi powiedz, Drwalu, jak można tak wyjebać kolegów?

– Nie wiem – przyznaję.

– No właśnie – mówi Mario. – Ja też nie wiem. A oni nie mają z tym problemu. Zero charakteru. Zero dumy z bycia bandytą. Powiem ci, tęsknię za starymi czasami.

Zamykam oczy. Zastanawiam się, co robić dalej.

– A żeś se narobił... – Mario bierze potężny łyk piwa. – Jesteś na liście do dojechania. Nie wiem, o co chodzi, ale szukają cię wszyscy ludzie w mieście.

Ja, w przeciwieństwie do niego, dokładnie wiem, o co chodzi. Ostatnio, kiedy widziałem przyczynę swoich kłopotów, miała bardzo krótkie szorty. I bokserkę podkreślającą cycki. Oraz piła wino. W swoim mieszkaniu w starej kamienicy, w centrum Kombinatoru.

Patrzę na Maria.

Coś musi widzieć na mojej twarzy. Przełykam jeszcze jeden łyk piwa. Smakuje jak szczyny.

– Ktoś cię złapie – mówi.

– Wiem – przyznaję.

Nawet jeśli wyjadę z Warszawy. Nawet jeśli nie wrócę do Kombinatoru.

– Masz dwadzieścia cztery godziny – mówi ponuro Mario. – Dłużej nie dam rady udawać, że nie mogę cię znaleźć. Zniknij w chuj. Najlepiej wyjedź z tego kraju. Chcą cię odjechać, a jak ktoś chce, to w końcu to zrobi. Kumasz?

Kiwam głową. Mario wstaje i wychodzi. Kończę swój browar, kiedy podchodzi do mnie wąsacz zza baru.

Stawia przede mną kolejny kufel.

– Ten pan, który tu był, mówił, że to dla pana na drogę. I że zamówił panu taksówkę.

\* \* \*

Ostatnio więcej jeżdżę taksą, niż ją prowadzę. Kierowca w białej toyocie auris ma ciemną skórę i sunie prawie bezszelestnie przez miasto. Nie odzywa się, wpatrzony w ekrany przed nim.

Telefon nagle bzyczy. Która to znowu? Alicja, Kamila czy Sara?

– Halo? – mówię zmęczonym głosem.

Ktoś chrząka.

– Halo??? – powtarzam.

– Panie Drwalu. To pan?

– No ja – przyznaję.

– Sarnecki mówi. No, sąsiad spod sześćdziesiątki trójki.

– Co tam, panie sąsiedzie?

– No... – Sarnecki zastanawia się chwilę. – Drzwi ma pan wyjebane. Ktoś tam do pana wlażł. I kipisz w chałupie zrobił.

– Dawno?

– No, dzisiaj. Jak ze zmiany wróciłem, to zobaczyłem, nie? Że drzwi otwarte. To pukam. I nic. Wchodzę do środka, a tam jak po przejściu cyganów. To pomyślałem, że zadzwonię, nie?

– Dobrze pan zrobił, panie Sarnecki – chwałę.

Mężczyzna sapie do słuchawki.

– To co? Psy wzywać? Czy co robić?

– Zamknąć drzwi, panie Sarnecki. Zamknąć drzwi, co ma się kurzyć, nie?

Rozłączam się.

Coś się skończyło.

\* \* \*

Wchodzę do hotelowego baru, gdzie za kontuarem tkwi samotny barman. Światła są przyciemnione. Kilka osób na sali. Dwie pary. Plus jedna kobieta w żółtej sukience. I trzy kieliszki przed nią.

Wygląda to jak obraz.

Udawane życie.

Podrabiany luksus.

– Dobry wieczór, panie Drwalu – mówi brodaty barman i uśmiecha się do mnie.

Nie poznaję go. Ale proszę, moja reputacja mnie wyprzedza.

– To, co ostatnio? – pyta barman.

Żebym ja pamiętał, co ja piłem tutaj ostatnio.

– Niech będzie to, co ostatnio.

Stawia przede mną miseczkę z orzeszkami. Do tego szklanę z grubym dnem, wypełnioną w dwóch trzecich.

– Potrójna. Tak jak pan lubi. Bez lodu. Bez żadnych dodatków.



Próbuję. Dobrze.

– Co to jest? – pytam.

– Blue label. Najstarsze komponenty musiały dojrzewać w beczkach ponad sześćdziesiąt lat. Bakalie, w szczególności orzechy laskowe, miód rodzinki, gorzka czekolada. Czuje pan ten koniec?

Czuję. Jest gorzki.

– To subtelna goryczka dębu – mówi barman.

Patrzę przez okno na miasto. Widać jeżdżące po Warszawie samochody. Krótki wyścig, od świateł do świateł. Rondo. A później powrót.

– Ile się należy? – pytam barmana.

– Sześćset.

– Dobra cena. – Podaję mu osiem stów. – Daj mi jakiś papier i długopis, dobra?

Kiedy przynosi, zaczynam.

Testament

Swoje mieszkanie i zawarte w nim ruchomości zapisuję Kamili, bo była dla mnie miła i całkiem nieźle ciągnęła jak na swój wiek...

Przerywam.

A kogo interesuje, jak ona ciągnie?? To nie jest list polecający.

Zgniatam kartkę papieru w kulkę i zaczynam jeszcze raz:

...zapisuję Kamili, bo okazała mi wsparcie, kiedy myślałem, że jest to już niemożliwe.

Kamila, dobra dziewczyna jest z Ciebie. Zaczynj od początku. Jesteś młoda, możesz wszystko.

Ryśkowi zapisuję skodę. Może dzięki niej wystawisz usta trochę ponad poziom gówna. Życzę Ci tego. Sprawdź zawieszenie, coś przy większych prędkościach się telepie.

Jeśli coś jeszcze zostanie, to wyjebcie to na śmietnik.

A może jednak?

Czemu nie.

PS Swoj czerwony garnitur zapisuję Sarze. Niech ma po mnie jakąś pamiątkę.

– Daj mi całą butelkę – mówię.

– To będzie jakieś trzy i pół tysiąca, panie Drwalu. Ale jak dla pana, to trzy koła wystarczy...

Kładę na blacie cztery tysiące. I zabieram butelkę ze sobą.

Najważniejsze to po sobie posprzątać przed śmiercią. Tak aby nie pozostał żaden ślad.

\* \* \*

Godzina trzecia. W nocy? Nad ranem? Nie wiem. Z hotelu na most Poniatowskiego przechodzę pieszo. Ludzi na mieście już prawie nie ma. Część pewnie kona w klubach. Część już puknęła to, co miała puknąć, i zastanawia się, jak tu oznajmić, że wraca do domu. Czasami się zastanawiam, dlaczego moje życie jest takie, jakie jest. W sensie kompletnie zjebane.

Na kamiennej ławce na moście siedzi żul. Jest mały, pokraczny, ma minę zmęczonego, pomarszczonego jamnika. Coś pije.

Na mój widok podnosi głowę.

– Uszanowanie, kierowniku.

Dzięki żulowi każdy czuje się wyjątkowy.

– Da pan na danonka – mówi.

– Na danonka?

Żul pokazuje na małpkę z różową zawartością.

– Łakocie i witaminy – dodaje.

Grzebię w plecaku. Podaję mu stówę.

– Księciuniu. – Żul rozpromienia się niczym słońce. – To jest dopiero banknot!

Grzebię jeszcze raz. I rzucam mu całą paczkę setek. Sto razy sto. Dziesięć koła.

– Bierz. Mnie się już nie przyda.

Żul stoi z otwartą gębą. Można policzyć zęby, które mu jeszcze zostały.

– Idź – mówię do niego. – Zamień to na chwilę dobra i szczęścia.

Mężczyzna ucieka. Chyba się boi, że zaraz zmienię zdanie. Siadam na barierce oddzielającej chodnik od mostu. Coś strzyka mi w plecach. To już nieważne.

Przede mną jest tylko ciemna tafla wody.

To już.

Wyjmuję z plecaka flaszkę. Długo otwieram. Swędzą mnie dżiąsła i podniebienie. Biorę łyk. I drugi. A później trzeci.

Alkohol pali przełyk. Odstawiam butelkę na barierkę i wyciągam słoik szahida. Wytrzepuję na dłoń piguły i już mam je połączyć, kiedy przyglądam się im uważniej.

I w ustach czuję nagle dziwny smak.

Kwaśny.

Mam wrażenie, że dzikie szerszenie usiłują mi wejść do głowy. Na ręce mam białe tabletki. Ibuprofen. Cały słoik jest nim wypełniony.

Co oznacza jedno. Kamila wzięła wszystkie moje psychotropy i podmieniła je na gówno od bólu głowy. Śmieję się ze swojej głupoty. Najbardziej ranią nas nasze wygórowane oczekiwania.

Otwieram dłoń. Piguły sypią się do wody.

Piję pół butelki duszkiem.

Życie, które miałem, było dla mnie za małe.

A chuj z tym wszystkim.

Przechyłam się do przodu.

A dalej jest już tylko plusk.

To już.

## EPILOG

Komisarz Rafał Zawistowski, ksywa Rafix, były obrotowy Kombinatoru patrzył na plecy leżącej obok kobiety i zastanawiał się, gdzie popełnił błąd.

Jego pierwsza żona była pierdolnięta. Roszczeniowy, dołujący wampir energetyczny, pierdolona kurewna, dwie lewe ręce, za to otwarta, pełna pretensji gęba.

Pracę zmieniała ze dwadzieścia razy. Z żadnej nie była zadowolona. W mieszkaniu zawsze chlew. Góry brudnych ubrań piętrzyły się pod ścianami. Stosy opakowań po jednorazowym żarciu w lodówce. Bo gotowaniem się brzydziła. Jedyne, co mu serwowała, to gotowe pierogi z Biedronki na zmianę z gotowym, podgrzewanym w mikrofali kotлетem schabowym.

Żeby chociaż te pierogi potrafiła odgrzać...

Sama żarła wielkie opakowania lodów od Grycana, trzymając swoje tłuste dupsko przed telewizorem.

Jebał ją pies. Ech, żeby to jeszcze potrafiła robić, ale też nie, obciągała pod wyrzutem i przymusem, a jak mu dała raz na dwa tygodnie, to było wszystko.

Kilka razy po prostu rozłożyła nogi i powiedziała:

– Jak chcesz, to mnie przeleć.

Zrobił to, aczkolwiek, szczerze mówiąc, więcej przyjemności miał, waląc sobie własnoręcznie pod prysznicem.

Kiedy po dwóch koszmarnych latach (plus rok narzeczeństwa) kopnął ją w dupę (dziękując, że nie dorobili się w międzyczasie żadnego kaszojada, a chałupę tylko wynajmowali), przysiągł sobie, że następnym razem będzie zdecydowanie mądrzejszy.

I co?

Spojrzał jeszcze raz na nagie plecy.

Owszem, umawiał się na randki, wsadzał jednorazowo fiuta w jakieś przygłupie barmanki i fryzjerki poznane w Euforii, ale w końcu trafił na Laurę.

Nie stwarzała problemów, jak to zwykle robią kobiety przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia.

Miała jędrny tyłek i nogi takie, że dech zapiera. Na dodatek jej matka była lekarzem stomatologiem. Czyli partia całkiem niezła.

Coś przepaliło obwody jego umysłu (tym czymś była prawdopodobnie laska zrobiona w samochodzie na parkingu podziemnym w galerii Rzeka), bo uznał, że ona jest inna.

Rok później oczekiwania „wracam wieczorem ze służby do domu, gdzie czeka na mnie obiad i gorący seks” szlag trafił.

Rzeczywistość?

Ziemniaki rozgotowane, w domu burdel, pała nieobrobiona, a dookoła wszędzie te pierdolone włosy. Wersja demo się widać skończyła, teraz zapierdalaj, a ona będzie leżeć i pachnieć. Standard naszych czasów.

Musisz uczciwie przyznać – powiedział sam do siebie Rafix – że problem nie jest tylko w nich, ale i w nas. W nas, bo sami je przyzwyczajamy do tego, że zabiegamy ciągle o ich uwagę i pomagamy we wszystkim. Tymczasem kobietę trzeba trzymać na głodzie...

Przerwał swoje rozważania.

Z telefonu leciało *Jak zapomnieć* Jeden Osiem L. Co znaczyło jedno: ktoś dzwonił do niego przez Telegrama. Leñador??? Kto to, kurwa, jest? Kto dupę uczciwemu człowiekowi w niedzielę rano zawraca?

Spojrzał jeszcze raz na śpiącą Laurę, po czym rad nie rad wyszedł do kuchni i odebrał.

– Cześć, Rafix.

Odprężył się.

– To ty.

– Nie. To duch święty zstąpił.

– To możliwe – przyznał Rafix, szukając kawy rozpuszczalnej. Znalazł resztki na dnie słoika. Ta leniwa pinda oczywiście nie kupiła nowej. – Jezus też ponoć zmartwychwstał. Jak było?

– Mokro. I płytko.

– Naprawdę...

– Co stękasz?

– Naprawdę... chciałeś...

– Czy chciałem się zabić? Tak. Ale z drugiej strony miałem ze sobą pieniądze, więc sam nie wiem. Jak sobie popływasz z pół godziny w brudnej wodzie Wisły, to nagle zyskujesz zajebistą motywację do życia.

– Byłem na twoim pogrzebie – mówi Rafix.

– I jak było?

– Wzruszająco. Prawie się popłakałem. Dużo osób przyszło. Był Rysiek. I Boczek też przyszedł.

– Niebywałe. Też się wzruszył?

– Ba! Boczek nawet napluł ci na grób. Chyba ma do ciebie jakąś urazę. Było trochę chłopaków z drużyny. I dwie laski, których nie znałem. Młodsza i starsza. Jedna i druga, powiem ci, chłopaku, hotowa. Obie ryczały. W ciemnych okularach były, ale ryczały, widać było. Łzy im po policzkach leciały. Ta starsza przyjechała bardzo ładnym merolem. Nie wiem, co ty wyprawiałeś w tej Warszawie, ale zazdroścę ruchania.

Rafix zalał kawę gorącą wodą i zaczął szukać w lodówce mleka. Oczywiście były tylko jakieś pierdolone sałatki i napój migdałowy. Tyle dobrego, że przynajmniej Laura nie utyje.

Zalał kawę migdałowym.

– Alicja była, jeśli o to pytasz.

– Też płakała?

– Nie – stwierdził zdecydowanie. – Ale przyniosła stary szalik Kombinat. I położyła go na trumnie. A później poszła. Nie czekała na koniec.

– Impreza się udała, jak widzę.

– Miałeś duży fart – stwierdził beznamiętnie Rafix. – Pięć miesięcy po twoim skoku wyłowiono z Wisły dużego miśka. Wyobraź sobie, ktoś spalił mu twarz i dłonie kwasem. Rozpoznałem go jako ciebie. Po znaku szczególnym. Wyjątkowo krótkim kutasie i małych jajach.

– Przyglądałeś się, jak widzę. Będziesz teraz do tego obrazka walił pod prysznicem.

– Pewka. – Rafix się wyszczerzył i spróbował kawy. Była straszna. Potworna kurwa. Lura. Laura.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Wystarczająco daleko.

– Co robisz?

– Dostosowuję się do nowych czasów. Detal, hurt, dystrybucja. Jedno się nie zmieniło: jestem bandytą i zostanę bandytą. Można z tym żyć. I odkryłem jedną rzecz.

– Co?

– Słońce jakoś pomaga na złe samopoczucie. Wpadnij do mnie kiedyś, Rafciu. Zabiorę cię do knajpy, w której podają dobre owoce morza.

– Też pięknie – zgodził się Rafix. – Może i skorzystam z zaproszenia.

Jak się pozbędę Laury – dodał już w myślach.

– Drwalu?

– No?

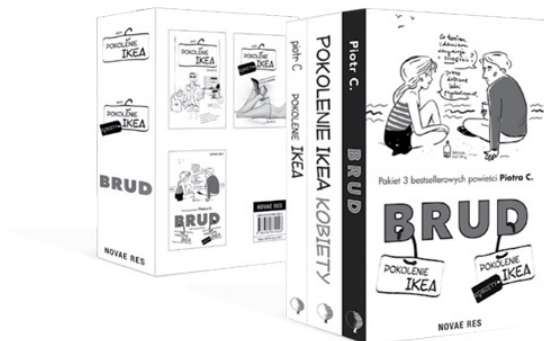
– Te dwie na pogrzebie. Młodsza i starsza. One były w ciąży.

**KONIEC**

Nakładem wydawnictwa Novae Res ukazały się również:







Pożądanie. Czułość. Wariacka miłość. I książkę na białym koniu!

O TYM MARZĄ KOBIECY, PRAWDA?

A co gdyby książkę okazał się zatwardziałym singlem, który uważa, że dzisiejsze randki noszą znamiona łamania praw człowieka?



**Roman** emocje czuje głównie wtedy, gdy otwiera arkusz Excela, kroi steka albo patrzy na Pałac Kultury ze swojego apartamentu na 29 piętrze.

Eldorado trwa do momentu, aż jego szef, Chemiczny Ali, wysyła go na przymusowy urlop. W styczniu! Roman walczy, ale nikomu nie udało się jeszcze wygrać z lisciami z działu HR. Rezerwuje więc bilety na Jamajkę.

Jeden telefon sprawia, że zamiast na wyspę z lazurową wodą trafia na zabity dechami, skutą lodem pomorską wieś. Zamiast luksusu czeka na niego zrujnowana chałupa, w której musi zamieszkać.

Kogo tam spotka?

CZY NAJWIĘKSZA MIŁOŚĆ TWOJEGO ŻYCIA MOŻE TRWAĆ  
TYLKO CZTERY TYGODNIE?

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

PROLOG

CZEŚĆ PIERWSZA

KOMBINAT

CZEŚĆ DRUGA

WARSZAWA

EPILOG

Przypisy

1 Z pozdrowieniem, *Zasady dotyczące korzystania z toalety w zakładzie karnym i areszcie śledczym!* Brak autora. <https://www.zpозdrowieniem.pl/blog/zasady-dotyczace-korzystania-z-toalety-w-zakladzie-karnym-i-areszcie-sledczym>; dostęp: 01.12.2023.

2 Jakub Jasiński, *Samobójstwo w świecie Rzymian*, <https://imperiumromanum.pl/ustroj/prawo-rzymskie/samobojstwo-w-swiecie-rzymian/>

3 Tamże.

4 Mrozu, *Miliony monet*, sł. Łukasz Błażej Mróz.

5 Sir Mich z udziałem: Tede, Marcin Miller, *fiGGo faGGo*, sł. Jacek Graniewski, Marcin Miller, Michał Kozuchowski.

6 Depeche Mode, *Everything Counts*, sł. Martin Gore.

7 To nawiązanie do filmu *Kiler* – polskiej komedii z roku 1997 w reżyserii Juliusza Machulskiego, scenariusz Piotr Wereśniak.

8 Nawiązanie do piosenki Szpaku, *Hot16challenge*, sł. Mateusz Jakub Szpakowski.

9 Szpaku, *Hot16challenge*, sł. Mateusz Jakub Szpakowski.

10 Czy mogę zapłacić ci w naturze?

11 Tede, *Drin za drinem*, sł. Jacek Graniecki, Marcin Pękalski, Radosław Kobyz.

12 Jennifer Lopez, *Jenny from the Block*, sł. Jennifer Lopez.

13 Kaliber 44, *Normalnie o tej porze*, sł. Sebastian Stanisław Filiks, Marcin Marten, Michał Marten.

14 Nie należę do klasy ekonomicznej i nie latam klasą ekonomiczną.

15 Rodzaj randkowania, w którym obie strony mają dobre wykształcenie, wysokie zarobki i cenią sobie luksus i ekskluzywność.

16 Chorwacki wiolonczelista.

17 To twierdzenie pochodzi od Pauliny Świst.